

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Misja profesora Gąbki

Rozdział I

PRZERWANE ZEBRANIE

Tego roku - a był to piętnasty rok panowania księcia Kraka - niezwykle wczesnie rozpoczęła się wędrówka mypingów ku północy. Już z początkiem marca na drogach wiodących od Gór Skalistego Południa pojawiły się pierwsze patrole tych dziwnych stworów, o których pochodzeniu nawet najwięksi uczeni mieli bardzo mgliste pojęcie. - Wiedziano bowiem tylko tyle, że mypingi, zrzeszone w stada liczące niekiedy po kilka tysięcy sztuk, dążyły wiosną na północ, a jesienią wracały na południe, do nikomu nie znanej krainy. Wiedziano też, niestety z własnego i bolesnego doświadczenia, że owe tajemnicze zwierzęta odznaczały się ogromną żarłocznością. Największym ich przysmakiem była kora drzew owocowych, którą obgryzały doszczętnie, posiadając zdolność wspinania się na nie. Smakowały im też młode pędy roślin wszelkiego rodzaju, a także drób domowy, kurze jaja i ziarno. Te sprytnie bestie potrafiły podkopać się do każdego spichlerza, aby pożreć ziarno przeznaczone na siew, nie gardząc nawet workami i ołowianymi plombami... Przejściu mypingów towarzyszyło przerażenie ludzi. Nic więc dziwnego, że traktowano je jak plagę. Z tego względu tajemniczy ród mypingów od dłuższego już czasu interesował profesora Baltazara Gąbkę, bohatera słynnej wyprawy do Krainy Deszczowców. Wyprawy, która zakończyłaby się tragicznie, gdyby nie odwaga i poświęcenie Smoka Wawelskiego, doktora Koyota i kuchmistrza Bartłomieja Bartoliniego (Mamma mia!).

O tym jak wyglądał myping, dowiadujemy się z pracy uczonego Bramborusa, wydanej w pierwszych latach panowania księcia Kraka pt. „Studia nad wędrówkami mypingów, zwanych również korojadami dwunożnymi”. Oddajmy więc głos Bramborusowi, który za swe dzieło otrzymał godność sekretarza Akademii oraz prawo do używania złotej laski z bursztynową gałką.

„Myping - pisze Bramborus - jest stworzeniem dwunożnym, człekokształtnym, wysokości około jednego metra, o głowie zaopatrzonej w ruchliwy ryjek i bardzo długim ogonie, przypominającym węża. Ciało tego zwierzęcia okrywa gładka skóra barwy popielatej, pozbawiona najmniejszego nawet śladu owłosienia. Mypingi odznaczają się także szpiczastymi, bardzo ruchliwymi uszami oraz długimi pazurkami u rąk i nóg. Myping: jest zwierzęciem stadnym i bardzo zdyscyplinowanym. Głos jego przypomina pochrząkiwanie i mlaskanie. Gdy myping jest głodny lub zły (co zwykle na jedno wychodzi), wydaje głos

podobny do gwizdu, słyszany doskonale z odległości kilku mil.”

Wczesne ciągi mypingów tłumaczono sobie w Grodzie Kraka jako zapowiedź upalnego lata. Byli też tacy, którzy na tej podstawie wróżyli jakieś niezwykle zdarzenia, np. przybycie Marsjan na Ziemię lub narodziny byczka o trzech głowach. Tak czy inaczej mypingi stanowiły ostatnio temat licznych rozmów, zarówno na dworze książęcym, jak też na placach targowych i w gospodach.

Profesor Gąbka obudził się jak zwykle o piątej rano i nie tracąc czasu na wylegiwanie w pościeli, wyskoczył z łóżka, trafiając stopami w miednicę z zimną wodą. Zwyczaj ten, jak wiemy, pozostał mu z czasów pobytu w Krainie Deszczowców. Wykonawszy kilka przysiadów, słynny uczoney ubrał się i wyszedł na przechadzkę ze swym ulubionym wilczurem Aresem.

Przed dwoma laty Gąbka wy dostał go z azylu dla bezdomnych psów, który na rozkaz księcia założono w pobliżu Wawelu. Azyl ten nosił trafną nazwę „Hotel Pod Psem” i stanowił obiekt dumy jego kierownika, imć pana Anatola Wyderki, cieszącego się dwumetrowym wzrostem i okazałymi wąsiskami, zwisającymi mu na kształt konopnych powrozów spod nosa aż po brodę. Każdy beżpański pies mógł tu mieszkać bezpłatnie i bezterminowo, korzystając z dobrej kuchni oraz z wygodnych pomieszczeń, zaopatrzonych w tapczany, kominki i stylowe lampy. W hotelu urzędował specjalny psi fryzjer, a prócz niego szewc, krawiec i masażysta. Mimo tych wspaniałych warunków psy nie czuły się tu szczęśliwe, gdyż, jak wiadomo, każdy pies pragnie mieć własnego pana, którego mógłby kochać całym sercem i strzec przed niebezpieczeństwem. Toteż Ares darzył profesora prawdziwym uwielbieniem j w każdej chwili był gotów skoczyć za nim w ogień lub w wodę. Na razie jednak skakał za patykami w czasie spacerów po parku, założonym nad brzegiem Wisły.

Wróciwszy z przechadzki, profesor zastał na progu swej willi flaszkę z mlekiem i najnowszy numer „Echa Kraka”. Dym unoszący się z komina świadczył o tym, że gospodyni Pelagia zabrała się już do przyrządzania porannego posiłku. Ares pociągnął nosem i stwierdził z zadowoleniem, że i dla niego smaży się spory kawał wątróbki.

Przy śniadaniu gospodyni podzieliła się z profesorem najnowszymi wiadomościami.

- Ludzie mówią, że te paskudztwa leżą coraz większym tłumem...

- Jakie paskudztwa?

- Ano te mypingi, czy jak im tam - wyjaśniła pani Pelagia. - Że też takie obrzydlistwo żyje na świecie!

- Droga Pelasiu - rzekł profesor - mam wrażenie, że mypingi także uważają nas za paskudne istoty, i kto wie, czy nie mają trochę racji. W każdym razie nie biją się ze sobą i nie

prowadzą wojen z sąsiadami.

- Pan prefesur ma swoją rację, a ja mam swoją - upierała się gospodyni. - Jeśli mam być szczerą, to bym to całe tałałajstwo wytopiła w Wiśle i byłby święty spokój raz na zawsze!

Baltazar Gąbka uśmiechnął się wyrozumiale.

- Żyj i daj żyć innym, oto moja zasada. Uważam, że mypingi zasługują na to, żeby napisać o nich książkę, która stanowiłaby uzupełnienie słynnej, lecz nieco przestarzałej pracy mistrza Bramborusa.

- Jeszcze by tego brakowało! - oburzyła się gospoia. - Mało to pan prefesur napisał książek o żabach i ślimakach?

- Ale żaby i ślimaki nie mają nic wspólnego z mypingami.

- Dla mnie to wszystko paskudztwo i tyle - stwierdziła Pelagia i zebrała ze stołu resztki śniadania. - A mypingi to największe świństwo. Gołe to i śliskie, a na dwóch nogach chodzi jak człowiek. Kto to widział?

Zaraz po śniadaniu profesor zabrał się do pracy, gdyż dziś jeszcze musiał oddać do drukarni korektę artykułu na temat swoistego poczucia czasu u ślimaków winniczków. Robota zajęła go do tego stopnia, że nie usłyszał nawet dzwonka telefonu. Dopiero szczekanie

Aresa zwróciło jego uwagę na aparat. Podniósłszy słuchawkę profesor usłyszał głos Smoka.

- Cześć, stary - mówił jego najlepszy przyjaciel - wybacz, że przeszkadzam ci w pracy, ale chciałem przypomnieć o naszym spotkaniu.

- O jakim spotkaniu?

- Już zapomniałeś? Och, ci uczeni! Przecież dziś jest czwartek, kiedy zawsze przyjmuję starych przyjaciół. Pogwarzymy przy lampce wina, pogramy sobie... Co ty na to?

- Przyjdę z największą ochotą - ucieszył się Gąbka. - O której?

- Jak zwykle o szóstej po południu. Dzwoniłem już do Kraka, obiecał przynieść pudło anyżkowych lizaków.

- Wspaniale! A ja przyniosę kruche paluszki, które piecze moja Pelasia. A więc do zobaczenia.

Profesor odłożył słuchawkę.

- Kochany Aresku - rzekł do psa - czeka nas dziś miła wizyta u Smoka. Na pewno i dla ciebie coś się tam znajdzie.

Ares zamachał ogonem, co niewątpliwie miało oznaczać: Jestem zachwycony, u Smoka zawsze jest dobre żarcie.

Gąbka wrócił do swej pracy. O dwunastej korekta musiała już być w drukarni. A dobrze

wychowany i niezwykle inteligentny wilczur ułożył się na dywanie tuż obok nóg pana, aby sobie uciąć małą drzemkę.

Baltazar Gąbka był bardzo punktualny, toteż zapukał do Smoczej Jamy w chwili, gdy kukułka w zegarze ogłosiła godzinę szóstą.

Obaj przyjaciele serdecznie się uściskali.

- Wejdz - rzekł Smok. - Jest już nasz kochany doktorek i mistrz Bartolini, zaraz przyjdzie księżę.

Powitawszy serdecznie zebranych, profesor z rozkoszą zagłębił się w fotelu. Na stole wykonanym z ogromnego pnia starego dębu stała naftowa lampa z zielonym abażurem. Wokół niej pyszniły się półmiski wypełnione smakowicie wyglądającymi kanapkami. Stała też pękata butelka przedniego wina z książęcych piwnic. Z aparatu radiowego, skonstruowanego własnoręcznie przez Smoka, sączyła się muzyka. Profesor rozpoznał poemat symfoniczny pt. Wisła, skomponowany przez dawno już nieżyjącego mistrza Bernarda z Paca-nowa.

W chwilę potem przyszedł Krak, obarczony wielkim pudłem lizaków. Księżę miał na sobie skórzany strój myśliwski, ozdobiony złotym łańcuchem, na którego końcu widniał Order Zielonej Gwiazdy.

Na widok lizaków Smok oblizał się jak małe dziecko.

- Będą na deser. A teraz wypijmy toast na cześć Baltazara!

Zaskoczonemu profesorowi spadły z nosa okulary. Szybko schylił się, założył je i zapytał zdumiony:

- Dlaczego na moją cześć? Przecież nie mam dziś ani imienin, ani urodzin.

- Ale gdyby nie ty - pośpieszył z wyjaśnieniem księżę - wyprawa nie doszłaby do skutku.

- Niech nam żyje Baltazarek! - zawołał Smok. - Niech żyje człowiek, który uratował honor uczonych z Grodu Kraka!

- Niech żyje! - podjęli okrzyk zebrani, wznosząc w górę puchary.

Po pierwszym nastąpiły dalsze toasty, nikogo przecież nie można było pominąć. Sławiono księcia za to, że sfinansował wyprawę na ratunek Gąbki, a doktora i kucharza za to, że tak dzielnie opiekowali się zdrowiem

Smoka. W końcu księżę wznosił toast na cześć gospodarza i już było po butelce...

W Smoczej Jamie zapanował serdeczny, przyjacielski nastrój. Wspominano najdramatyczniejsze chwile wyprawy: sztorm na Morzu Burzliwym, lądowanie pod Skałami Czterojajecznymi, nocną walkę z siekaczami rotmistrza Siapawicy, zdobycie pałacu Największego Deszczowca... Nie zapomniano jednakże i o miłych chwilach, wśród których

najprzyjemniejsze było spotkanie ze Smokiem Mlekopijem oraz z pocziwymi małpiszona-mi. Bez ich pomocy budowa tratwy z drzewa „bo-bo” trwałaby znacznie dłużej, co mogłoby mieć tragiczne następstwa dla profesora Gąbki i więzionego wraz z nim Salamandrusa. Bartolini, wywijając widelcem, opowiadał o swym pojedynku z groźnym Siapawicą, doktor Koyot wspominał próbę otrucia członków wyprawy dżemem z muchomorów, a profesor opowiadał o swej rozmowie z Największym Deszczowcem, proponującym mu zdradę ojczyzny...

- A gdzie jest Don Pedro? - zapytał Gąbka. - Dawno go już nie widziałem. Mimo że początkowo był naszym wrogiem, bardzo go polubiłem. To porządny człowiek.

- Don Pedro - wyjaśnił książę - przebywa od kilku miesięcy na dworze Salamandrusa. Pojechał, aby złożyć mu sprawozdanie ze swej działalności dyplomatycznej. Przy sposobności chce przeprowadzić kurację wodną, gdyż zbyt suchy klimat naszej krainy podkopał mu zdrowie.

- Wyobrażam sobie - uśmiechnął się brodaty doktor Koyot - że Don Pedro całymi dniami nie opuszcza wanny z deszczówką. Musi przecież namoknąć na zapas.

- Niezły z niego chłop - przyznał Bartolini - ale mimo wszystko Deszczowiec...

Słyszając te słowa profesor zaprotestował: - Nie mów tak, Bartłomieju. Ważny jest człowiek, a nie jego narodowość.

Zgodnie z przewidywaniem Baltazara Smok nie zapomniał o obecności Aresa i poczęstował go miską pełną smacznego mięsiwa.

W pewnej chwili gwałtowne pukanie przerwało rozmowy zgromadzonych przyjaciół. W drzwiach ukazała się barczysta postać Szymona z Krowodrzy, który był osobistym strażnikiem Kraka.

- Nieszczęście! - krzyknął Szymon. - Ogień w grodzie! Płoną domy na Kleparzu!

Wszyscy zerwali się ze swych miejsc.

- Panowie - zawołał książę. - Biegnijmy na ratunek. Nie ma chwili do stracenia!

Rozdział II

ŁUNA NAD MIASTEM

Z wysokości wawelskiego wzgórza ujrzeli łunę rozlewającą się nad północną częścią miasta. Gęste kłęby dymu wznosiły się ku ciemniejącemu już niebu. Słychać było dzwony bijące na alarm oraz syreny wozów strażackich, pędzących co koń wyskoczy przez wąskie uliczki grodu.

Książę wraz ze swymi przyjaciółmi pognał na miejsce pożaru w karecie ciągniętej przez sześć karych koni. Przybywszy do celu stwierdził, że płoną już cztery domy, a wśród nich historyczny zajazd „Pod Szczęśliwą Gwiazdą”, w którym zwykle nocowali podróżni nie mogący wjechać do miasta z powodu zbyt późnej pory. Wiadomo bowiem, że w owych czasach zamykano o zmroku wszystkie bramy w miejskich murach, aby otworzyć je dopiero wraz z pierwszym paniem kogutów.

Kilka plutonów straży ogniowej było już w akcji. Strumienie wody z sikawek ginęły w huczących płomieniach, dym gryzł w oczy, a lament mieszkańców mieszał się z okrzykami komend, rżeniem spłoszonych koni i traskiem płonących krokwi. Na dachach okolicznych zabudowań widniały sylwetki ludzi, którzy starali się nie dopuścić do rozszerzenia się ognia. Z pobliskich mieszkań na wszelki wypadek wynoszono meble, w czym pomagali żołnierze z przybocznej gwardii księcia.

Krak wyskoczył z karety i jednym rzutem oka objął teren pożaru. Największe niebezpieczeństwo zagrażało magazynowi ziarna przeznaczonego na chleb w czasie przednówka. Za wszelką cenę należało uratować go przed spłonieniem. Książę odkomenderował w tym celu pluton strażaków, polecając im zlewanie wodą ścian i dachu budynku. Gwardziści otoczyli magazyn kordonem, aby nie dopuścić do niego licznie tłoczących się gapiów.

Bartolini, który całe swe życie spędzał przy piecu kuchennym, uwijał się tuż przy płonących budynkach, nie okazując żadnego lęku na widok płomieni. Wołając co chwila „Mamma mia”, odciągał osęką żarzące się belki. W pewnej chwili usłyszał we wnętrzu domu głos przypominający płacz małego dziecka. Bez wahania rzucił się prosto w dym i płomienie. Potykając się o płonące meble, wpadł do jakiegoś pokoju i ku swemu zdziwieniu zamiast dziecka ujrzął małego kotka, który skulił się w kącie i przeraźliwie miauczał. Porwał zwierzątko w dłoń i bez namysłu dał susa przez okno, wpadając na strażaka, trzymającego w

ręce wiadro z wodą.

- Lej na mnie! - zawołał. - Ubranie mi się pali!

Strumień błotnistej wody oddalił niebezpieczeństwo od dzielnego kucharza i małego kotta. Bartolini odrzucił zwierzątko na bok i natychmiast wrócił do przerwanej zajęcia.

Obecny na miejscu wysłannik radia, redaktor Mikrofoniusz Tranzystorek, stał się przypadkowym świadkiem komicznej kłótni dwóch strażaków. Oto jeden z nich, zapomniawszy w pośpiechu swej siekierki, pobiegł ku miastu, aby zabrać ją z remizy. W połowie drogi spotkał swego kolegę, który biegł w kierunku pożaru. Zatrzymał go więc i zawołał:

- Wróc po moją siekierkę. Ja lecę do ognia!

- To twój toporek, więc sam go sobie przynieś - odparł kolega. - Ja mam co innego do roboty!

- Mówię ci, wracaj po siekierkę!

- Ani mi się śni. Kto nie ma w głowie, ten ma w nogach, aha...

Zapominalski strażak poczerwieniał z oburzenia.

- Ja ci pokażę, ty skórko wieprzowa!

- Ja ci też pokażę, głąbie kapuściany!

Obaj panowie rzucili się do bójki i poczęli sobie zrywać z głów strażackie hełmy. Tego było już za wiele redaktorowi. Rąbnął jednego i drugiego trzymanym w ręce mikrofonem, a skoro to nie pomogło, dołożył im po solidnym kopniaku. Dopiero wtedy zaciętrzewieni strażacy opamiętali się i zgodnie już popędzili ku płonącym domom.

Huk płomieni, płacz kobiet i dzieci, okrzyki strażaków i szczekanie psów tworzyły* przerażający zgiełk, który niósł się ku śródmieściu, siejąc lęk i grozę. Wszystko dookoła tonęło w krwawym blasku.

Z odległego o kilkaset metrów stawu czerpano wodę przy pomocy wiader, podawanych z rąk do rąk. Niestety, nie było jej wiele. Gąbka i Koyot włączyli się do szeregu, zdając sobie sprawę z grożącego miastu niebezpieczeństwa. Smok poskrobał się po łbie i nagle; przypomniawszy sobie zdarzenie z zamierzchłych czasów, wskoczył do stawu i zanurzył w nim swą imponującą paszczę. Na ten widok z ust zgromadzonych tłumów wydarł się okrzyk zachwytu. Smok pił i pił, a jego okazałe brzuszysko przybierało coraz większe rozmiary, jak balon nadymany gazem. Gdy poczuł, że już więcej łyknąć nie może, powędrował ociężale w kierunku ognia. W następnym momencie ujrzano istny wodospad, wylewający się z paszczy Smoka na rozszalałe płomienie. Powstał potężny obłok pary, wszystko dookoła zakłębiło się i zawirowało, a w następnej chwili oczom zebranych ukazały się zwęglone krokwie dachów,

pozbawione już czerwonych warkoczy ognia. Nie tracąc czasu, Smok pobiegł znów do stawu, aby nabrać do swego wnętrza nową porcję wody. Powtórzywszy tę czynność kilkakrotnie, spostrzegł z zadowoleniem, że pożar został ugaszony. Zwęglone belki dymiły jeszcze, ale nigdzie już nie było widać płomieni. Wszyscy bili brawo, a wielu ze łzami w oczach rzuciło się ku Smokowi, aby uściskać mu ręce lub nawet ucałować kraj szlafroka.

Książę klepnął swego przyjaciela w plecy i rzekł wzruszonym głosem:

- Dziękuję ci, mój stary. Uratowałeś całe miasto. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie twój genialny pomysł!

Smok chrząknął z zażenowaniem, wypluł z paszczy resztkę wody i lekceważąco machnął łapą.

- Ech, nie ma o czym gadać. Drobiazg.

- Ładny mi drobiazg - rzekł książę. - Jesteś (prawdziwym bohaterem dnia.

- Bohater w szlafroku - zarechotał Smok, który, jak wiemy, odznaczał się Specjalnym poczuciem humoru. - Wyobrażasz sobie mój pomnik w tym stroju?

- To niegłupia myśl - odparł książę. - Wystawię ci taki pomnik pod Wawelem, na pamiątkę dla przyszłych pokoleń.

Smok wyjął z kieszeni grzebyk i doprowadził do porządku fryzurę.

- Dobrze, dobrze - rzekł - teraz trzeba pomyśleć o jakimś schronieniu dla tych biedaków.

- Wydam rozkaz, aby dano im nocleg na zamku. Dostaną kolację i wszystko, co im będzie potrzebne.

Owacjom zgromadzonego tłumu nie było końca. Dowódca gwardii otrzymał polecenie przewiezienia pogorzalców na zamek, a komendant straży ogniowej nakazał swym ludziom pilnowanie, aby ogień nie rozgorzał na nowo. Wśród radosnych okrzyków nasi przyjaciele zajęli miejsca w karecie, która potoczyła się w kierunku Wawelu.

- Czy wiecie, jaka jest przyczyna pożaru? - zapytał książę.

- Nie mam pojęcia - odparł profesor.

- To wina mypingów.

- Wielkie nieba! - krzyknął doktor Koyot. - Cóż się stało?

- Na chwilę przed pożarem stado mypingów wdarło się do jednego z tych domów. Na ich widok mieszkańcy uciekli w popłochu, zostawiając na stole płonąca lampę naftową. Widocznie mypingi przewróciły ją na ziemię...

- Okropność! - zawołał Bartolini. - Do czego jeszcze te potwory doprowadzą! Gdy pomyślę, że całe miasto mogło zgorzeć, robi mi się słabo.

- Tak, tak, to sprawka mypingów - powtórzył książę smutnym głosem. - Najwyższy czas, aby zająć się tym. To zagadnienie państwowej wagi.

Kareta wtoczyła się na dziedziniec.

- Chodźcie ze mną do Sali Obrad - poprosił Krak. - Muszę podjąć ważną decyzję, a wy mi w tym pomożecie. Mianuję was w tej chwili członkami Rady

Książęcej!

Wkrótce nadeszły do zamku dalsze niepokojące meldunki o szkodach wyrządzanych przez stada mypingów. , I tak w Miodunce, ulubionej wsi księcia, żarłoczne stworzenia zniszczyły fermę kurzą, pożerając tysiące jaj przeznaczonych do wylęgu. Z Puszczy Dębowej doniesiono o stratach w drzewostanie, a sołtys z Zawadki, gdzie książę miał myśliwski zameczek, powiadomił o zbliżaniu się stada liczącego w przybliżeniu osiem tysięcy sztuk! Wszyscy zgodnie stwierdzali, że mypingi w tym roku są szczególnie żarłoczne i agresywne, co świadczyłoby o głodzie panującym w ich krainie.

Profesor Gąbka wrócił do domu już po północy, ku wielkiej radości wilczura, a zarazem ku niezadowoleniu Pelasi, która narzekała, że kolacja wystygła zupełnie i teraz trzeba będzie na nowo palić w piecu. Ale profesor podziękował za jedzenie. Nie miał w tej chwili apetytu, gdyż jego umysł zaprzętały sprawy znacznie poważniejszej natury. Z narady u księcia wynikało, że należy jak najszybciej zorganizować naukową ekspedycję w celu odszukania krainy mypingów i przeprowadzenia na miejscu badań nad ich zwyczajami. Dopiero na tej podstawie można by próbować sposobów zaradzenia corocznym plagom, np. przez skierowanie mypingów w bezludne obszary, których było w kraju dość dużo.

Książę bardzo liczył na pomoc swych przyjaciół, którzy już raz dowiedli, że są gotowi na wszelkie trudy dla zrealizowania celów doniosłych i ważnych dla państwa.

Tak więc nie ulegało wątpliwości, że znowu trzeba będzie porzucić wygodne i zaciszne mieszkanie, aby wyruszyć na wyprawę, pełną być może groźnych niespodzianek. Błądzilibyśmy jednak, przypuszczając, iż perspektywa ciekawej podróży nie odpowiadała naszemu uczonemu. Wprost przeciwnie. Gąbka czuł radosne podniecenie, gdyż zawsze był zdania, że prawdziwy badacz natury nie powinien zbyt długo gnuśnić w czterech ścianach mieszkania. Mimo późnej pory zabrał się do ponownego studiowania rozprawy Bramborusa. Świtało już, gdy wreszcie zgasił lampę i udał się na spoczynek. Zanim zasnął, przypomniał sobie, że musi dać do szewca podróżne buty z bawolej skóry, leżące od kilku lat w nabijanej ćwiekami skrzyni.

W ogrodzie zaczynały już ćwierkać pierwsze ptaki. Nad miastem unosił się przykry swąd spalenizny.

Rozdział III

UŚMIECH LOSU

Miało się pod wieczór, gdy Marcin Lebioda, zwany Zerwiskóram, obudził się z głębokiego snu i z wielką jak zwykle przykrością stwierdził, że czas już wstawać. Ażeby uniknąć nieporozumień, musimy od razu zaznaczyć, że Marcin należał do tych ludzi, którzy śpią w dzień, a pracują w nocy. Kto by jednak sądził, że Lebioda był stróżem nocnym albo astronomem, myliłby się bardzo. Nic z tych rzeczy! W Mioduncie, wsi położonej w samym sercu Puszczy Sosnowej, nie było złodziei od dwustu czterdziestu lat, co zostało stwierdzone przez autorów „Kroniki Gromadzkiej”, przechowywanej w skrzyni przez sołtysa Błażeja Marchewkę. Jedyne zaś w całym księstwie astronom mieszkał na wawelskim zamku. Marcin Lebioda był po prostu zbójcem, i temu to zajęciu zawdzięczał swój groźny przydomek.

W łóżku było ciepło i wygodnie, na dworze zaś chłodno i mglisto. Konieczność ubrania się i zajęcia posterunku na skrzyżowaniu dróg napawała Marcina goryczą. Gdyby nie jego żona Katarzyna, mógłby teraz obrócić się na drugi bok i spać dalej. Wiedział jednak, że Kasia wpadnie zaraz do izby, wołając, że czas już wstawać i zabierać się do uczciwej roboty.

Jakoż po chwili pani Katarzyna otworzyła drzwi.

- Wstawaj, leniuchu - zawołała energicznie.

Noc wymarzona do pracy! A spróbuj tylko wrócić z pustymi rękami. Znajdę cię nawet w mysiej dziurze i kijem żebra ci porachuję. Znasz mnie!

- Oj, znam, znam - jęknął Lebioda na wspomnienie ostatniego landa, które otrzymał, gdy przyniósł do domu budzik marki „Ruhla”, zamiast upragnionej przez żonę wyzłoczonej. - A suchy prowiant przygotowałaś?

- Masz dwie kromki chleba i kawę w termosie. W czasie pracy nie możesz jeść za dużo, bo potem zasypiasz i tracisz najlepsze okazje.

- Dołożyłabyś chociaż jajko na twardo...

- Widzicie go, jeszcze czego!

- Dobrze, dobrze, tylko nie krzycz. Maczugę wyczyściłaś?

- Pewnie. Krzemienie błyszczą jak diamenty. Zużyłam całą flaszkę siluxu. Wstydu byś mi narobił, gdybyś grzał kupców brudną maczugą.

- A dasz mi zjeść przed wyjściem? - Na piecu jest rondel kaszą.

- Omaściłaś ją chociaż? Katarzyna chwyciła się pod boki.

- Patrzcie no, ludzie, czego to się mu zachciewa? Jak przyniesiesz wędzonkę, to będą skwarki. A nuże!

I chwyciwszy w rękę miotłę, ruszyła z groźną miną do męża.

- Tylko nie bij - pisnął ze strachem. - Już się ubieram!

W pół godziny później Marcin Lebioda przekroczył próg swej chaty i westchnąwszy głęboko do Madeja, patrona zbójców, ruszył w tym samym, co zwykle, kierunku. Ledwie zrobił kilka kroków, drzwi domu otwarły się i w ślad za nim poleciała tablica przymocowana do drążka.

- Patrz, z czego żyjesz - usłyszał głos żony - i nie zapominaj narzędzi do pracy!

Był to znak drogowy nakazujący powolną jazdę z powodu zwężenia szosy. Marcin przerzucił go przez ramię i powlókł się błotnistą ścieżką do lasu.

Bo upływie godziny dotarł do celu, umieścił tablicę w widocznym miejscu, a sam wsunął się do szafasu, i który od dawna służył mu za schronienie w razie zimna i deszczu. Zanim to jednak uczynił, przeciągnął nad drogą sznur z dzwoneczkami, których dźwięk miał go obudzić, gdyby mu się przypadkiem zdrzemnęło. Zapaliwszy oliwny kaganek, wyciągnął z kieszeni potłuszczoną książeczkę pod tytułem „Opisanie krain dziwacnych, na krańcach świata znajdujących się”.

Przerzucił kilka kartek i zagłębił się w opisie Gór Kokosowych, których mieszkańcy odznaczeni byli uszami podobnymi do liści łopianu. Olbrzymie te uszy służyły im do wachlowania się w czasie upałów oraz do nakrywania się w chłodne noce. Marcin Lebioda od dziecka bowiem marzył o dalekich podróżach. Kto wie, może zostałby kiedyś odkrywcą nieznanych lądów, gdyby nie małżeństwo z Katarzyną, która ubzdurała sobie, że jej mąż koniecznie musi być zbójem. Aby się nie narażać na gniew małżonki, Marcin od lat udawał krwiożerczego rozbójnika, choć prawdę mówiąc, wolałby zarabiać na życie rąbaniem drzewa lub hodowlą pszczół. Ażeby wilk był syty i owca cała, Lebioda kupował czasem od wędrownych handlarzy jakiś drobiazg, płacąc zań uzbieranymi w lesie grzybami lub poziomkami. Pani Katarzyna, przekonana, że wszystkie te przedmioty pochodzą z rabunku, spacerowała po wsi dumna jak paw i spoglądała z góry na kobiety, których mężowie byli tylko zwykłymi rolnikami lub bartnikami...

Szum deszczu uśpił wreszcie nieszczęsnego zbója. Ostatkiem świadomości Lebioda zdmuchnął płomyk kaganka i legł na gałęziach, mając błogą nadzieję, że przy takiej pogodzie odejdzie kupcom ochota do podróżowania. Śniło mu się, że oto płynie żaglowcem po błękitnym oceanie. Ma na sobie wspaniałą admiralski mundur, a w ręce kosztowną lunetę. Zgromadzeni na pokładzie marynarze śpiewają pieśń o królewnie Mayolice, popijając w

przerwach rum z pepsi-colą. Na horyzoncie widać zarysy nieznanych wysp. Admirał wydaje rozkaz: „Lądujemy na tej największej!” Po pewnym czasie statek zarzuca kotwicę w pobliżu brzegu. Przez lunetę widać tłum odświętnie rozebranych tubylców, trzymających olbrzymi transparent z napisem:

„WITAMY SŁYNNEGO PODRÓŻNIKA MARCINA LEBIODĘ, KTÓRY PRZYBYWA, ABY NAS ODKRYĆ”!

Krajowcy potrząsają dzwoneczkami: bim, bim, bam, bam, bim...

Ejże, dzwoneczki? Tknięty niepokojeni Lebioda obudził się, przetaił oczy i spostrzegł, że jest w szałasie. Nadal jednak słyszy delikatną muzykę dzwoneczków: bim, bim, bam, bam, bim... Pobrząkiwały alarmująco, raz głośniejsze, raz ciszej. Ostrożnie wychylił się na zewnątrz i ujrzał liczne cienie, przebiegające przez drogę. Wyciągnął z kieszeni latarkę elektryczną i rzucił przed siebie snop światła. Spłoszone dzwoneczkami mypingi, popiskując żałośnie „kiuwit kiuwit” wielkimi susami znikwały w gąszczu krzewów. Tuż za nimi bieżyły zajęce, lisy, kuny, a skrajem szosy groźnie pochrząkując sunął potężny dzik. Z daleka słychać było narastający z każdą chwilą warkot. Lebioda wyprostował się i chwycił w dłoń maczugę. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżali się kupcy. Tylko dlaczego zamiast skrzypienia kół i pokrzykiwania furmanów, słychać ów niepokojący warkot? Lebioda drżał ze strachu, ale poczucie obowiązku wzięło w nim wreszcie górę nad przerażeniem. W perspektywie drogi zjawyły się dwa silne światła. Warcząca machina zwolniła i zatrzymała się tuż obok szałasów. Do dawno nie mytych uszu zbója doleciał basowy głos:

- Dobry człowieku, o co chodzi? Lebioda potrząsnął maczugą i wrzasnął:

- Nie nazywaj mnie dobrym człowiekiem! Jestem okropnym, przerażającym zbrojnym i zwę się Marcin Lebioda herbu Zerwiskóra!

Kierowca dziwnego pojazdu wyskoczył na drogę i oto Marcin ujrzał przed sobą Smoka Wawelskiego! Któż by nie znał tej wspaniałej postaci, otulonej we wzorzysty szlafrok, tego pyska, rozciągającego się w serdecznym uśmiechu od ucha do ucha? To przecież Smok, najlepszy przyjaciel księcia, honorowy obywatel Grodu Kraka, słynny wynalazca i podróżnik! Zerwiskóra najchętniej zapadłby się pod ziemię, ale jak na złość w pobliżu nie było nawet najmniejszej szparki... Zrozumiał, że dopuścił się strasznego czynu, zatrzymując w złym zamiarze jedną z najważniejszych w kraju osób. Padł więc na kolana, odrzucił maczugę i wyciągając ręce błagał Smoka o wybaczenie:

- Gdybym wiedział, szlachetny panie, że to wy, nigdy bym się nie ośmielił grozić wam maczugą. Myślałem, że to kupcy, którzy wiozą towar z dalekich krain. O, ja nieszczęsny, przyjdzie mi teraz zapłacić głową za tę fatalną pomyłkę! Zlituj się, panie, nade mną i nad moją

ukochaną małżonką Katarzyną, córką Bartłomieja i Zuzanny z Wilczków, najpiękniejszą kobietą Miodunki!

Biedny Marcin nigdy jeszcze nie wypowiedział tylu słów naraz. Krasomówstwo nie było jego mocną stroną, ale czegoż to nie może dokonać strach o własną skórę? Marcin Lebioda widział już siebie na Wzgórzu Siedmiu Szubienic, z konopną pętlą na szyi.

Tymczasem, dalsi pasażerowie opuścili samochód i zgromadzili się wokół Sanoka. Doktor Koyot okrył się peleryną, a Bartolini nałożył na głowę nieprzemakalną czapkę z ortalionu. W ślad za nimi wyskoczył okazały wilczur, włączając się natychmiast do rozmowy dźwięcznym szczekaniem. W samochodzie pozostał jedynie profesor Gąbka, beznadziejnie zaplątany w zwoje taśmy magnetofonowej.

- To naprawdę przykra pomyłka - rzekł Smok, patrząc z politowaniem na zbója. - Widzę jednak, że nie jesteś złym człowiekiem, skoro w takiej chwili pamiętasz o swej małżonce...

I zwróciwszy się do przyjaciół, zapytał:

- Jak mamy teraz postąpić?

- Powiesić go na najbliższej gałęzi - krzyknął Bartolini - przecież sam się przyznał, że chciał nas obrabować!

Lebioda uderzył się pięścią w pierś, aż zadudniło.

- To nieprawda! Nigdy w życiu nikogo nie obrabowałem!

Bartolini podniósł ręce nad głową:

- Mamma mia! - zawołał piskliwie. - Słuchajcie, oto zbój, który nigdy nikogo nie obrabował! Niesłychane! I ty myślisz, że uwierzemy ci na słowo?

- Wszystko, co mam, pochodzi z legalnej wymiany - zapewnił gorliwie Lebioda. - Ja tylko udaję zbója, żeby zrobić przyjemność mojej najdroższej Kasi. Ona jest dumna z tego, że trudnię się rozbojem. Jeżeli dowie się prawdy, będzie nieszczęśliwa.

Z oczu Marcina trysnęły łzy. Na ich widok, Smok poczuł, że w piersi, zamiast serca, ma jajko na miękko. Będąc dobrym znawcą natury ludzkiej, zrozumiał, że stoi przed nimi nieszczęśnik, zmuszony do postępowania wbrew własnym przekonaniom.

Gdzie jest twój dom? - zapytał podnosząc Lebiode z klęczek.

- O godzinę drogi stąd, czcigodny Smoku - rzekł zbójca, rozcierając sobie kolana. - Tu mam tylko szałas służbowy.

W tym momencie zeskoczył z samochodu profesor, oswobodzony ostatecznie z taśm i kabli.

- Ten człowiek mówi prawdę - zawołał. - W Mioduncie wszyscy go znają jako porządnego człowieka, który ma tylko jedną wadę: okropnie boi się własnej żony.

Słyszając te słowa Marcin Lebioda rozpromienił się:

- Więc nie powiesicie mnie?

Smok udał przez chwilę, że się zastanawia.

- Myślę, że nie - rzekł powoli - ale stawiam jeden warunek.

- Spełnię wszystko, czego zażądacie - zawołał Lebioda.

- Pokażesz mi swój szałas.

- Proszę bardzo - ucieszył się Marcin. - Nie mam nic do ukrywania. Ale to tylko podła buda z gałęzi...

Smok schylił się i dał nura w czerni szałas. Gdy wynurzył się z niego, trzymał w ręce małą, lecz grubą książkę.

- Poświęć mi - rzekł do Koyota. - Chcę zobaczyć, jakie to książki czytają rozbójnicy.

Na widok tytułu aż podskoczył ze zdumienia.

- Niebywałe! - zawołał. - Niebywałe! Oto dzieło Gregoriusa Simonidesa, mojego ulubionego autora. Skąd to masz?

- Kupiłem od jednego handlarza za garnuszek malin - odparł Marcin. - Przeczytałem ją dwadzieścia razy. Niektóre rozdziały umiem na pamięć. Bo ja chciałem być kiedyś sławnym podróżnikiem, tylko że mi się w życiu nie powiodło.

Smok uderzył się dłonią w czoło.

- Mam pomysł - zawołał. - Ten człowiek może być nam potrzebny.

- Zbój? - skrzywił się doktor Koyot.

- Przecież widzisz, że taki z niego zbój, jak ze mnie cesarz chiński...

- Smoku - rzekł grzecznie Bartolini. - Powiedz nam, jaką korzyść możemy mieć z tego żałosnego osobnika?

Ale Smok zwrócił się do Lebiody:

- Czy w dalszym ciągu chcesz być podróżnikiem? -r- Tak, tak, wspaniały Smoku!

- A co ty umiesz? Żeby być podróżnikiem, trzeba się znać na wielu rzeczach.

- Umiem rąbać drzewo. Ho, ho, aż wióra lecą!

- Znakomicie. I co jeszcze?

- Łowić ryby. I raki.

- Świetnie. Mów dalej.

- Umiem rozpalać ogniska nawet z bardzo mokrego drzewa. Budować szałas. Zbierać grzyby. Naśladować głosy zwierząt. Doić krowy i owce. Skręcać powrozy...

- Mów, mów.

- Umiem chodzić na szczudłach.

- Co jeszcze?

- Pływać. Nurkować. Wspiąć się na drzewa. Ciskać kamieniami.

- No, no...

- I gwizdać na palcach.

- To wszystko?

- Niestety tak - rzekł smutno Marcin. - Ale to chyba za mało, żeby zostać podróżnikiem.

- Wprost przeciwnie - zawołał Smok. - Jesteś ogromnie utalentowanym człowiekiem.

Szkoda cię na rozbójnika. Czy chciałbyś towarzyszyć nam w dalekiej i niebezpiecznej wyprawie?

Lebioda zaniemówił ze wzruszenia. Po chwili przetarł oczy, gdyż zdawało mu się, że jeszcze śpi. Ale nie, otaczali go przecież żywi, najprawdziwsi ludzie.

A Smok mówił dalej:

- Potrzebuję właśnie kogoś takiego jak ty. Ja np. nigdy nie nauczyłem się gwizdać na palcach ani chodzić na szczudłach. To musi być wspaniałe. A więc, drogi Marcinie, czy chcesz jechać z nami?

- Choćby na koniec świata - krzyknął eks-zbójca.

- Kto wie? - rzekł Smok. - Może i tam trzeba będzie pojechać. Ale co na to powie twoja małżonka?

Marcin posmutniał, opuścił ręce wzdłuż ciała i zgarbił się.

- Ona się nigdy na to nie zgodzi - rzekł ponuro.

- Zobaczymy - Smok uśmiechnął się. - Siadaj z nami, pokażesz nam drogę do swego domu.

Zgodnie z obawami Marcina pani Kasia początkowo ani słyszeć nie chciała o rozstaniu się z mężem. Przerywanym przez płacz głosem zapewniała Smoka, że nie przeżyje ani dnia rozłąki z ukochanym mężem, jedynym żywicielem rodziny. Mówiąc to jednak popatrywała łakomie na woreczek, który Smok jakby niechcący położył na stole. Był to woreczek dość pękaty, a jego zawartość miło brzęczała, gdy Smok przesuwał go z miejsca na miejsce, udając, że się nim bawi.

Korzystając z chwilowej przerwy w jej lamentach, Smok chrząknął i powiedział:

- Zaczna damo. Rozumiem w pełni twój ból na myśl o rozłące z małżonkiem. Choć jestem Smokiem, serce mani czułe i miękkie. Zrozum jednak, że los całego kraju zależy od udania się naszej wyprawy. A znów los wyprawy zależy od tego, czy twój mążweźmie w niej udział. Powinnaś być dumna, że jesteś żoną człowieka tak utalentowanego i pełnego cnót wszelkich. Zawartość tego oto woreczka pozwoli ci na spokojne przeżycie bolesnego okresu

rozłąki. Gdy zaś wrócimy z podróży, poproszę księcia, żeby cię odznaczył Orderem Cukrowego Buraka, do którego przywiązana jest dożywotnia pensja w wysokości dwustu dukatów miesięcznie!

Poważny ton głosu Smoka przekonał Katarzynę, że dalsze opieranie się nie ma już sensu. Westchnęła więc głęboko, otarła oczy fartuchem i zboląłym głosem oświadczyła:

- A więc niech już będzie po waszej woli, czcigodny panie Smoku. Tylko błagam was, odżywiajcie go dobrze, bo mąż mój przyzwyczajony jest do częstych i obfitych posiłków.

Słyszając to Marcin Lebioda parsknął śmiechem, ale zgromiony ostrym spojrzeniem małżonki, udał, że się zakrztusił i wybiegł czym prędzej na podwórze.

W godzinę później przed domem zawarczał silnik samochodu. Uczestnicy wyprawy zajęli swe miejsca pod brezentową budą, zaopatrzoną w liczne okienka. W ostatniej chwili pani Katarzyna wetknęła w rękę męża wielką kromkę chleba z wędzonką.

- To na drogę, żebyś nie zgłodniał do rana. I wracaj jak najszybciej.

Marcin poczuł ukłucie w sercu. - A” jednak ona mnie kocha na swój sposób - pomyślał wzruszony. - Może by jednak zostać?

Ale już było za późno. Samochód ruszył, rozchlapując kałuże na leśnej drodze. W świetle reflektorów zaróżowiły się smukłe pnie sosen.

Profesor Gąbka, siedzący obok Marcina, klepnął go po plecach i powiedział:

- Pamiętaj, że od tej chwili wszyscy mówimy do siebie per ty. Jak się czujesz, Marcinku?

- Znakomicie - odparł były zbójca. - Jakbym się na nowo urodził.

. - Gdy wrócimy z wyprawy - dodał profesor - zbuduję sobie w tym lesie drewniany domek i będę tu przyjeżdżać na wakacje. Obyśmy tylko wrócili szczęśliwie...

- Spokojna głowa - powiedział z przekonaniem Marcin. - Przecież Smok jest z nami!

Rozdział IV

PRZYKRA NIESPODZIANKA

- Wstawać, zabojały i ślimakożerce - zawołał pan Chroboczek, dozorca, otwierając drzwi do izby Deszczowców. - Przyniosłem wam śniadanie.

- Jaka pogoda? - mruknął zasnym głosem Największy Deszczowiec.

- Śliczna. Słońce świeci od samego rana. Przyleciały bociany i skowronki.

- Ohyda - skrzywił się były władca Kibi-Kibi. - I jak tu żyć w takim kraju?

Pań Mżawka wystawił spod koca swe błoniaste stopy o zgniłozielonym zabarwieniu.

- Podły u was klimat - powiedział, czochrając się grzbietem o brzeg łóżka. - Już cztery lata tu mieszkam i ani rusz nie mogę się przyzwyczaić.

Dozorca postawił na ziemi wiadro z polewką.

- No, dość już tego narzekania. Od dziś będziecie mieć więcej roboty, żeby się wam nie nudziło.

- Co takiego? - jęknął Największy Deszczowiec.

- Codziennie będziecie szorować Smoczą Jamę - objaśnił pan Chroboczek.

- A on sam nie może?

- Wczoraj wieczorem wyjechał na wielką wyprawę.

Mżawka, który mimo czterech lat pobytu w Grodzie Kraka nie zapomniał, iż był kiedyś szpiegiem, nastawił z ciekawością spiczaste uszka.

- Dokąd?

- To nie ma nic do rzeczy - odparł szorstko dozorca i groźnie poruszył wąsami, -r- Dość, że wyjechał.

- Tajemnica państwowa? - zarechotał były właściciel sklepu z mokrymi bułeczkami i spleśniałą mąką.

- A może i tajemnica. Dość tego, za kwadrans do roboty!

- Dobra, dobra - rzekł pojednawczo Największy Deszczowiec - pożartować nie można?

Opróżniwszy wiadro do ostatniej kropli poczapali przez długi korytarz i wydostali się na dziedziniec, na którym stały wielkie kadzie z deszczówką.

- Gdybym wiedział, że Chroboczek nas nie podgląda - rzekł Mżawka - skapałbym się w kadzi.

- Ani mi się waż! To jest surowo zabronione - zachnął się jego były władca. - Rozkaz

przełożonego jest święty, czyż nie uczyłem cię tego w dawnych dobrych czasach? Zresztą dziś jest sobota i po pracy pójdziemy do łaźni.

- Wiem, wiem, ale tak mnie coś ciągnie, żeby dać nurka.

- A myślisz, że mnie nie? Czekaj, czekaj, jeszcze wrócą dobre chwile.

Mżawka zmrużył oko.

- Kiedy?

- Może szybciej, niż ci się zdaje... Powiem ci coś, gdy będziemy w łaźni. A teraz do roboty. Całe szczęście, że to jest mokra robota.

Szorując podłogę w Smoczej Jamie, Największy Deszczowiec smętnie wspominał czasy, gdy był jeszcze władcą rządzącym srogo i bezlitośnie. Wszyscy mieszkańcy Kibi-Kibi drżeli na sam dźwięk jego imienia. Na swe usługi miał dwie armie. Jedna, uzbrojona po zęby, zapewniała spokój w państwie; druga, złożona ze szpiegów i denuncjatorów, dbała o to, aby nawet najmniejsza myśl o buncie nie zrodziła się w głowach obywateli. A teraz, pozbawiony tronu, znaczenia i powagi, musiał szorować mieszkanie swego najgorszego wroga, Smoka Wawelskiego! Przecież nie kto inny, tylko Smok znalazł go w kryjówce, którą wyszukał sobie podczas rewolucji w Kibi-Kibi. Przecież to nie kto inny, tylko Smok, przywiózł go do Grodu Kraka i oddał w ręce księcia... Na myśl o swym przeciwniku Największy Deszczowiec obnażył kły, wyrastające z przekrwionych dziąseł... To sprawka Smoka, że obecnie na tronie w Kibi-Kibi zasiada prosty człek, Salamandrus, dawny dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów! To jego sprawka, że w tej chwili on, Największy Deszczowiec, musi podlewać książęce ogrody, spać na twardej pryczy, wstawać na rozkaz dozorczy i kłaniać się grzecznie każdemu mieszkańcowi Grodu Kraka. - Ale to się zmieni - myślał wykręcając nad wiadrem brudną ścierkę. - To się zmieni szybciej, niż się im wydaje... A wtedy przyjdzie słodki czas zemsty! Przyjdzie czas porachunku za wszystkie cierpienia.

- Czy nie uważasz, panie - rzekł Mżawka - że, prawdę mówiąc, nie jest nam najgorzej w tej niewoli? Pomyślał: gdyby nie dobroć księcia Kraka, moglibyśmy teraz wisieć w suszarni i cierpieć straszne męki. O ile dobrze pamiętam, to i Smok wstawiał się za nami...

Największy Deszczowiec zerwał się z klęczek i nie panując nad sobą, pchnął Mżawkę na ścianę.

- Nikt się ciebie, durniu, o zdanie nie pyta - warknął groźnie. - Byłeś jednym z najgłupszych szpiegów mojej Tajnej Służby, a teraz śmiesz udzielać mi rad i mieć inne zdanie niż ja?

- Wybacz, panie - zawołał Mżawka, taplając się w kałuży brudnej wody. - Nie miałem nic złego na myśli. Masz zupełną rację, o Wielki i Wspaniały, jest nam bardzo źle, a to, co

powiedziałem, wynikało z mojej bezdennej głupoty i zupełnego braku inteligencji.

- W porządku - udobruchał się władca. - Wybaczam ci. Zresztą jesteś md potrzebny, bo mam pewne, daleko idące plany. Ale pamiętaj, jeżeli raz jeszcze pochwalisz przede mną Smoka lub Kraka, to zrobię z ciebie kotlet siekany i bigos hultajski! A teraz dość gadania! Kto wie, czy te ściany nie mają uszu? U mnie miałyby na pewno!

Wieczorem, zgodnie z dawnym zarządzeniem księcia, pan Chroboczek zaprowadził Deszczowców do łaźni, mieszczącej się na parterze zachodniego skrzydła zamku.

- Możecie się chlapać przez półtorej godziny - rzekł do swych podopiecznych. - Zamykam was na klucz i idę do siebie, bo jest mecz w telewizji.

- Kto dziś gra? - zainteresował się pan Mżawka, ucieszony perspektywą niezwykle długiej kąpieli.

- Miodunka z Cracovią. Od wyniku zależy wejście do Ligi.

- E, Cracovia dziady - skrzywił się Mżawka.

- Co ty tam wiesz... W ataku mają takiego asa jak Wyrwidąb z Podłęża, bo Mortadela w zeszłym tygodniu zwichnął nogę. Zwycięstwo murowane.

- Ja też kiedyś grałem w piłkę - pochwalił się Mżawka. - Ale w wodną, na największym basenie w Kibi-Kibi. Byłem jednym z najlepszych bramkarzy KS Tajniak.

- To było dawno i nieprawda - wtrącił się do rozmowy Największy Deszczowiec. - Nie udawaj, że jesteś znawcą sportu.

- Idę - rzekł pan Chroboczek. - A umyjcie się najpierw pod natryskiem, żebyście nie zabrudzili basenu gliną.

To mówiąc zatrzasnął drzwi i dwukrotnie przekręcił klucz w zamku. Gdy jego kroki ucichły w głębi korytarza, Największy Deszczowiec odkręcił kurki wszystkich pryszniców. Szum wody wypełnił pomieszczenie.

- Nareszcie mamy deszcz - rzekł z lubością w głosie. - Jaka to cudowna muzyka! Ten plusk, ten chłupot, ten szmer cieknącej wody... A teraz dość poezji. Zbliź się i słuchaj uważnie.

Nachyliwszy się do ucha pana Mżawki, szeptał konspiracyjnie: - Już od dawna rozmyślałem nad tym, jak by tu dać nogę i wrócić na swój tron. Gdy ty chrapałeś, aż ściany się trzęsły, ja opracowywałem znakomity plan ucieczki.

Mżawka podskoczył z wrażenia.

- Słuchaj więc - ciągnął były władca - jedyna droga na wolność prowadzi przez łaźnię.

- Przecież jesteśmy zamknięci na klucz. - Głupiś jak zwykle. Spójrz na ten basen.

- No?

- Me widzisz, ośle, że na tej ścianie, tuż nad wodą, jest zakratowany otwór?

- Widzę. I co z tego?

Największy Deszczowiec pozieleniał z oburzenia.

- Nic dziwnego, że straciłem tron, skoro miałem takich głupich szpiegów! Zrozum, że przez ten otwór wycieka nadmiar wody z basenu. Takie samo urządzenie miałem u siebie w pałacu.

- Wybacz, panie, ale ja w swoim domu miałem tylko beczkę z deszczówką.

- Słuchaj więc uważnie. Jeżeli się nam uda oderwać tę kratę, dostaniemy się do kanału.

/

- To cudownie! - krzyknął pan Mżawka. - Od dziecka chciałem być kanalarzem!

- Kanał uchodzi do Wisły, rozumiesz? Sprawdziłem to dziś, po drodze do Smoczej Jamy. Zabierajmy się. więc do roboty, mamy półtorej godziny czasu. Ten dureń nie przyjdzie tu przed końcem meczu. Raz, dwa, fezy!

Rozległy się dwa pluśnięcia i obaj Deszczowcy znaleźli się w basenie. Po chwil ich szponiaste palce wczepiły się w kratę.

- Hej, siup - zabulgotał Największy Deszczowiec.

- Hej, siup - powtórzył Mżawka.

Ale krata nawet nie drgnęła. Ponowili wysiłek, lecz znów bez rezultatu.

Największy Deszczowiec sapał przez dłuższą chwilę

- Nie damy rady. Osłabiliśmy na tym więziennym wikcie. Trzeba się wziąć na sposób.

Wydostał się na brzeg basenu i omiół wzrokiem wszystkie kąty łaźni. W jego oczkach pojawił się błysk zadowolenia.

- Mam! - krzyknął, zapominając o ostrożności. - To będzie dobre!

W jednym z kątów leżały na ziemi dwie długie i cienkie rurki, przyniesione tu przez robotników, którzy mieli zainstalować nowy prysznic. Deszczowiec porwał jedną z nich i stanął nad brzegiem basenu.

- Wyłaż - rozkazał panu Mżawce.

Stojąc na samej krawędzi wsunęli rurkę między kraty.

- Teraz musimy razem pociągnąć za drugi koniec - hej, siup!

- Hej, siup - powtórzył Mżawka jak echo.

Rozległ się trzask i oderwana kratka opadła na dno basenu.

- Zwycięstwo! - zawołał Deszczowiec. - Zwycięstwo! Skaczemy do wody.

Wśliznięcie się w otwór nie przedstawiało już żadnych trudności. Znaleźli się w ciemnej, opadającej skośnie rurze. Pełznąć powoli na brzuchach, dotarli po chwili do jej końca. W głębokiej ciemności usłyszeli pod sobą plusk przepływającej wody.

- Pod nami jest kanał - szepnął Deszczowiec. - Musimy tam skoczyć.

- Może są jakieś klamry?

- Skądże by się tu wzięły? Nie ma rady, trzeba skakać.

Pan Mżawka począł delikatnie wycofywać się w kierunku basenu.

- Co robisz? - zapytał go władca.

- Przecież tobie, o panie, należy się pierwszeństwo. Choćby z racji wieku i urzędu.

Największy Deszczowiec zazgrzytał zębami.

- Ty skoczysz pierwszy. Taka jest moja wola. Od czego cię mam?

- A jeżeli Okręcą kark?

- To przynajmniej wyląduję na czymś miękkim.

- Zlituj się, choćby ze względu na moje usługi. To przecież ja śledziłem profesora Gąbkę i donosiłem ci o każdym jego kroku.

- Płaciłem ci za to, i to dobrze. Skacz! Nieszczęsny Mżawka zamknął oczy i skoczył. Ryk strachu, jaki przy tym wydał, zdolny był sparaliżować każdą żywą istotę, ale na jego towarzyszu nie wywarł żadnego wrażenia. Po długiej, stanowczo zbyt długiej chwili, doleciał z dołu głośny plusk. Władca Kibi-Kibi nachylił się nad czarną studnię i krzyknął:

- Żyjesz? Odezwij się.

- Żyję - jęknął Mżawka - ale wbiłem się w muł aż po piersi. Strasznie tu śmierdzi.

- Uwaga, teraz ja skaczę.

Największy Deszczowiec ścisnął nos palcami i skoczył, rozczapierzając jak najszerzej błonę między palcami nóg, aby stworzyła coś w rodzaju spadochronu. Lecąc w dół jak kamień, również nie mógł się powstrzymać od wydania przeraźliwego krzyku, który po chwili zakończył się pluskiem i bulgotaniem. Udało się! Tkwił w szlamie po piersi, podobnie jak Mżawka, ale był cały i żywy.

- Nie przypuszczałem, że ta studnia jest tak strasznie głęboka - rzekł wreszcie, gdy minęło oszołomienie spowodowane upadkiem. - To dobry znak, widocznie jesteśmy na poziomie rzeki. Teraz musimy iść z biegiem wody.

- O ile to coś można nazwać wodą - mruknął pod nosem pan Mżawka.

Zanurzeni w cuchnącej cieczy, posuwali się krok za krokiem, macając dłońmi po ścianach, wykonanych z wielkich kamiennych bloków. Słyszeli wokół siebie piski wystraszonych szczurów i szum wody ściekającej z wysoko umieszczonych otworów. W pewnej chwili spadł im na głowy prawdziwy deszcz ziemniaczanych obierzyn,

- Jesteśmy pod kuchnią - zamlaskał z radością Największy Deszczowiec. - To znaczy, że wkrótce powinniśmy dojść do rzeki.

Błoniaste stopy zbiegów ślizgały się w gęstej mazi, zalegającej dno kanału. Straszliwy fetor wiercił w nozdrzach i powodował nudności. Czuli, że jeżeli wkrótce nie wyjdą na świeże powietrze, stracą przytomność i utoną w tłustym szlamie. Aby się nie pogubić, ujęli swe dłonie i posuwali się krok za krokiem, ogarnięci jedną, jedyną myślą: byle jak najszybciej wyjść na powietrze! W pewnej chwili odczuli na twarzach powiew wiatru. Nadzieja wstąpiła w ich serca. Przyspieszyli kroku i nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni! To było tak niespodziewane, że gdy wreszcie ujrzeli nad sobą gwiazdy, nie mogli uwierzyć oczom. Nic nie mówiąc, łąpczywie wciągali do płuc czyste i chłodne powietrze nocy. Tuż przed nimi toczyły się fale Wisły.

- W tej chwili zrozumiałem pojęcie słowa „wolność” - rzekł Największy Deszczowiec. - Dotychczas zdawało mi się, że jest to słowo zupełnie idiotyczne i pozbawione jakiegokolwiek treści. Jesteśmy wolni!

- Z ust twoich, o panie, płynie potok mądrości - rzekł przymilnie pan Mżawka, wskakując w swą dawną, pełną czołobitności i lizusostwa skórę funkcjonariusza TUSPO, czyli Tajnego Urzędu Spraw Podejrzanych.

- Gdy odzyskam tron - dodał Największy Deszczowiec - zamianuję cię Największym Strażnikiem Niezwykle Mokrej Pieczęci. - Masz na to moje królewskie słowo.

Pan Mżawka pomyślał, że jeszcze dużo wody upłynie w Wiśle, zanim spełni się ta obietnica, ale oczywiście zachował tę myśl dla siebie. Wiedział bowiem z doświadczenia, że tyrani. bardzo nie lubią, gdy podwładni mają wątpliwości co do ich obietnic.

- A teraz płyniemy - zakomenderował władca. - Tylko jak najciszej, żeby nas nie usłyszały straże na murach. Mamy całą noc przed sobą. I całą Wisłę dla siebie!

Tego popołudnia książę Krak odprawiał sądy w Kostropatce, niewielkiej osadzie, pobudowanej niedawno wśród lesistych gór, nad bystrą i pełną pstrągów Grzmiączką. Składało się na nią kilkanaście drewnianych chat o dachach pokrytych gontami. Mieszkali tu drwale, bartnicy i smolarze. Zadaniem pierwszych było stopniowe karczowanie puszczy, która zaczynała się tuż za osadą i ciemnym płaszczem pokrywała góry, ciągnące się aż do południowych granic księstwa. Bartnicy dobywali miód z leśnych barci i wozili go do grodu w małych, drewnianych baryłeczkach; smolarze zaś, jak sama nazwa wskazuje, wytapiali smołę, przydatną wielce do zatykania szpar w łodziach wiślanych, które zwoziły do stolicy płody Puszczy Dębowej: drewno, żołądź, leśne jagody, grzyby, a także zioła lecznicze.

Sprawą rozstrzygniętą dziś przez księcia był spór, który wynikł między mieszkańcami Kostropatki w związku z budową mostu. Mieszkańcy lewego brzegu Grzmiączki, od dawna

„drący koty” z mieszkańcami brzegu prawego, zabrali się do budowy w miejscu dla siebie dogodnym. Zbudowawszy połowę mostu, przerwali pracę, uważając, iż resztę powinni wykonać . ich sąsiedzi z przeciwka. Ci jednak chcieli mieć most o sto metrów niżej. Pewnej nocy zgromadzili więc budulec nad rzeką i do rana zbudowali swoją połówkę. W ten sposób wieś wzbogaciła się o dwie połówki mostu, między którymi nie było połączenia. Sprawa była więc trudna i skomplikowana. Książę nie byłby jednak mądrym władcą, gdyby nie znalazł z niej wyjścia. Jego rozkaz brzmiał następująco:

„Rozkazuję, abyście w ciągu dwu najbliższych tygodni przegrodzili Grzmiączkę tamą, która skieruje rzekę całkowicie poza osadę. W ten sposób obydwie części Kostropatki znajdą się po jednej stronie Grzmiączki, przez co raz na zawsze zniknie powód do gorszących kłótni. Aby was jednak ukarać za marnotrawstwo pracy i drewna, postanawiam mocą swej książęcej władzy pozostawienie na swym miejscu obydwu wykonanych już połówek mostu. Ich widok będzie dla waszych dzieci i wnuków ostrzeżeniem, do czego prowadzi brak zgody. A na koniec zarządzam, iż od dnia dzisiejszego osada wasza zwać się będzie Półmostki, co na wieczną rzecz pamiątkę zostanie wpisane do ksiąg zamkowych i opatrzone Wielką Pieczęcią z wizerunkiem Smoka Wawelskiego.”

Wydawszy ten wyrok, książę wychylił kubek koziego mleka, wsiadł na konia i w towarzystwie Szefa Książęcej Kancelarii imię pana Euzebiusza Onufrego dwojga imion Borówki, wrócił do stolicy. Na zamkowym dziedzińcu rzucił cugle pachołkom i udał się do swych komnat, aby spożyć wieczerzę i odpocząć po trądach urzędowania. Zaledwie jednak rzucił okiem na najnowszy numer „Echa Kraka”, do jadalni wpadł dozorca Chroboczek Był błądy, drżał jak w ataku febry, a jego ruda czupryna wyglądała tak, jak gdyby przed chwilą chciał ją sobie doszczętnie wyrwać z głowy.

- Co się stało? - zawołał książę. - Jak ty wyglądasz?

- Deszczowcy uciekli!

- Co? Kiedy?

- Zmiłuj się nade mną, panie - jęknął przez łzy dozorca. - Byli w łaźni, bo dziś sobota. Zamknąłem ich na klucz. A oni oderwali kratę od basenu i wskoczyli do kanału. O, ja nieszczęsny! To przeze mnie, bo zamiast ich pilnować, poszedłem oglądać mecz Miodunki z Cracovią.

- Jaki wynik, mów!

- Dwa zero dla Miodunki.

- Patałachy - mruknął książkę pod nosem - ale to teraz nieważne. Zarządzam natychmiastowy alarm dla floty wiślanej! Wszystkie statki i łodzie mają być gotowe za dziesięć minut! Popłyniesz ze raną na kajaku. A swoją drogą Cracovia mogłaby się podciągnąć. Nawet Wyrwidąb im nie pomógł...

Tymczasem obaj Deszczowcy, korzystając z bezksiężycowej nocy, płynęli środkiem Wisły, szczęśliwi nie tylko z odzyskania wolności, lecz także z tego, że znajdowali się w swym ulubionym żywiole. Dawno już zostawili za sobą Gród Kraka oraz kilka podmiejskich osad, zamieszkałych przez rzemieślników i rybaków. Od czasu do czasu układali się plecami na wodzie i pozwalali się nieść falom rzeki, wijącej się wśród rozległych błoń.

- Wyobrazasz sobie minę Chroboczka, gdy otworzył drzwi łaźni - zarechotał Największy Deszczowiec. - Nie chciałbym być teraz w jego skórze.

- Jak myślisz, panie - rzekł Mżawka - czy pogoń już ruszyła za nami?

- Sądzę, że tak. Ale możemy być spokojni, mamy co najmniej dwie godziny przewagi. Przez dłuższą chwilę płynęli w milczeniu. Wreszcie przerwał je głos władcy.

- Gdy zacznie świtać, schowamy się w krzakach. Przeczekamy do wieczora i znów popłyniemy dalej.

- Dokąd? - odważył się zapytać pan Mżawka.

- Do morza. Gdy szykowałem wojnę, obejrzałem sobie dokładną mapę tej krainy i wiem, że Wisła wpada do morza.

- Do jakiego?

- Ba, żebym to wiedział - westchnął były tyran. - Ten tuman, który rysował mapę, zapomniał podać jego nazwę. Ale to nic, wszystkie morza się łączą, więc prędzej czy później dostaniemy się do domu.

- Ale tam rządzi ten łajdak Salamandrus...

- Spokojna głowa, damy sobie radę. Na pewno są jeszcze w kraju moi zwolennicy. Powieszę Salamandrusa w suszarni i wrócę do swego basenu o ścianach wyłożonych malachitem.

- A ja do swego sklepiku ze stęchlą mąką...

- Głupiś! Nie wrócisz już do sklepiku. Zapomniałeś już, że zostaniesz Największym Strażnikiem Niezwykle Mokrej Pieczęci?

- Ach tak, panie, będziesz mieć we mnie najwierniejszego sługę.

- Mam nadzieję.

Chwilowo temat do rozmowy wyczerpał się, toteż znów spływali w milczeniu, obserwując korony drzew, które powolnym ruchem przesuwały się ku tyłowi.

Gdy będę dostojnikiem - rozmyślał pan Mżawka - dam sobie uszyć szatę z żółtego jedwabiu, haftowanego wodorostami. Będę w niej wyglądać nie gorzej niż władca.

W tym samym czasie Największy Deszczowiec układał już plany pozbycia się Mżawki z chwilą wylądowania w Krainie Deszczu.

Ten dureń myśli, że naprawdę zrobię go Strażnikiem Pieczęci. Ani mi to w głowie. Potrzebni mi będą mędrcy, a nie takie głuptaki jak ten sklepikarz od siedmiu boleści. Ale na razie jest mi potrzebny, więc cicho sza...

Po kilku godzinach zbiegowie spostrzegli, że gwiazdy poblądły. Nad rzeką gęstniała mgła.

- Noc się kończy - rzekł tyran. - Trzeba znaleźć dobrą kryjówkę. Płyniemy do brzegu.

Wyskoczywszy z wody, otrzepali się jak psy i rozejrzeli się dookoła. Po obu stronach rzeki ciągnął się gęsty las, pozbawiony liści, nagi i niegościnnie. W zagłębieniach terenu bielily się płaty zlodowaciałego śniegu. Ale tu i ówdzie spod zesłorocznych liści dobywały się na świat pierwsze, nieśmiałe pejdy roślin.

- Musimy znaleźć jakieś bagno - mrucał Największy Deszczowiec, krocząc niezgrabnie na swych błotniastych stopach. - Zagrzebiemy się w nim po szyję, głowy nakryjemy chrustem i przeczekamy do wieczora.

- Nie mamy nic do jedzenia - wyrwało się panu Mżawce.

- Jeżeli jesteś głodny - zachichotał władca - to wróć do zamku. Rano pan Chroboczek przyniesie ci wiadro klusek ze Ślimakami...

- Za żadne skarby - wzdygnął się Mżawka. - Wolę obgryzać korę z drzew jak mypingi, niż wracać do Grodu Kraka.

Po dłuższych poszukiwaniach natrafili wreszcie na bajorko, wypełnione śnieżno-lodową kaszą. Na jego dnie leżała warstwa zgniłych liści.

- O, jest coś dla nas - ucieszył się władca. - Wymarzone miejsce! Nareszcie będę się mógł zdrzemnąć.

- Z rozkoszą prześpię się kilka godzin - rzekł Mżawka, układając się wygodnie na łożu z liści.

Ale Największy Deszczowiec spojrział na niego surowo:

- Nic z tego. To ja będę spać, a ty musisz czuwać. Od czego cię mam?

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - przyznał były kupiec.

Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej. Wschodnia część nieba poróżowiła. Zaczęły

ćwierkać pierwsze ptaki. Nad Puszcą Dębową wstawał nowy dzień.

Rozdział V

SZCZEKAJĄCY MYPING

W ciągu dwóch pierwszych dni wyprawy nie wydarzyło się nic szczególnego, jeżeli pominąć „złapanie gumy” przez samochód oraz złapanie muchy przez kucharza. Przedziurawioną oponę wymieniono szybko na nową; gorzej było z muchą, którą Bartolini złapał do lewego oka. Ponieważ o wymianie oka nie mogło być mowy z powodu braku części zastępczych, trzeba było namówić muchę do zmiany miejsca pobytu. Udało się to doktorowi przy pomocy rożka od chusteczki, co biedny kuchmistrz skwitował obfitym potokiem łez, będących według jego słów łzami wdzięczności dla znakomitego chirurga.

Już pod koniec pierwszego dnia osiągnęli granicę księstwa, przebiegającą w tym miejscu przez przełęcz między Roztrzezańcem a Mandragorą Wielką. Jak wyjaśnił profesor, nazwa pierwszej z tych gór powstała na pamiątkę wielce roztargnionego geografa, który osiągnąwszy jej wierzchołek zapomniał na nim swego parasola. Z tego powodu wrócił do Grodu Kraka przemoczony do suchej nitki, parasol zaś, wbity w ziemię, zapuścił korzonki, dając początek gęstemu gajowi drzew parasolowych, które od tego czasu stanowiły wielką osobliwość Gór Skalistego Południa.

- Zatrzymajmy się tu na chwilę - rzekł Smok - i popatrzmy na te nasze -kochane strony, bo kto wie, kiedy je znów ujrzymy... Cholernie lubię podróżować, ale zawsze, gdy, jestem na granicy, ogarnia mnie ochota, aby w te pędy wrócić do Jamy, wskoczyć w pantofle i zaparzyć sobie filiżankę czarnej kawy.

Wysiadł z samochodu i z westchnieniem ulgi rozprostował kości. W ślad za nim opuścili pojazd wszyscy jego pasażerowie.

U ich stóp leżał gęsto zalesiony kraj, nakryty błękitnym sklepieniem, nieba, po którym wolno płynęły małe obłoczki. Po wielu bowiem dniach marcowej słoty znów pokazało się słońce, a wraz z nim zerwał się ciepły wiatr, niosący z sobą zapowiedź wiosny.

Każdy z podróżników myślał w tej chwili o swych najbliższych, którzy w niewidocznym już stąd grodzie oddawali się codziennym zajęciom. Każdy też zadawał sobie pytanie, kiedy losy pozwolą mu na powrót do domu. Czekala ich przecież wyprawa pełna, być może, niespodzianek i niebezpieczeństw, zwłaszcza że udawali się w strony zupełnie jeszcze nie zbadane, w krainy nie umieszczone na żadnych mapach, w okolice nie opisane w żadnych księgach! Wiedzieli tylko jedno, że z tych właśnie stron każdej wiosny ciągną stada mypingów

i że w te strony wracają one po swych niszczycielskich wyprawach. Gdyby trasa podróży wiodła, tak jak poprzednio, w kierunku Krainy Deszczowców, wyprawa nie nastroczałaby zbyt trudności. Zнали już bowiem Królestwo Psiogłowców z siedzibą Smoka Mlekopija, znali też Słonecję, Krainę Bo-Bo i wiele innych okolic. Ale w tej chwili czekała ich prawdziwa WYPRAWA W NIEZNANE, a to, co nieznanne, w każdym człowieku budzi pewien lęk i poczucie niepewności. Nic też dziwnego, że nadrabiali minami i starali się przy pomocy żartów wytworzyć atmosferę krótkiej i przyjemnej wycieczki za miasto. Jedynie Ares całkowicie był wolny od smutnych myśli, jako że znajdował się w towarzystwie swego pana, co jak wiadomo, jest dla każdego psa wystarczającym powodem do szczęścia.

Smok, jako dowódca wyprawy, daleki był jednak od żartów i z troską w swych niebieskich oczach spoglądał na samochód, od którego w dużej mierze zależało powodzenie ekspedycji. Pojazd ten był w całości dziełem jego rąk, zmajstrował go w ciągu trzech ostatnich lat, wykorzystując doświadczenie zdobyte na poprzedniej wyprawie. Najważniejsza - i wprost genialna - zmiana dotyczyła paliwa. Trudną do uzyskania benzynę zastąpił Smok zwyczajną wodą z dodatkiem... soli kuchennej. Wymagało to oczywiście dużych zmian w konstrukcji silnika, który został wykonany ze starych wiader i polewaczek, dostarczonych przez ZOG, czyli Zarząd Oczyszczania Grodu. Obecnie był to olbrzymi i pojemny wóz ciężarowy, prawdziwy „dom na kółkach”, mający zapewnić podróżnikom wszelkie wygody. Mieściły się w nim zapasy żywności, namioty, materace i łodzie pneumatyczne, składane meble, drabinki sznurowe, zwoje lin, przybory do nurkowania, sieci, parasole, a nawet kalosze... Całość pokrywała nieprzemakalna osłona z brezentu, zaopatrzona w liczne okienka. Prawdziwą zaś ozdobę stanowiła antena, zmontowana na dachu szoferki i zapewniająca łączność radiową w promieniu pół tysiąca kilometrów! Na wypadek, gdyby trzeba było przekroczyć tę odległość, wieziono z sobą stadko odpowiednio przeszkolonych gołębi pocztowych.

Spojrzawszy po raz ostatni w kierunku Grodu Kraka, podróżnicy zajęli miejsca w samochodzie. Smok ujął kierownicę i zawołał wesoło: „Komu w drogę, temu czas!” Z głośnym warkotem silnika samochód ruszył z miejsca, nie zważając na to, że porządny gościniec zmienił się nagle w zupełnie bezdroże, usiane kamieniami i porośnięte przez rzadkie krzaczki żmijowego ziela.

- Zapnijcie pasy bezpieczeństwa - zakomenderował Smok. - I nie mówcie zbyt wiele, żeby sobie nie uszkodzić języków.

- Szkoda - westchnął Bartolini. - Właśnie miałem ochotę zaintonować jakąś piosenkę. Np. „Miała baba koguta”...

- Musisz poczekać z tym do następnego festiwalu w Sopocie - mruknął Smok,

uśmiechnąwszy się pod wąsem. Tak, tak, pod wąsem, ponieważ trzeba wiedzieć, że przed rokiem Smok zapuścił sobie Wspaniałe wąsiska, z którymi było mu bardzo do pyska...

Przed wieczorem znaleźli się na rozległej równinie, pokrytej gęstą, lecz niezbyt wysoką trawą. Za nimi, na tle pogodnego nieba, rysowała się poszarpana grań Gór Skalistego Południa, z charakterystycznym wierzchołkiem Roztrzępańca, przypominającym spiczastą czapkę astrologa. W ogromnej ciszy i spokoju płynął ku północy klucz żurawi. Spod kół samochodu uskakiwały wystraszone ćwokwy, podobne do wielkich chomików, które dorwały się do składu z farbami... Niektóre z nich odznaczały się ognście czerwonym futerkiem, nakrapianym czarnymi cętkami.

- Wspaniałe! - zawołał profesor na ich widok. - Pierwszy raz w życiu widzę tak piękne okazy. Ciekaw jestem, czym się odżywiają te urocze zwierzęta.

Wzmianka o odżywianiu się do głębi poruszyła imć Bartoliniego.

- Mamma mia! - krzyknął pocziwiec. - Najwyższy już czas na kolację. Trzeba rozbić obóz, bo wkrótce zapadną ciemności.

- Słuszna uwaga - przyznał Smok. - Mam ogromny apetyt na jajecznicę z czterdziestu sześciu jaj.

- Dlaczego właśnie z czterdziestu sześciu, a nie np. z trzydziestu ośmiu? - zainteresował się doktor Koyot.

- Czyżbyś już zapomniał, drogi konsyliarzu, że mam czterdzieści sześć zębów? Jedno jajko na jeden ząbek, to chyba nie za wiele. Muszę dbać o linię.

Zatrzymali się nad brzegiem rzeki, toczącej bystro swe wody ku południowi. Trudno było o lepsze miejsce na biwak. W ciągu pół godziny rozbito pięć namiotów, z których każdy był w innym kolorze. Pomarańczowy namiot należał do Smoka, żółty do profesora, niebieski do Koyota, zielony do Bartoliniego, a liliowy do Lebiody. Tuż przy samochodzie ustawiono budę dla Aresa, zaopatrzoną w puchowy materacyk, uszyty własnoręcznie przez Pelasię. Marcin Lebioda w mig rozpałił ognisko, Bartolini zaś ustawił obok niego składany stół i kilka wygodnych fotelików. Tymczasem Koyot starał się uzyskać radiowe -połączenie z Grodem Kraka, aby przekazać do rozgłośni krótkie sprawozdanie z minionego dnia.

Smok usiadł na krzeselku, wyciągnął przed siebie nogi we wspaniałych butach z łosiowej skóry i zapalił swą ulubioną fajeczkę.

- Moi kochani - rzekł, wypuściwszy z paszczy kilka kłębów aromatycznego dymu. - Świat jest piękny i ciekawy, a jeśli uważacie inaczej, możecie przepuścić mnie przez maszynkę do mięsa i zrobić kotlet dla Aresa.

Na te słowa profesor Gąbka drgnął niespokojnie, uświadomiwszy sobie, że już od

pewnego czasu nie widział swego ulubieńca. Rozejrzał się więc dookoła i stwierdził, że pies zniknął.

- Co się stało z Aresem?

- Widziałem go niedawno, jak biegł ku rzece - rzekł Lebioda. - Pewnie chciał się napić wody.

Gwizdanie i nawoływanie nie dało jednak żadnego rezultatu. Było to zdumiewające, ponieważ Ares odznaczał się niezwykle wprost posłuszeństwem.

Kucharz wyraził przypuszczenie, że pies poluje na ćwokwy i dlatego oddalił się od obozu.

- A ja myślę - rzekł Smok - że psisko chciało trochę pobiegać, bo przez cały dzień musiało siedzieć w samochodzie. Nie ma powodu do obaw.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy w oddali rozległo się szczekanie Aresa. Po chwili oczom zgromadzonych przy ognisku ukazał się wilczur, biegnący w zgodzie z najprawdziwszym mypingiem! Pies przypadł do nóg profesora, myping zaś, na widok ludzi, zatrzymał się w odległości trzydziestu metrów, gotów do natychmiastowej ucieczki. Marcin Lebioda wyciągnął ku niemu rękę z piękną marchewką. Myping oblizał się i zrobił kilka kroczków w stronę smakowitego kąska. Zatrzymawszy się ponownie, spoglądał łakomie na trzymany przez człowieka przysmak.

- Uważaj, żeby cię nie ugryzł - ostrzegł Marcina uczony. - Jad mypinga może być niebezpieczny i nie mam pewności, czy surowica przeciw jadowi grzechotników mogłaby ci pomóc...

- Mam grubą skórę - roześmiał się były zbójca. - \No, chodźże bliżej, pokrako zatracona...

Myping znów zrobił kilka kroków w stronę człowieka.

- Rzuć mu to na trawę - zaproponował profesor. - Tak -będzie bezpieczniej.

Gdy Marcin postąpił w myśl zalecenia, zwierzątko błyskawicznie porwało marchew w obie łapki i odbiegłszy kilka kroków włożyło ją do pyska. Następnie pogłaskało się po brzuszku i spojrzało prosząco na Marcina.

- Chcesz jeszcze? -zarechotał Lebioda. - Dolarze, ale tym razem musisz wziąć z ręki, rozumiesz?

Myping przekrzywił główkę jak pies i pomachał ogonem.

- Bartolińciu drogi - rzekł Lebioda - daj mi jeszcze jedną marchewkę.

- Robiąc zapasy nie brałem pod uwagę, że będziemy się bawić w dożywianie mypingów - mruknął kucharz.

- Rezygnuję z marchwi na cały czas wyprawy - rzekł profesor. - To, co robimy, jest niezwykle ważnym eksperymentem naukowym. Bramborus napisał, że mypingi nie dają się oswoić, a tymczasem widzimy że jest odwrotnie...

Tym razem zwierzątko delikatnie wyjęło marchew z ręki Marcina i trzymając ją w łapkach, cofnęło się o kilka kroków.

- Bravo! - ryknął Smok, ucieszony pomyślnym wynikiem doświadczenia. - Niech żyje Marcin Lebioda, pierwszy w dziejach świata treser mypingów!

Były zbój pokraśniał z zadowolenia.

- Gdy mi się nudziło na zbójceckich dyżurach, potrafiłem wytresować wszystkie pchły w moim szałasie. Cierpliwością i perswazją doprowadziłem do tego, że gdy zagwizdałem piosenkę o kotku, co wlaź na płotek, przestawały mnie gryźć i parami opuszczały mój siennik, udając się do lasu.

Tymczasem myping rozpoczął wesołą zabawę z Aressem. Oba zwierzaki goniły za sobą, popychały się i przewracały na trawę. Ares zachowywał się tak, jak gdyby nie był poważnym, prawie trzyletnim psem, tylko kilkumiesięcznym szczeniakiem. W ferworze zabawy odstaniał swe wspaniałe, śnieżnobiałe kły, warczał, szarpał przeciwnika za ogon, przygniatał go łapami do ziemi, uważając jednak, aby nie zrobić mu krzywdy. Gdy w pewnej chwili zaczął szczekać, myping odskoczył w bok, nadstawił uszu i nagle z jego pyska wydarł się głos bardzo podobny do szczekania.

Smok ze zdumienia otworzył paszczę, z której wyleciała mu fajka.

- Słyszeliście? On szczeka!

- To jakaś bardzo inteligentna bestia - krzyknął podniecony profesor. - Nie lubię formułować zbyt pochopnych wniosków, ale wydaje mi się, że trafiliśmy na ślad odkrycia, mogącego mieć ogromne znaczenie dla nauki!

Obydwa zwierzęta, znużone wreszcie zabawą, schowały się do budy. Myping oparł głowę o grzbiet Aresa i przymknął oczy.

- Nie chcę was martwić, koledzy - powiedział Smok, ochłonawszy wreszcie ze zdumienia - ale nasz zespół wzbogacił się o nowego członka. Baltazarku, zapisz ten doniosły fakt w „Kronice Wielkiej Wyprawy”. A teraz chodźmy za ich przykładem i udajmy się na spoczynek. Na kogo wypada dziś dyżur przy ognisku?

- Na mnie - odparł kucharz. - Po północy zluzuje mnie Marcinek.

- A więc dobranoc.

- Dobranoc.

W tej samej chwili z samochodu wyskoczył doktor Koyot i gwałtownie wymachując

ręko ma podbiegł do grupki przyjaciół.

- Udało mi się złapać radiostację Grodu Kraka! - wołał przerywanym z emocji głosem. -
Są nadzwyczajne wiadomości!

- Mów, mów, co się stało?

- Wczoraj późnym wieczorem Największy Deszczowiec i pan Mżawka uciekli z Grodu Kraka! Przedostali się kanałem do Wisły i zniknęli bez śladu. Księżę zarządził natychmiastowy pościg, w którym sam bierze udział płynąc na kajaku „Rusałka”. W całym kraju wprowadzono stan wyjątkowy!

Rozdział VI

W KRAINIE KWITNĄCEGO KROKUSA

Dwie godziny snu w śnieżno-lodowym bajorku pokrzepiły naszych żabojadów tak, że mogli przystąpić do układania planu dalszej ucieczki. Prawdę mówiąc, plan ów był dziełem tyrana, zaś rola Mżawki ograniczała się do pochlebnego pochrząkiwania i ciągłego wywracania oczu, co miało świadczyć o najwyższym uznaniu dla inteligencji władcy.

- Można przyjąć za pewnik, że pościg już się rozpoczął - rzekł Największy Deszczowiec, starając się olśnić swego sługę wyszukany stylem wypowiedzi. - O tej porze pan Chroboczek zawsze przynosił nam poranny posiłek...

- Och, posiłek... - jęknął boleśnie pan Mżawka, ale natychmiast urwał, widząc gniew wzbierający na twarzy swego pana.

- Otóż przyszło mi na myśl - ciągnął dalej były król Krainy Deszczu - że w pierwszym rzędzie poszukiwać nas będzie z biegiem Wisły.

- Zrobią tak, ponieważ nie są głupcami.

- Właśnie że są - wrzasnął władca, do głębi poruszony tym, że Mżawka ośmielił się mieć własne zdanie. - Są największymi głupcami, ale my jesteśmy od nich mądrzejsi! Przynajmniej ja!

- Oczywiście, Najjaśniejszy Panie - wystękał przerażony eks-donosiciel. - Właśnie to samo miałem zamiar powiedzieć.

- I dlatego nie skorzystamy już z rzeki, tylko będziemy uciekać lądem.

- Ge, ge, ge, ge...

- Coś ty, gaś udajesz?

- Ge... genialny pomysł - wykrztusił wreszcie Mżawka, u którego zbyt długie przebywanie w lodowej kaszy spowodowało trudne do opanowania dreszcze.

- Ja zawsze mani genialne pomysły -r- rzekł z dumą Największy Deszczowiec. - Zapamiętaj to sobie na zawsze, jeżeli masz zamiar zrobić karierę. Pójdziemy więc do lasu, aby jak najbardziej oddalić się od rzeki.

- Ale przecież mieliśmy płynąć aż do morza - odważył się rzec pan Mżawka.

- Zrobimy to później. W tej chwili powrót do rzeki byłby jednoznaczny z samobójstwem. Chyba że ci życie zbrzydło..

Mżawka uderzył się pięścią w pierś.

- O panie, jakże by mogło mi zbrzydnać życie przy twoim boku?

- Dobrze, dobrze - rzekł władca. - Widzą, że moje towarzystwo nieźle wpływa na twoją inteligencję. Ruszamy więc w drogę. Im dalej od rzeki, tym lepiej.

Po tych słowach wylazł z bagna. Pan Mżawka szybko włożył do paszczy dwie garście zgniłych liści, gdyż lękał się, że w czasie marszu nie będzie czasu na posiłki.

- Na widok człowieka musimy natychmiast paść na ziemię - ciągnął Największy Deszczowiec. - Nikt nas nie śmie zobaczyć. A ten, kto nas ujrzy, sam na siebie podpisze wyrok śmierci. Dobrze powiedziane?

- Ach, doskonale, cudownie, fantastycznie, pasiasto, kropiasto - piszczał pochlebnie pan Mżawka, plotąc co mu ślina na język przyniosła, aby tylko zasłużyć na życzliwość władcy.

Przez kilka godzin przedzierali się przez gęste zarośla, nic do siebie nie mówiąc. Koło południa, gdy słońce stało już wysoko, dobrnęli do skraju wielkiej polany. Na samym jej środku wznosiła się drewniana wieża, zaopatrzona w drabiny.

- To dobrze - szepnął Największy Deszczowiec. - Będziemy się mogli zorientować w terenie. Zostań tu na straży, a ja wyjdę na wieżę.

Wydstawszy się nie bez trudu na najwyższą platformę, Deszczowiec ujrzał u swych stóp olbrzymią płachtę puszczy, przypominającą morze. Nigdzie nie było najmniejszego śladu ludzkich osiedli. Na południowym horyzoncie rysowała się falista linia gór, tu i ówdzie pobielonych śniegiem.

- Doskonale - mlasnął władca do siebie - doskonale! W górach jest zawsze mnóstwo jaskiń, w których się można schować. A kto wie, czy za nimi nie rozciąga się jakieś morze?

Wiatr od gór był ciepły, niósł z sobą zapach tających śniegów i odmarzającej ziemi.

Pójdziemy stale, pod wiatr - pomyślał Deszczowiec - i w ten sposób trafimy do celu. O ile mi wiadomo, na tych górach kończy się księstwo Kraka.

Wróciwszy do Mżawki, podzielił się z nim swymi spostrzeżeniami, dodając surowo, że nie zniesie żadnych „jęków, kwęków i steków” z jego strony, choćby dalsza droga była trudna i uciążliwa.

- Dla wolności trzeba wiele wycierpieć - dodał, i nagłe plunął z obrzydzeniem gdyż spostrzegł, że nieświadomie użył słów, za Morę niegdyś karał swych poddanych ścięciem głowy! Pocieszył się jednak na myśl, że Mżawka nie zrozumie, o co chodzi, gdyż jako

, szkolony w swym fachu od dziecka, nie mógł mieć pojęcia o znaczeniu słowa wolność.

Późnym popołudniem dotarli do skraju Puszczy i wyjrzawszy spoza ostatnich drzew, stanęli jak wryci. Polną drogą, biegnącą prosto ku bliskim już górcom, posuwał się spory orszak

ludzi, śpiewających jakąś pieśń. Na przodzie szedł wysoki, niezmiernie chudy starzec, z białą jak mleko brodą. Tak jak pozostali miał na sobie luźną płócienną szatę, przepasaną słomianym powrozem, a na nogach skórzane kierzce. Większość uczestników pochodu stanowili mężczyźni w różnym wieku, widać jednak było także kilka kobiet, prowadzących za ręce małe dzieci. Na samym końcu stąpało sześć osiołków objuczonych tobołkami. Zniżające się słońce barwiło ubrania pielgrzymów na różowo; różowe były także kałuże rozlane na drodze i pałubowate wierzby o gałęziach obsypanych baziami.

Zanim zbiegowie zdążyli się ukryć za pniem starego dębu, zostali zauważeni przez starca z brodą. Na dany przez niego znak idący zatrzymali się. Tony pieśni ucichły. Przewodnik wznosił obie ręce ku górze i zwracając się do Deszczowców odezwał się w te słowa:

- O bracia, czy jesteście Czciicielami Kwitnącego Krokusa?

- Nic podobnego - pisnął wystraszony Mżawka, ale natychmiast urwał, kopnięty w kostkę przez towarzysza.

- Gęba na kłódkę, durniu jeden - szepnął władca. - Tylko spokój może nas uratować!

I skłoniwszy się nisko starcowi, powiedział:

- Oczywiście, szlachetny panie.

- W takim razie Pokój z wami - zaśpiewał starzec. - Czy chcecie się do nas przyłączyć?

- Od wczesnego rana przedzieramy się przez puszcę, żeby się z wami spotkać - odparł Deszczowiec, stwierdzając z zadowoleniem, że pielgrzymi w niczym nie przypominają strażników księcia. Wszyscy byli bowiem bezradni, jeśli nie brać pod uwagę długich kijów, służących im do podpierania się w czasie wędrówki. Wiedziony długoletnim doświadczeniem tyrana, zdał sobie sprawę, że stoi w obliczu gromady niegroźnych pomyleńców, którym obce są wszelkie sprawy władzy, gwałtu i przymusu.

Przewodnik pielgrzymów spojrział ze współczuciem na obu zbiegów.

- Szaty wasze są w strzępach, co świadczy o tym, że dążyliście do nas w pośpiechu. Będziemy szczęśliwi, jeżeli przyjmiecie od nas podarunek w postaci naszych ubiorów.

- Dobrze się składa - mruknął tyran do swego kompana. - W ten sposób pozbędziemy się więziennych łańców.

Ubiory, wydobyte z tobołka znajdującego się na grzbiecie jednego z osłów, szybko upodobniły zbiegów do reszty uczestników orszaku. W długich, fałdzystych szatach zniknęły zupełnie ich błoniaste dłonie i stopy.

Zadowolony z siebie starzec obejrzał obu nowicjuszków i rzekł:

- Jestem Rakakon, syn Karakakona, wnuk Kakarakona. Od trzech pokoleń sprawujemy funkcje przewodników do Kraju Kwitnącego Krokusa. A jak brzmi twoje imię, drogi bracie?

- Ach, to nieważne - odparł Największy Deszczowiec, aby zyskać chwilę na wymyślenie jakiegoś przyzwoitego nazwiska.

- Mylisz się, bracie. To bardzo ważne. Tak samo jak to, czym się trudnisz.

- Zwę się Makkaron, syn Karamakkona, wnuk Makkakarona - wyrecytował jednym tchem Deszczowiec, pełen uznania dla swej pomysłowości. - Jestem pierwszym sekretarzem ambasady Krainy Deszczu w Grodzie Kraka - dodał, aby na wszelki wypadek uzasadnić swój nieco odmienny wygląd.

- My ludzie prości - rzekł przewodnik. - Nie znamy się na polityce. Ale jesteśmy dumni, że znaleźliśmy wyznawców wśród tak dostojnych osób. A jak się zwie twój zacny towarzysz, któremu tak dobrze z oczu patrzy?

Największy Deszczowiec ścierpł ze strachu. Jeśli teraz Mżawka palnie jakieś głupstwo, stanie się coś strasznego! Nie było już czasu na udzielanie mu pouczeń.

Na szczęście były właściciel sklepu ze stęchłą mąką połapał się w sytuacji i bez zająknięcia odparł:

- Jestem Paragon, syn Harpagona, wnuk Gonaharpa. Zajmuję się naukowym badaniem TEGO, CO W TRAWIE PISZCZY.

Starzec kolejno dotknął ich ramion swą laską.

- Od tej chwili jesteście naszymi braćmi i zyskujecie prawo do udziału w Świącie Tających Śniegów.

I dawszy znak zebrany, ruszył w drogę, wpatrzony w opadający z wolna krąg słońca.

- Mamy fantastyczne szczęście - szepnął tyran do Mżawki. - Nikomu nie przyjdzie na myśl szukać nas w gronie tych stukniętych kretyńców. Żeby tylko wiedział, co to takiego ten Krokus... Może to jakiś przeciwnik Krakusa?

Po zapadnięciu ciemności wędrowcy zgromadzeni przy rozpalonych ogniskach jęli posilać się owsianymi plackami. Na ten widok obaj Deszczowcy zgodnie przełknęli ślinkę. Jeden z pielgrzymów wyciągnął ku nim rękę z plackiem.

- Jedzcie, bracia - powiedział życzliwie. - Skromne to jedzenie, ale już od jutra będziemy się sycić Największym i Trudnym do Opisania Pięknem.

- To naprawdę pomyleńcy - rzekł tyran. - Osobiście wolałbym galaretkę z żabich udek, ale gdy się nie ma, co się lubi...

- To się lubi, co się ma - dokończył za niego pan Mżawka i posłał władcy przymilne spojrzenie swych szpiegowskich ocząt.

Z ogromnej wysokości nadleciał ku nim klangor ciągnących na północ żurawi.

- Idziemy dalej - zawołał przewodnik i stanął na czele gromady.

- Niech to kaczka kopnie - mruknął Największy Deszczowiec. - Myślałem, że prześpimy się trochę i odpoczniemy. Jeszcze nigdy w życiu nie chodziłem tak długo; nawet z komnaty do komnaty noszono mnie w lektyce.

- Możesz więc nazywać się człowiekiem szczęśliwym - westchnął pielgrzym. - Ale zapewniam cię, że prawdziwego szczęścia dostąpisz dopiero jutro, z chwilą wejścia do Krainy Kwitnącego Krokusa.

- O niczym tak nie marzę, jak o tej chwili - rzekł Deszczowiec. - Długo tam zostanieie?

- Tylko tyle, alby odśpiewać Pieśń Tających Śniegów. Potem wrócimy do swych domów i zabierzemy się do prac wiosennych.

Koło północy orszak zetknął się niespodziewanie z konnym patrolem książęcej gwardii. Na ten widok obaj Deszczowcy narzucili na głowy kaptury. Wąsaci, uzbrojeni po zęby strażnicy przejechali wolno wzdłuż orszaku, nie szczędząc sobie złośliwych docinków z gromady pomyleńców, którzy zamiast spać w ciepłych izbach, wloką się po nocy w poszukiwaniu Największego Szczęścia. Kilku z nich trzymało w dłoniach płonące pochodnie. Ich krwawy blask padał na białe szaty pielgrzymów. Obaj Deszczowcy pochylili się ku ziemi, okazując wielkie zainteresowanie rozlanymi po drodze kałużami. Po chwili konny oddział minął idących i pognał w odwrotnym niż oni kierunku.

Największy Deszczowiec otarł pot z czoła.

- Zmęczyłeś się, bracie? - zagadnął go sąsiad z prawej strony.

- Nie jestem już młodzieńcem.

- Za kilka godzin, gdy wejdiesz do Krainy Kwitnącego Krokusa, poczujesz się nim w pełni. Będzie ci się zdawało, że zawsze masz dwadzieścia lat.

- Gdybym miał nieograniczoną władzę - odparł na to Deszczowiec - ogłosiłbym po prostu, że mam dwadzieścia lat i ani miesiąca więcej. Niechby się ktoś ośmielił sądzić inaczej!

- Mimo to - uśmiechnął się pielgrzym - nie potrafiłbyś oszukać ani swych poddanych, ani siebie, ani Czasu. Tylko prawdziwe piękno nigdy się nie starzeje.

Deszczowiec zacisnął pięści, bo i cóż innego mógł zrobić? Słowa Pielgrzyma były przykre, ale niestety prawdziwe. Po raz pierwszy w życiu musiał przyznać, że nie wszystko da się załatwić drogą nakazu i rozporządzenia.

Aby zmienić temat rozmowy, zapytał:

- A dobrze wam za to płacą?

W oczach człowieka pojawiło się zdumienie.

- Za co?

- No, za to śpiewanie i wędrowanie...

- Żartujesz chyba, bracie - rzekł wąsaty drągał i spojrział dziwnie na swego rozmówcę. - Robimy to tylko dla własnej przyjemności. W ciężkich chwilach, jakich w życiu nie brak, wspomnienie tej wędrówki daje nam radość i spokój.

Deszczowiec zrozumiał, że palnął głupstwo.

- Oczywiście, że żartowałem - rzekł pojednawczo. - Przy żartach czas szybciej mija. Ale już nic nie będę mówić, bo czuję, że rozboleł mnie prawy migdałek.

Był to, rzecz jasna, kłamliwy wybieg, aby przerwać rozmowę, która mogła przybrać niebezpieczny obrót.

Nad ranem spłynęła na ziemię gęsta mgła. Znużeni długim marszem ludzie brnęli drogą stale wznoszącą się ku górze. Sen kleił powieki idących, a chłód poranka przejmował do głębi. Z prawej strony dolatywał szum wezbranego potoku. Robiło się coraz jaśniej, powietrze przesyciła woń świerków i jodeł, mchu i zbutwiałych liści. Stopy pielgrzymów ślizgały się na oblodzonych kamieniach, co chwila ktoś się przewracał, ale przy pomocy towarzyszy wstawał i szedł wytrwale dalej, pełen nadziei na bliski już kres wysiłku.

Gdy nad głowami zajaśniał błydy jeszcze krąg słońca, z ust ludzkiej gromady wydarł się okrzyk radości. Zrozumieli bowiem, że już są wysoko, i że Wkrótce staną w Krainie Kwitnącego Krokusa.

Stało się to prędzej, niż przypuszczali. Uderzenie wiatru cisnęło mgłę w doliny, a nad idącymi rozpiął się wspaniały „błękit wolnego od chmur nieba. Jak okiem sięgnąć, ścieliły się wokół nich góry; jedne zalesione po same wierzchołki, inne pokryte rozległymi polanami, na których tu i ówdzie widniały poczerńiałe ze starości szałas. Na skraju lasów i w licznych zagłębieniach terenu bieleły się jeszcze płyty śniegu. Tam zaś, gdzie słońce miało łatwy dostęp, kwitły setki, tysiące, dziesiątki tysięcy skromnych, liliowych kwiatków, przypominających kieliszki na wysmukłych nóżkach. Niektóre z nich wyrastały wprost z cieniutkiej warstwy śniegu, roztapiającego się szybko w coraz cieplejszych promieniach słońca.

Starzec z białą brodą zawołał drżącym ze wzruszenia głosem:

- Oto dotarliśmy do Krainy Kwitnącego Krokusa. Chwała niech będzie słońcu, królowi wszelkiego życia! Bracia, zaśpiewajmy teraz Pieśń Tających Śniegów, i niech serca nasze zjednoczą się we wspólnej radości.

Wbrew pozorom Pieśń Tających Śniegów wcale nie była uroczysta jak to wezwanie. Melodię miała skoczną i wesołą, było w niej coś z mazurka i oberka. Jej słowa mówiły o coraz wyżej wędrującym słońcu, o potokach pełnych żywego srebra, o wracających z Południa ptakach, o gałęziach uwalniających się spod kiści, o wietrze osuszającym nawilgnięte pola...

Obaj Deszczowcy udawali, że biorą udział w ogólnej radości, ale prawie mówiąc

wcale nie było im wesoło. Nie (mieli przecież ochoty na powrót w doliny, a jedynym ich pragnieniem było jak najszybsze oddzielenie się od rozśpiewanej i roztańczonej gromady. Obaj przytupywali i pokrzykiwali: „Hop, hop, hej, hej, oj dana” - ale czyniąc to starali się wydostać z kręgu rozradowanych pielgrzymów i znaleźć się jak najbliżej lasu.

Ostatnie tony pieśni umilkły. Starzec wznosił w górę swą laskę i zawołał:

- A teraz, moi kochani, zamknijmy oczy na pół godziny i wystawmy twarze ku słońcu. Gdy zejdziemy w doliny, nasze opalone oblicza będą świadczyć, że odbyliśmy doroczną pielgrzymkę do Krainy Kwitnącego Krokusa.

I oto cała gromada zastygła w bezruchu z twarzami wzniesionymi ku niebu.

- Spływajmy - szepnął tyran do szpiega. - Teraz albo nigdy!

Krok za krokiem poczęli wycofywać się w kierunku zwartej ściany drzew.

Ludzie tkwili w bezruchu jak zaczarowani. Na tle pokrytej krokusami łąki przypominali posągi wykute z marmuru. Oddychali miarowo i spokojnie, sącząc wszystkimi porami skóry cudowne ciepło słońca.

Zbiegowie bezszelestnie dotarli do lasu. Największy Deszczowiec chwycił za rękę swego towarzysza i pociągnął go za sobą w gęstwinę. Nie zachowując już żadnych ostrożności, gnali między drzewami chłostani po twarzach przez gałęzie, pełni lęku, by ich ucieczka nie została zauważona. Chwilami wpadali w śnieg po kolana, płacząc się w swych długich szatach. Serca ich - umieszczone jak to u Deszczowców po prawej stronie - biły z coraz większym wysiłkiem. Dotarli wreszcie do górnego skraju krokusowej polany i schowani za szafasem spoglądali w dół, dysząc ciężko i sapiąc.

- Popatrz - zawołał władca - te cudaki już się zbierają do powrotu!

Szereg białych postaci kierował się ku dolinie, wciąż jeszcze zasnutą mgłą.

Mżawka z radością zatarł dłonie.

- Nie zauważyli nawet naszej ucieczki. To zupełne wariaty.

- Wstydzilibym się być ich władcą - mruknął tyran - ale (przyjdzie czas, kiedy zapanuję nad nimi, a wtedy zniszczę ich, zatłamszę, zaduszę i unicestwię!

- Zniszczysz ich! Zatłamsisz! Zadusisz! Unicestwisz! - powtarzał zachwycony Mżawka.

Orszak białych postaci zniknął w lesie. Gdy ucichły już tony śpiewanej przez nich pieśni, Największy Deszczowiec wydrapał się na stos głazów i począł spychać je na łąkę, siejąc zniszczenie wśród krokusów.

- Chodź tu - wrzeszczał chrapliwie do Mżawki - chodź i pomagaj! Zniszczę ich tak, jak te obrzydłe kwiaty, których sama nazwa wywołuje we mnie mdłości. Wgniotę w ziemię, zetnę z

powierzchni świata!

W szale bezmyślnego niszczenia odłonił swe długie kły wyrastające z czarnych dziąseł, zerwał z siebie białą szatę i cisnął w krzaki, wbiegł na łąkę i jał deptać setki liliowych, a także żółtych i białych kwiatów.

- O tak, o tak! - ryczał z wściekłością. - To samo zrobię z nimi, gdy wrócę tu na czele mej niezwyciężonej armii!

Pan Mżawka poszedł w ślady swego władcy i tarzał się po ziemi, aby zgnieść jak najwięcej kwiatów. Szczerze mówiąc, nie czuł do nich żadnej nienawiści, ale jako doświadczony sługa wiedział, że w ten sposób zyska przychylność swego pana i być może zarobi sobie na jakiś dodatkowy order.

Zmęczony wybuchem wściekłości Największy Deszczowiec otarł wreszcie pot z niskiego czoła i przywołał do siebie pomocnika.

- Musimy oszczędzać siły. Czeka nas jeszcze wiele trudów.

Wkrótce znaleźli się na szczycie góry. Jej południowy, silnie nasłoneczniony stok spływał łagodnie ku dalekiej, lekko zamglonej równinie.

- Hurra! - wrzasnął władca. - Hurra! Jesteśmy na granicy. Ta góra stanowi ostatni skrawek Krakostanu.

I zwróciwszy się ku północy, pogroził pięścią niewidzialnym wrogom.

- Jeszcze się zobaczymy - warknął - ale wtedy nie chciałbym być w twojej skórze, Kraku. I w twojej - najgłupszy ze Smoków!

Odpowiedział mu łagodny poszum wiatru.

- Jesteśmy wolni - zaryczał Największy Deszczowiec i puścił się biegiem po bezleśnym stoku góry. sadząc przed siebie ogromnymi susami. Tuż za nim biegł pan Mżawka.

Nagle ziemia zapadła się im pod nogami. Poczuli, że lecą w pustkę, w towarzystwie połamanych gałęzi, spróchniałych belek i mokrych grud gliny. Nim zdążyli wydać okrzyk przerażenia, grzmotnęli na usiane ostrym żwirem dno jamy.

Otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

Rozdział VII

NIEZWYKŁE ODKRYCIE

Jeśli słynny kuchmistrz Bartłomiej Bartolini herbu Zielona Pietruszka przypominał ptaszka, to tylko dzięki zwyczajowi wczesnego zrywania się ze snu. Z postawy był bowiem podobny raczej do beczułki wypełnionej smalcem. Oczywiście do beczułki zaopatrzonej w dwie nóżki oraz w głowę, ozdobioną wspaniałą, kucharską czapą.

Zgodnie ze swą naturą Bartolini obudził się o świcie i z zadowoleniem stwierdził, że pogoda jest co najmniej tak piękna, jak jego małżonka Balbina, śpiąca jeszcze w dalekim grodzie, u boku dziesięciorga równie urodziwych dzieci.

Ustawiwszy na trawie tranzystorowy radiodbiornik marki „Wawel II”, zabrał się do porannej gimnastyki. W myśl zaleceń prowadzącego audycję magistra Patyczka wykonywał różne skomplikowane ćwiczenia, w nadziei uzyskania zgrabnej, wysportowanej sylwetki. Najgorzej poszło mu z ćwiczeniem nr 5, które według słów magistra miało wyglądać następująco:

- A teraz, drodzy słuchacze, stajemy w rozkroku i pochylamy się do przodu. Lewą ręką chwytemy wielki palec u prawej nogi, prawą zaś wielki palec lewej nogi. W tej pozycji wykonujemy szybki bieg wokół stołu, pamiętając o tym, aby głowa znajdowała się stale na jednym poziomie. A więc uwaga, ćwiczymy:.. raz, dwa, raz, dwa!

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie brak stołu, który po kolacji został złożony w samochodzie. Bartolini poczuł się więc rozgrzeszony, gdy zamiast biegu wykonał trzy podskoki na prawej i dwa na lewej nodze.

W trakcie ćwiczeń spostrzegł mypinga, który siedząc okrakiem na masce samochodu, z apetytem wcinął kawał krakowskiej kiełbasy, przeznaczonej na śniadanie dla członków wyprawy. Spryciarz musiał się dobrać do spiżarni umieszczonej w tylnej części wozu. Z okrzykiem grozy kucharz porwał sękaty patyk i ruszył ku mypingowi.

- Ty ogórku źle zakiszony - krzyczał, krztusząc się - ty kozia brodo, ty, ty... - Tu urwał, aby poszukać w myśli jakiegoś okropnego wyzwiska: - Ty... ćwikło pomorska! A sio, a sio!

Ale myping wcale się nie przejął epitetami, którymi dzielny grubas zasypywał go z szybkością karabinu maszynowego.

Bartolini poczerwieniał jak pomidor. To bezczelne bydlę lekceważyło sobie osobę bądź co bądź urzędową! Czcigodnego potomka rodu kuchmistrzów, człowieka odznaczonego

Orderem Wielkiego Selera z trzema gwiazdkami!

Myping szybko przełknął ostatni kawałek kielbasy i oblizał się.

- Mamma mia! - krzyknął Bartolini. - Gdyby to widział książe Krak...

Urwał w połowie zdania, gdyż myping nastroszył swe uszka i przekrzywiwszy głowę, powiedział zupełnie wyraźnie:

- GRAG.

Bartolini podłubał palcem w uchu, bo zdawało mu się, że uległ złudzeniu. Ale myping powtórzył:

- GRAG, GRAG.

- Coś ty powiedział? - zapytał Bartolini, wciąż jeszcze nie wierząc własnym uszom.

- GRAG.

- Tego już za wiele - jęknął kucharz. - On gada po ludzku!

W tym momencie wypełził z namiotu Smok obudzony głośną rozmową.

- Co się tu dzieje?

- Smoku - sapnął Bartolini - ta bestia gada po ludzku.

- Zwariowałaś?

- Obawiam się, że tak. O, dolo moja nieszczęsna! Smok ujął kucharza za przegub i zbadał mu tętno.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał gorączkę. Powiedz: a.

- Aaaa...

- Migdałki też w porządku. A może dokuczają ci dreszcze?

- Nigdy nie czułem się tak zdrowy, jak teraz - zapewnił go kucharz. - On powtórzył za mną imię naszego księcia!

Smok puścił rękę kucharza i spojrzał na mypinga. Zwierzątko, gotowe w każdej chwili do ucieczki, powiedziało wyraźnie:

- GRAG. GRAG.

- Niebyszałe - mruknął Smok - po prostu fantastyczne.

Po czym wskazując palcem na siebie, powiedział powoli:

- Ja jestem Smok.

Myping przekrzywił główkę i odparł:

- SZMOG.

Zabrzmiało to całkiem po ludzku.

- Bartolińciu - rzekł Szef Wyprawy - stało się coś .nadzwyczajnego! Trzeba wszystkich obudzić.

Z daleka dobiegło szczekanie Aresa, który biegał po stepie płosząc ćwokwy i bzdregi. - Ten dzień przejdzie do historii - pomyślał Smok. - Do historii przez duże „H”.

W godzinę później, na specjalnej naradzie, zabrał głos profesor Gąbka.

- Moi drodzy - rozpoczął, stuknąwszy w szklanę, aby uciszyć gwar rozmów. - Wydaje mi się, że to, co się stało, można uznać za odkrycie o trudnej do przewidzenia doniosłości. Mówiący myping to coś, o czym nawet nie śmieliśmy marzyć. Stoimy wobec wielkiej zagadki naukowej: czy jest to odosobniony przypadek niezwyklej inteligencji mypinga, czy też objaw powszechny dla tego gatunku zwierząt. Rzecz jest godna zastanowienia. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że musimy strzec naszego przyjaciela jak oka w głowie. Za żadne skarby nie powinniśmy dopuścić do tego, aby nas opuścił!

- Możemy wziąć go na smycz - zaproponował Smok. - Ale kto wie, jak on na to zareaguje. A jeżeli obrazi się na nas i nie powie już ani słowa?

- Myślałem już o tym - odparł profesor - i doszedłem do wniosku, że byłoby to niezgodne z naszymi przekonaniami. Nie chcemy nikomu odbierać wolności. Na szczęście między nim a moim Aressem nawiązała się już wielka przyjaźń. Myping czuje się dobrze w jego towarzystwie i chodzi za mim krok w krok.

Doktor Koyot wyciągnął dwa palce na znak, że chce coś powiedzieć.

- Nagrałem już na taśmę wszystkie słowa, jakich się nauczył od rana. Jest ich dwanaście. Bestia powtarza nasze imiona, ponadto umie powiedzieć: kość, woda i pies.

- Znakomicie - ucieszył się uczony. - Jak na jedną godzinę, to bardzo wiele. Lecz musimy pamiętać o tym, że i papugę można nauczyć powtarzania pewnych słów. Z tego jednak nie wynika, że to ptaszysko zdaje sobie sprawę z ich znaczenia.

- Oczywiście - przyznał doktor. - Warto pamiętać o tym, że i ludzie używają często słów, z których znaczenia nie zdają sobie sprawy.

Profesor z uznaniem skinął głową.

- Uwaga zupełnie słuszna. Na przykład moja Pelasia używa często słowa „indolencja”, sądząc, iż jest to imię patronki od bólu zębów.

- O tak! - zawołał radośnie Marcin Lebioda. - A moja Kasieńka często mówi „kolacja”, choć ma na myśli kawałek suchego chleba i szklanę wody.

Bartolini szturchnął kolegę w bok.

- Przyznasz chyba, że odkąd jesteś z nami, jadasz znacznie lepsze kolacje...

- Odkąd jestem z wami, czuję się zdolny do wielkich czynów - odparł szczerze były

zbój.

Narada nie trwała długo, ponieważ słońce zbyt mocno przygrzewało. Z tej strony gór panowała już prawdziwa wiosna. Lekko pofalowany step pokryty był świeżą trawą; w ciągu kilku godzin rozkwitły tysiące najrozmaitszych kwiatów, tworząc wspaniałe, mieniące się w słońcu dywan. Nad rozmigotaną rzeką rosły drzewa i krzewy obsypane młodymi listkami.

- Jest jeszcze jedna sprawa do rozważenia - rzekł profesor, ściągnąwszy z siebie sweter wykonany specjalnie na tę podróż przez nieocenioną Pelasię. - Chodzi o to, w jakim kierunku mamy teraz jechać: na wschód czy na południe? Nie wiemy przecież, w której stronie leży Kraina Mypingów.

Smok wyjął z kieszeni srebrną monetę.

- Jeżeli reszka - to na południe. Jeżeli orzeł - to na wschód. Zgoda?

Rozległy się oklaski.

Podrzucił monetę, a gdy spadła na ziemię, klęknął przy niej i zawołał:

- Orzeł. Jedziemy na wschód!

Już drugi dzień gnali po równinie, między kępami drzew rzucających krótkie cienie. Wiatr chłodził twarze jadących, szarpał ich włosy, gwizdał w uszach i łopotał brezentową plandeką.

Ukołysany ruchem samochodu, profesor Gąbka przymknął oczy i zapadł w krótki sen. Śniło mu się, że jest w domu i siedząc na bujaku słucha płynącej z radia muzyki. Oto grają jego ulubiony utwór pt. „Poranek nad Szreniawą”. Skomponował go Wojciech ze Słomnik, aby w ten sposób uczcić pobyt księcia w swym rodzinnym miasteczku. Swego czasu Krak, zabłądziwszy na polowaniu, znalazł się na brzegu rzeki Szreniawy i oczarowany urodą okolicy, przyznał mieszkańcom Słomnik bardzo cenny przywilej. Na jego mocy każdy artystycznie utalentowany mieszkaniec miasta mógł się kształcić bezpłatnie w Księżęce j Akademii Sztuk Pięknych, aby po jej ukończeniu umilać życie swych rodaków przy pomocy malarstwa, poezji i muzyki. Jednym z pierwszych, którym ten zaszczyt przypadł w udziale, był właśnie Wojciech, syn miejscowego kowala, a zarazem dentysty.

Nagły wstrząs wyrwał profesora z drzemki! Uczony, pchnięty niewidzialną siłą, uderzył igłową w plecy siedzącego przed nim Smoka. Wszyscy potoczyli się ku przodowi. Smok błyskawicznie nacisnął hamulec, nie zważając na to, że jego potężny nos boleśnie zetknął się z szybą. Stanęli z piskiem opon. W tym samym momencie usłyszeli głośny brzęk, jak gdyby ktoś puścił mocno naciągniętą strunę. Wskoczyli z samochodu.

- Co to było? - krzyknął Koyot. - Miałem wrażenie, że ktoś nas złapał na łąasso.

Smok sprawdził opony. Były w ąpełnym porządku.

- Nie mam pojęcia, co się stało - rzekł z troską. - Muszę zobaczyć podwozie.

To mówiąc, położył się na plecach i wsunął się pod samochód. Przez chwilę było widać jedynie jego nogi w wyblakłych teksasach i trampkach.

Gdy wyszedł spod samochodu, otrząpiał się z pyłu i rzekł:

- Wszystko w porządku. Nie mam pojęcia, co się stało.

Ale w tej samej chwili doktor Koyot wskazał ręką na tył samochodu.

- Spójrz na ten hak. Skupili się wokół niego.

Hak służący do zaczepiania liny w wypadku holowania jakiegoś innego, zepsutego pojazdu, został niemal ąpełnie wyprostowany.

- A jednak musieliśmy o coś zaczepić - stwierdził Smok. - Tylko o co?

- A ten dziwny brzęk, jakby zerwanej struny - przypomniał Bartolini.

- Może ktoś przeciągnął linę na naszej drodze? - domyślał się Smok. - Ale to przecież ąpełnie bezludna kraina. I nikt nie mógł wiedzieć, że właśnie tędy pojedziemy.

Dokładne zbadanie okolicy nie wykazało jednak ani śladu jakiegokolwiek liny. Sprawa w dalszym ciągu pozostawała tajemnicza.

- Są rzeczy, o których nie śniło się filozofom - mruknął Smok. - W każdym razie mieliśmy szczęście, że nie fiknęliśmy koziołka wraz z całym wozem. Gdyby ten hak był mocniejszy, moglibyśmy wylądować na drugim świecie.

- Byłbym niepokieszony - westchnął kucharz. - Ten nasz świat jest mimo wszystko bardzo przyjemny...

Nagle profesor uderzył się dłonią w czoło.

- Zdaje się, że wiem, co to było! Z wczorajszych pomiarów wynikało, że znajdujemy się w bezpośredniej bliskości południka.

- Ale co ma piernik do wiatraka? - rzekł Smok, patrząc ze zdziwieniem na profesora.

- W tym wypadku dość dużo - uśmiechnął się Gąbka. - Myślę, że po prostu zaczepiliśmy tym hakiem o południk. Całe szczęście, że hak okazał się słabszy...

- Jesteś genialny! - krzyknął doktor. - Mnie by to nawet na myśl nie przyszło.

- Nie przesadzajmy - zaprotestował profesor, który (bardzo nie lubił komplementów). - Coś niecoś zapamiętałem jeszcze z geografii.

- A ten brzęk?

- Południk naciągnął się jak struna, a potem ześliznął się po haku i wrócił do swej formy. Proste?

- Nadzwyczajne - przyznał Smok. - A co by się stało, gdybyśmy go tak przerwali?

Baltazar Gąbka machnął ręką.

- Lepiej nawet o tym nie myśleć... Doktor w zamyśleniu pogłaskał brodę.

- Ale skąd pewność, że to południk?

- To zupełnie proste. Jedziemy przecież dokładnie na wschód. Gdybyśmy jechali na północ albo na południe, wtedy mogliśmy zaczepić o równoleżnik.

Zajęli miejsca. Smok włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik.

- Trzymajcie się - powiedział do swych towarzyszy. - Pojedziemy szybciej, żeby nadrobić stracony czas. Do następnego południka jeszcze kawał drogi, nie ma się czego obawiać...

Rozdział VIII

BARTOLINI PISZE TESTAMENT

Koło południa upał sięgnął szczytu. Mimo szybkiej jazdy gorące i suche powietrze coraz bardziej dokuczało podróżnikom. Tymczasem równina skończyła się, musieli teraz pokonać grzbiet górski, który przegrodził im drogę. Połogie zbocza, gęsto porośnięte kaktusami, zmuszały Smoka do ciągłej zmiany kierunku jazdy. Silnik grzał się coraz bardziej, a woda w chłodnicy niepokojąco zbliżała się do stanu wrzenia. Wydostawszy się na wzniesienie, ujrzeli przed sobą obszerny płaskowyż, usiany skałami o fantastycznych kształtach. Jedne przypominały do złudzenia sylwetki kroczących olbrzymów, inne podobne były do baszt i zamków, niektóre zaś przywodziły, na myśl ogromne, dawno już wymarłe zwierzęta. W dalszym ciągu nic nie zdradzało obecności człowieka. Nie było widać żadnych domów ani pól uprawnych. Sucha, spalona słońcem trawa, rosnąca rzadko między głazami, sprawiała przynębiające wrażenie. Na tle bladego od upału nieba kołowały stada sępów.

Nagle silnik zacharczał i po chwili zgasł. Mimo uporczywych usiłowań kierowcy, aby go uruchomić, milczał jak zaklęty. Zaniepokojony Smok wyskoczył z samochodu i podstawivszy wiadro pod zbiornik odkręcił zawór. Zamiast spodziewanego strumienia do wiadra ściekło zaledwie kilka kropli.

- Ładna historia! - krzyknął. - Nie ma wody! Wyskoczyli z samochodu i zgromadzili się wokół niego.

- Przecież wczoraj napełniłem cały zbiornik - rzekł Marcin. - Może po drodze zawór się odkręcił?

- To niemożliwe - Smok z zakłopotaniem poskrobał się po łbie. - Był tak mocno zakręcony, że musiałem użyć całej siły, aby go ruszyć. W zbiorniku musi być dziura.

Lebioda wczołgał się pod samochód.

- Już wiem, co się stało - rzekł po chwili. - Gdy nas ten południk przyhamował, hak wybił dziurę w dnie zbiornika. W ciągu kilku godzin jazdy wszystko wyciekło.

Wydostał się spod wozu i z pobladałą twarzą dodał:

- Nie ma ani kropli paliwa. Ale to jeszcze nic. Wyciekła także woda do picia.

- Jakim cudem? - krzyknął Smok. - Przecież była w sąsiednim zbiorniku.

- Hak wybił dziurę dokładnie w tym miejscu, gdzie była ścianka dzieląca obydwie zbiorniki.

Zapanowało milczenie. Wiadomość była tak przerażająca, że przez dłuższą chwilę nikt nie mógł wypowiedzieć ani słowa. Stali oto w sercu skalnej pustyni, pozbawieni możliwości ruszenia z miejsca i zagrożeni straszną śmiercią...

- Co teraz będzie? - westchnął Koyot. - Mamy tylko jedną manierkę z wodą. Znajduje isię w naszej apteczce.

- Musimy jej pilnować jak skarbu, żeby nie umrzeć z pragnienia - rzekł Smok, siląc się na lekki ton. - Nie wiadomo kiedy trafimy na jakieś źródło.

W oczach kucharza pojawił się błysk strachu.

- Czyżby sytuacja była aż tak poważna?

Smok odparł również pytaniem:

- Czyżby cię strach obleciał, mistrzu srebrnej patelni?

- Mamma mia, jak możesz tak mówić! Wiesz przecież, że jestem największym bohaterem wśród kucharzy i największym kucharzem wśród - bohaterów! Ale moja odwaga, której dałem liczne dowody, nie wyklucza rozsądku. A rozsądek mówi mi, że może nieźle byłoby napisać testament, dopóki mam jeszcze siły, aby utrzymać w palcach ołówek.

Smok z trudem zachował powagę.

- Jeżeli chcesz, to napisz. Możesz być jednak pewny, że jeżeli zginiemy, księżę zaopiekuje się naszymi rodzinami.

- Dobrze ci tak mówić, bo jesteś kawalerem. A ja osierocę dziesięcioro nieletnich dzieci i moją ukochaną Balbinę. Ach, to byłoby okropne!

Na wspomnienie rodzinki biedny Bartolini poczuł łzy w oczach i sięgnął do kieszeni po chusteczkę.

- Zostańcie tu - zaproponował doktor - a ja wybiorę się na poszukiwanie wody.

- Ja z tobą - ofiarował się Marcin. - Samemu iść niebezpiecznie.

- Dobrze. Pójdziemy razem.

Słyszając magiczne słowo „pójdziemy”, Ares zaczął radośnie szczekać w nadziei na spacer. Myping usiłował go naśladować, gdyż i jemu dało się we znaki wielogodzinne przebywanie w samochodzie.

- Zabierzemy obydwaj zwierzaki - dodał doktor. - Niech sobie pobiegają.

Smok przyłożył do oczu. lornetkę i uważnie obejrzał okolicę.

- Jesteśmy na wyżynie - stwierdził - więc mogą być kłopoty z wodą. Ale w stronie południowej widzę sporą grupę drzew. Drzewa zwykle rosną tam, gdzie jest wilgoć...

- Wrócimy za godzinę - oznajmił Koyot, wyciągnąwszy z wozu cztery blaszane pojemniki. - Obyśmy tylko nie szli nadaremnie. A wy czekajcie na nas i nie martwcie się

zbyt. Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej - zakończył żartobliwie.

Czekali cierpliwie, nie mając nic lepszego do roboty. Rozżarzone powietrze drgało tuż nad ziemią pozbawioną jakichkolwiek śladów wilgoci. Wygłodzone sępy krążyły wysoko nad grupą ludzi, kryjącą się w skąpym cieniu samochodu. Nieprzerwany koncert świerszczy kołysał ich do snu.

- Ogromnie lubię słońce - profesor otarł czoło chusteczką, a następnie po wachlował się nią - ale zaczynam marzyć o gęstym deszczu, tak rozkosznie szumiącym w liściach drzew.

Bartolini, któremu upał również dał się we znaki, westchnął żałośnie:

- I pomyśleć, że gdybym był głupim Deszczowcem, siedziałbym teraz w basenie z chłodną wodą...

- Mój drogi - oderwał się profesor - Deszczowcy nie dlatego są głupi, że lubią wodę, bo woda to wspinała rzecz, tylko dlatego, że nienawidzą słońca. Podobni są w tym do mieszkańców Słonecni, którzy nie uznają niczego poza słońcem. Człowiek mądry powinien lubić wszystko, co jest na świecie. Z wyjątkiem zła, oczywiście.

Kucharz nie chciał jednak dać za wygraną.

- Oni są nie tylko głupi, ale i źli. Profesor pokiwał głową przecząco.

- Nie wszyscy. Mieszkałem u nich długo, więc znam ich dobrze. Powiedziałbym nawet, że większość składa się z ludzi dobrych. Obecny ich król, a mój serdeczny przyjaciel, Salamandrus, jest tego najlepszym dowodem.

- To dlaczego pozwalali, żeby rządził nimi ten łajdak, Największy Deszczowiec?

- Ponieważ byli zastraszeni i stracili nadzieję na lepsze. Ale w końcu zrobili rewolucję i pozbawili go tronu. I są teraz naszymi przyjaciółmi.

- Ja bym im jednak nie ufał za bardzo - upierał się kucharz. - Ty, Baltazarku, sam jesteś uosobieniem dobroci i dlatego patrzysz na świat przez różowe okulary.

- Nie przeczę - przyznał Gąbka. - Wolę patrzeć przez różowe niż przez czarne.

Smok, który dotychczas nie zabierał głosu, włączył się do rozmowy.

- Profesorka ma rację - powiedział swym dźwięcznym głosem. - Zło najczęściej wynika z głupoty i strachu. Czy jednak nie uważacie, że jest zbyt gorąco na prowadzenie tak poważnych dyskusji?

- Słusznie - przyznał uczonec. - Niepokoję się, dlaczego doktorka i Marcin tak długo nie wracają?

- No cóż, widocznie nie mogą znaleźć wody. Ale bądź spokojny, trafią do nas, mają

przecież Aresa...

Tymczasem Bartolini wsunął się do samochodu i wydobył z kuferka kartkę papieru oraz ołówek. Skryty przed okiem towarzyszy jął pisać testament, w przekonaniu, że oto nadeszła już ostatnia chwila życia.

„Ja, Bartłomiej Bartolini, herbu Zielona Pietruszka, mamma mia, będąc w pełni władz umysłowych, a zarazem czując bliski kres cnotliwego żywota, zapisuję mej ukochanej małżonce Balbinie cały majątek, składający się z domu przy ulicy Błędnych Rycerzy nr 3 w Grodzie Kraka, ogrodu z altanką, kurnika, gołębnika i studni. Zapisuję też żelazną skrzynię z czterdziestoma złotymi medalami, zdobytymi na międzynarodowych konkursach kucharskich. Zaś moim ukochanym dziatkom...

Ledwo nakreślił te słowa, w oddali rozległo się szczekanie psa.

- Idą! - krzyknął Gąbka. - Idą!

W kilka minut później spoza skał ukazały się sylwetki pozostałych członków wyprawy.

- Mają wodę - Smok zerwał się z ziemi. - Widać, że niosą pełne kanistry. Hurra, jest woda!

„Na widok samochodu Ares puścił się pędem i przypadł do nóg profesora.

- Dobry piesek, dobry... O, jeszcze masz pysk mokry, widać, że piłeś...

Już z daleka doktor i Marcin wołali jeden przez drugiego:

- Jest woda! Znaleźliśmy źródło i znakomite miejsce na obóz.

Korzystając z zamieszania, imć Bartolini zgniótł w dłoni kartkę z rozpoczętym testamentem i wziął udział w ogólnej radości.

- Możemy więc jechać - ucieszył się Smok. - Czy to daleko?

- Ależ nie, będziemy tam za dziesięć minut. To cudowne miejsce na biwak.

- Spisaliście się na medal - rzekł wzruszony profesor.

- To zasługa mypinga. Zdumienie uczonego nie miało granic.

- Jak to?

- Zachowywał się tak, jakby wiedział, o co chodzi. Co chwila stawał i węszył na wszystkie strony. W pewnej chwili krzyknął głośno: „Woda” - i razem z Aresem puścił się pędem w kierunku tych drzew. Zanim zdążyliśmy dojść do oazy, obydwa zwierzaki wróciły z pyskami mokrymi od wody. Myping podskakiwał wesoło i wciąż powtarzał: „Woda, woda...” A potem poprowadził nas prosto do źródła.

Smok usiadł za kierownicą i rzekł do Koyota:

- Siadaj przy mnie. Będziesz wlewał wodę bezpośrednio do silnika, tylko musisz ją

najpierw posolić. Uważaj, by nie stracić ani kropli.

W kwadrans później samochód wjechał na płaski teren, pokryty soczyście zieloną trawą. Tu i ówdzie wznosiły się skały, porośnięte krzewami o wielkich, jaskrawożółtych kwiatach, przypominających hiacynty.

- Jesteśmy na miejscu - zawołał Koyot i zeskoczył na ziemię. - Źródło jest tam!

I wskazał skałę wznoszącą się na przeciwległym skraju polanki.

- Jeszcze nigdy nie piłem tak dobrej wody - dodał po chwili. - Niech żyje woda!

Bartolini uśmiechnął się:

- Czyżbyś i ty miał zamiar zostać Deszczowcem?

Po załataniu zbiornika i napełnieniu go świeżą wodą pięciu członków wyprawy udało się samochodem w kierunku północnym, aby zbadać wyżynę, zamkniętą na horyzoncie pasmem wzgórz. W obozie został jedynie Marcin Lebioda, który postanowił wykorzystać wolny czas na wypranie bielizny w źródle bijącym spod skały. Skała ta odznaczała się intensywnym kolorem marchewki, a woda miała barwę turkus, co w połączeniu ze szmaragdem świeżej trawy dawało niezwykle miłe dla oka efekty. Nucąc najnowszy przebój zespołu The Krak Singers, pt. „Dziś wieczór muszę ci kupić zielone skarpetki”, Lebioda prał jedną sztukę bielizny po drugiej. Było mu przyjemnie i lekko na sercu; oglądał przecież dziwy, o jakich dawniej mógł jedynie marzyć, a ponadto cieszył się zaufaniem towarzyszy, którzy, mimo iż byli BARDZO WAŻNYMI OSOBISTOŚCIAMI, darzyli go prawdziwą przyjaźnią. Skończywszy piosenkę, zaczynał ją od nowa, pozwalając sobie na zmiany rytmu i tonacji, jako że od dziecka obdarzony był znakomitą słuchem.

Dokonawszy swego dzieła, rozejrzał się dookoła, aby znaleźć dogodne miejsce do suszenia wypranej bielizny. Ku swej radości zauważył między drzewami szereg cieniutkich i lśniących strun, które odcinały się ostro na tle ciemnej gęstwiny liści. Rozwiesił więc na nich wszystkie koszule i zadowolony z siebie, powrócił do obozowiska, aby zająć się przygotowaniem wieczery. Wiedział bowiem, że koledzy wrócą ze znakomitymi apetytami. Oczywiście przyrządzenie potraw należało do Bartoliniego, Marcin musiał jednak zastawić stół, porąbać drzewo, przynieść wodę na herbatę itd., itd.

Wkrótce po zachodzie słońca dał się słyszeć warkot silnika. Po chwili na polankę wtoczył się samochód, z którego wyskoczyli opaleni na brąz członkowie wyprawy. W obozie zapanował gwar. Doktorek uruchomił krótkofalówkę i nawiązał łączność z Grodem Kraka. Okazało się, że poszukiwania zbiegłych Deszczowców nie dały dotychczas rezultatu. Podobno

widziano ich, gdy przedzierali się przez Żabie Uroczysko w kierunku granicy księstwa, ale była to wiadomość na razie nie sprawdzona.

Noc zapadła szybko. Nad koronami drzew ukazała się konstelacja Oriona, na której tle szybowała kometa, opędzając się ogonem od gwiazdnego drobiazgu. Rozpalone przez Lebiodę ognisko rzucało czerwone blaski na pnie ogromnych cedrów i ustawione na polanie namioty.

W trakcie kolacji Marcin zerwał się od stołu i zawołał:

- O jejku, zupełnie zapomniałem o koszulach.

I nie tracąc czasu, pobiegł w kierunku źródła, aby przynieść wysuszoną bieliznę. Przybywszy na miejsce, spostrzegł ze zdumieniem, że wszystkie koszule leżą w nieładzie na ziemi. Na szczęście nie brakowało ani jednej. Któż jednak mógł je zrzucić, skoro w obozie, oprócz niego, nie było nikogo? Nie mogła to być też sprawka wiatru, gdyż przez cały dzień powietrze było zupełnie nieruchome. Poważnie zaniepokojony zebrał koszule i wrócił do obozu, alby zameldować Smokowi o dziwnym wydarzeniu. Wysłuchawszy jego relacji, Smok wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ależ mój drogi - mówił, bijąc się dłońmi w kolana - to całkiem jasne. Po prostu powiesiłeś je na promykach słońca, przesianego przez liście drzew... Gdy słońce zaszło, koszule musiały spaść na ziemię. Oto cała tajemnica! Na drugi raz patrz, na czym je wieszasz

Marcin poczerwieniał ze wstydu i szybko ulotnił się sprzed oczu rozbawionych towarzyszy, aby złożyć bieliznę w przeznaczony na ten cel skrzyni.

- Daleko mi jeszcze do tego, żeby być DOSKONAŁYM PODRÓŻNIKIEM - pomyślał ze smutkiem. - Że też nie przyszło mi na myśl sprawdzić owe srebrzyste struny. Tak, tak, człowiek przez całe życie się uczy...

Rozdział IX

W STAREJ KOPALNI

Gdy Mżawka ocknął się z chwilowego zamroczenia, zadał sobie pytanie: „Jestem czy mnie nie ma?” Za tym, że jest, przemawiał ból potłuczonego ciała, natomiast za tym, że go nie ma, absolutna ciemność, otaczająca go niby pokrowiec. Mimo iż wytrzeszczał swe wodniste oczęta, nie widział nawet palców, którymi dotykał podrapanego oblicza.

Przestałem istnieć - pomyślał z lejkiem. - Oto do czego doprowadziła mnie przesadna wierność! Gdybym go nie posłuchał, siedziałbym teraz w wygodnej celi, a dozorca przyniósłby mi wiaderko duszonych dżdżownic z majerankiem...

Wspomnienie posiłku wycisnęło z jego oczu kilka gorących łez.

Cierpię, więc jestem - przyszło mu nagle na myśl. - Oto stwierdzenie godne filozofa! Ale gdzie ten łajdak, któremu zawdzięczam to niezwykle twarde lądowanie?

W tej samej chwili rozległ się w ciemności zbolały głos Największego Deszczowca: - Żyjesz?

- Żyję - stęknął Mżawka - ale co to za życie...

- Nie lubię, gdy moi poddani narzekają - odezwał się władca, w dalszym ciągu niewidoczny. - Twoje oblicze winno teraz promieniować energią i optymizmem.

- O panie, w tej ciemności nie mogę nawet trafić palcem do nosa, który puchnie i krwawi.

- Pociesz się - rzekł władca - że krwawisz dla słusznej sprawy.

- Już się pocieszyłem - jęknął nieszczęsny sługa. - Zapewniam cię, że nigdy w życiu nie byłem tak pocieszony.

Największy Deszczowiec przyczołgał się do swego towarzysza.

- Zdaje się, że wpadliśmy do jakiejś dziury.

- Niewątpliwie - przyznał Mżawka.

- Czy masz głowę na karku?

- Chyba tak, choć nie jestem całkiem pewny.

- A więc pomyśl, jak się stąd wydostać.

- Zawsze mówiłeś, że ty jesteś od myślenia, a ja od słuchania.

- Ale jest wyjątkowa sytuacja. Pozwalam ci myśleć.

- Serdeczne dzięki. Nie wiem tylko, czy potrafię, bo dawno już się tym nie zajmowałem.

A więc siedzimy w jakiejś dziurze.

- To już wiem Ale jak stąd wyjść?

- Nie wiem.

- Boś głupi.

- Masz słuszność, panie - przyznał Mżawka. - Ty masz zawsze słuszność.

- A więc jednak zacznasz myśleć logicznie. Czy nie zdaje ci się, że nad nami jaśniej jakieś otwór?

- Tak. Ale jest bardzo wysoko.

- Skąd wiesz?

- Bo mnie okropnie bołą kości.

- A myślisz, że mnie nie? Przydałaby się drabina.

- Poszukajmy, może się znajdzie.

Przez pół godziny obaj Deszczowcy pełzali po Skalistym dnie jamy, zderzając się co chwila głowami. Ostre kamienie raniły im ręce i kolana.

- Tu nie ma żadnej drabiny - rzekł wreszcie władca. - Niesłychane porządki! Ale mam pomysł: wyjdę ci na ramiona i może dosięgnę otworu.

Mżawka nic nie odparł, tylko westchnął i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Największy Deszczowiec wdrapał mu się na ramiona i wyciągnął rękę ku otworowi, przez który wpadało nieco dziennego światła.

- Nic z tego. Za wysoko. O jejku, lecę!

Krzyk tyrana zlał się w jedno z głuchym łoskotem ciała, padającego bezwładnie na dno jaskini. Rzecz jasna, że i Mżawka stracił równowagę. Przez dobrą chwilę obaj panowie nie mogli doliczyć się rąk i nóg.

- To twoja wina - ryknął Największy Deszczowiec - dlaczego poruszyłeś się, gdy stanąłem ci na ramionach?

- Bo to nie były ramiona - odparł Mżawka. - Spojrzałem ku górze i wtedy raczyłeś oprzeć stopę na moim nosie.

- Do stu tysięcy beczek suchego piasku! - zaklął tyran. - W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Jeszcze raz przeszukajmy dno tej jamy, może znajdzie się jakiś korytarz. Ty idź w lewo, a ja w prawo.

Po chwili w ciemnościach rozległ się ryk Mżawki.

- Znalazłeś? - zapytał tyran z nadzieją w głosie.

- Nie. Ale huknąłem nosem w skałę. O, mój biedny nos, trzykrotnie uszkodzony!

- Nie rozpaczaj - rzekł Największy Deszczowiec. - Gdy wrócimy do Kibi-Kibi, doktor

Bagienko przyszyje ci najpiękniejszy nos z moich magazynów. Auuuuuu!

- Co się stało?

- Wyrznięłem czołem w skałę - jęknął król. - Mam guz jak śliwka...

- A ja znalazłem otwór! - krzyknął Mżawka. - Ciągnie nim świeże powietrze!

- Idź pierwszy. Ja poczołgam się za tobą.

Mżawka bez słowa sprzeciwu wsunął się do czeluści korytarza, którego dno usiane było twardymi kamykami. Po kilku minutach w twarze pełzających uderzył silniejszy podmuch powietrza.

- Tu musi być wyjście! - krzyknął król. - Idź za węchem!

Tego nie trzeba było panu Mżawce powtarzać. Jako doświadczony szpieg odznaczał się przecież świetnym powonieniem. Węsząc jak pies myśliwski, skierował się w prawo i po chwili ujrzał jasną plamę słonecznego światła.

- Hurra, jest wyjście!

Blask słońca był tak silny, że na kilka chwil musieli całkowicie zamknąć oczy. Gdy odważyli się je otworzyć, spostrzegli, że znajdują się na niewielkiej płaszczyźnie, usianej żółtymi kamykami o wielkości orzechów włoskich. W samym jej środku lśniło w słońcu źródółko, z którego wypływał strumyk. Tu i ówdzie widniały wśród traw stare, zmurszałe taczki, styliska łopat, oskardy i resztki drabin. Największy Deszczowiec schylił się, podniósł jeden z żółtych kamyków i zbliżył go do oczu.

- To złoto! - wrzasnął nagle. - Znaleźliśmy kopalnię złota! Jesteśmy bogaci!

I nie zważając na swą królewską godność, jał podskakiwać jak małe dziecko.

Mżawka wzruszył ramionami.

- Cóż z tego - rzekł chłodno - skoro nie mamy nawet kieszeni, żeby je tym złotem nappełnić...

Tyran ostygł w zapale.

- Tak czy owak, obejmuję tę kopalnię na własność. Gdy wrócę tu na czele niezwyciężonej armii, załaduję tym złotem co najmniej sto wozów!

Pan Mżawka pozwolił sobie na uwagę, że najpierw trzeba będzie wrócić do Kibi-Kibi.

- Wiem o tym - rzekł władca. - I dlatego zaraz ruszamy w dalszą drogę. Pójdziemy z biegiem strumyka do najbliższej rzeki, a rzeka doprowadzi nas do morza. Spokojna głowa, za tydzień lub dwa będziemy w domu. Co z twoim nosem?

Mżawka pomacał ozdobę swej twarzy i skrzywił się:

- Boli. Ale to nic, grunt, że jesteśmy bogaci.

- Gdy wrócimy tu - dodał władca - pozwolę ci wziąć sobie cztery kamyczki na

własność. No, niech stracę, nawet pięć...

Raz jeszcze ogarnął spojrzeniem teren kopalni, a serce jego przeszył ból na myśl o tym, że trzeba będzie porzucić tak wielkie bogactwo.

- Wrócę tu jeszcze - mruknął - a wtedy nie chciałbym być w skórze Kraka ani w skórze Smoka Wawelskiego...

Pod wieczór obaj zbiegowie dotarli do szerokiej doliny, której dno zajmowało jezioro porośnięte przy brzegach gęstwą trzcin.

- Tu przenocujemy - zdecydował władca - a jutro skoro świt pójdziemy dalej. Gdzieś w pobliżu powinna być rzeka. Mój nos mówi mi to wyraźnie...

- Mój zaś nic nie mówi, tylko dalej puchnie - stwierdził pan Mżawka. Ale jako człek przezorny zachował tę myśl dla siebie, pamiętając, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

O tej samej porze na wawelskim zamku rozpoczęto nadawanie audycji przeznaczonej dla członków wyprawy. Na rozkaz księcia służba wyprowadziła ze stajni czwórkę koni i zaprzęła je do kieratu, zajmującego plac w pobliżu Smoczej Jamy. Rozległo się trzaskanie z bicza i wołanie woźniców: „wio, wio!” Obroty kieratu uruchomiły znajdującą się pod ziemią turbinę, dzięki czemu radiostacja otrzymała pożądany dopływ prądu. Książę zasiadł przy aparacie i rozpoczął wywoływanie:

- Ja Krak. Ja Krak. Wołani Smoka, odezwij się, jak mnie słyszysz?

W głośniku rozległo się wycie tysiąca szakali i pisk miliona myszy. Książę delikatnie pokręcił gałką aparatu i wszystkie zakłócenia zniknęły w ułamku sekundy. Po trzykrotnym powtórzeniu wywołania, Krak zrobił pięciominutową przerwę. Siedząc w pobliżu okna, miał widok na cały dziedziniec zamkowy. Kręciło się na nim wielu ludzi, z których każdy miał coś do roboty. Prowadzono konie do wodopoju, wyciągano ze studni wiadra czystej i lodowatej wody, rąbano drwa do kuchni, smarowano osie wozów, naprawiano uprzęż, W oborze rozpoczęło się wieczorne dojenie krów przy akompaniamencie muzyki płynącej z radiowych głośników. Już dawno uczony mistrz Janko z Niepołomic dowiedział, iż jakoś mleka poprawia się wybitnie z chwilą, gdy krowki mogą się rozkoszować ładnymi melodiami. Książęce krowy dawały najlepsze mleko przy ariach z „Krainy uśmiechu”, owcom zaś najbardziej odpowiadały piosenki w wykonaniu Cliffa Richarda...

Gdy minęła wyznaczona przerwa, książę ponownie rozpoczął wywoływanie radiostacji Smoka. Po kilku minutach w głośniku rozległ się znajomy sygnał, a po nim tubalny głos przyjaciela:

- Okey, tu Smok. Słyszę, cię dobrze. Jak się masz? Odbiór.

- Powiedz, czy jesteście zdrowi i co u was słychać?

- Wszystko w porządku. Znaleźliśmy samotnego mypinga, który wykazuje ogromną inteligencję. Jeżeli chcesz, dam ci do mikrofonu Baltazara.

- Chętnie z nim porozmawiam - ucieszył się książę.

Po chwili w głośniku rozległ się głos profesora:

- Witaj, Krakusiku drogi! Radio to jednak wspaniały wynalazek. Wiesz, z tym mypingiem po prostu bomba... Z łatwością uczy się mowy ludzkiej. Jaka u was pogoda?

- Z każdym dniem cieplej. Przyleciały już bociany i założyły gniazdo na Baszcie Senatorskiej.

- A złapaliście Deszczowców?

- Niestety nie. Obawiam się, że nie ma ich już w granicach księstwa. Ale na wszelki wypadek na wszystkich rzekach zakłada się sieci, a nad jeziorkami wzmocniono posterunki. Wszystkie bagna znajdują się pod ciągłą obserwacją. No, to na razie tyle, jutro sobie znów porozmawiamy, muszę kończyć, boby się koniki zanadto zmęczyły. Cześć stary, pozdrów wszystkich, do usłyszenia!

Książę wyłączył aparat i wychyliwszy się przez okno dał znak woźnicom, aby wyprzęgali konie z kieratu. Rozmowa z przyjaciółmi poprawiła mu nieco humor zepsuty od kilku dni faktem ucieczki niebezpiecznych więźniów. Stanąwszy przy oknie spojrzał w niebo, na którym poczęły się już ukazywać pierwsze gwiazdy. Nad basztami zamku polatywały nietoperze, śpiące przez dzień w suchych i zakurzonych zakamarkach strychów. Głęboko w dole jaśniało zakole Wisły, puste już o tej porze i pokryte lekką mgiełką. W domach grodu pojawiały się coraz liczniejsze światełka.

Jakże piękny byłby świat, gdyby nie było na nim złych ludzi - pomyślał książę, odchodząc od okna i kierując się ku swej sypialni. - Żylibyśmy sobie spokojnie, a pieniądze potrzebne na wojsko wydawalibyśmy na kupowanie cukierków dla przedszkolaków. Hej, to by dopiero było życie!

Długo jeszcze stał przy otwartym oknie sypialnej komnaty, wciągając do płuc rześwe powietrze wieczoru. Nie myślał jednak o mających zakwitnąć kwiatkach ani o bliskim już rozpoczęciu wiosennych prac na roli. Ucieczka Deszczowców mogła mieć nieobliczalne wprost skutki dla państwa. Za wszelką cenę należało jak najszybciej ich ująć i nie dopuścić, aby przekroczyli granice księstwa. Tylko jak ich odnaleźć na wielkim i stosunkowo słabo zaludnionym obszarze kraju, (pełnym lasów potężnych i bagien nie tkniętych jeszcze stopą ludzką? Nie ulegało bowiem wątpliwości, że zbiegowie (będą omijać wsie i osady, aby się nie narażać na spotkanie z ludźmi. A jeżeli już zdążyli się wydostać z granic księstwa? Gdzie ich szukać, w jaką stronę świata skierować oddziały Gwardii z rozkazem ujęcia przestępców? Nie

znajdując odpowiedzi, nie mógł spokojnie zasnąć i długo w noc krążył po swej komnacie, pogrążony w rozmyślaniach. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy oknie i słuchał okrzyków straży rozstawionej na zamkowych murach. Niebo nad grodem jaśniało od gwiazd, a dźwięki zegarów przypominały, że czas nie stoi w miejscu, tylko bezustannie płynie, tak samo jak ciemne fale Wisły, opasującej wawelskie wzgórze...

Rozdział X

WSPANIALI SPRZYMIERZEŃCY

Przenocowawszy w mule jeziorka, obaj Deszczowcy ruszyli w dalszą drogę. Mogli już płynąć rzeką, co napełniło ich dużym zadowoleniem, jako że nie byli przystosowani do zbyt długiego chodzenia. Okolica wyglądała na nie zamieszkaną, nigdzie nie było widać żadnych śladów działalności człowieka.

Koło południa zbiegowie spostrzegli na brzegu pień drzewa, powalony zapewne przez huragan.

- Bardzo dobrze - rzekł Największy Deszczowiec. - Popłyniemy teraz za darmo...

Wspólnymi siłami zepchnęli drzewo do wody i usiedli na nim okrakiem. Silny nurt porwał zaimprovizowaną łódź i wyniósł ją na środek rzeki. Nad głowami płynących rozpiął się czysty błękit. Oczywiście obaj woleliby chmury roszące deszczem, ale i tak byli w świetnym humorze, gdyż z każdą chwilą oddalali się od Krakostanu.

- Góry Skalistego Południa zostają za nami - stwierdził tyran. - Chce nii się śmiać, gdy pomyślę, że ludzie Kraka szukają nas w tej chwili na Wiśle... Musisz przyznać, o najgłupszy ze szpiegów, że miałem dobry pomysł, aby przyłączyć się do tych zwariowanych Czcieli Kwitnącego Krokusa.

- Ty masz zawsze wspaniałe pomysły - przyznał skwapliwie pan Mżawka, choć pamiętał dobrze, że przyłączenie się do pielgrzymów było dziełem przypadku. - Jestem pewny, że teraz wszystko pójdzie nam jak z płatka.

- Gdy wrócę do Kibi-Kibi - marzył na głos władca - natychmiast zrobię porządek z tym zdrajcą Salamandrusem i z całą jego hołotą.

Mżawka mlasnął językiem i wzniosł oczy do nieba:

- Wtrącimy wszystkich do suszarni - rzekł przymilnie - i będziemy ich prażyć bez przerwy dzień i noc... Nie damy im ani kropli wody.

- Ani jednej żaby - dodał władca.

- Oczywiście. Ale będziemy im pokazywać żaby z daleka, żeby się jeszcze bardziej męczyli.

- Dobry pomysł - przyznał tyran. - Postawimy przed nimi beczki z deszczówką, ale tak, żeby nie mogli do nich sięgnąć... Toż to będzie zabawa, ach, nie mogę się tego doczekać!

Pograżeni w tak miłej rozmowie nie zauważyli, że płyną coraz szybciej i że w łożysku

rzeki pojawiły się ostre, poszarpane skały. Dopiero potężniejszy szum wody zwrócił ich uwagę.

- Uwaga wodospad! - wrzasnął Największy Deszczowiec i kurczowo chwycił się gałęzi.

Mżawka nie zdążył nawet krzyknąć, gdy poczuł, że pień runął w wodną otchłań. Zamknawszy oczy pomyślał tylko: „To koniec” - i po chwili znalazł się w rozszalałej kipieli, rzucany, wplątany w konary drzewa, ogłuszony i oszołomiony. W następnej sekundzie wyrzucił głowę o jakiś podwodny głaz i stracił przytomność.

Drągał wsparty na potężnej maczudze ponowił swe pytanie:

- Kim jesteście?

Największy Deszczowiec, który doszedł już do przekonania, że otaczający go ludzie nie mogą być gwardzistami księcia, zdecydował się wyjawić prawdę:

- Jesteśmy zbiegami z Grodu Kraka.

- Patrzcie no, państwo - zarechotał człowiek o wyglądzie zbrojcy. - Ta zmokła kura wyobraża sobie, że jesteśmy gromadą głupców, którym można opowiadać niestworzone bajeczki...

Dwunastu dryblasów uzbrojonych w miecze, topory i halabardy gruchnęło prostackim śmiechem. Brodaci mężczyźni klepali się z wielkiej uciechy po brzuchach, mrugali do siebie kaprawymi oczyma, odślaniali w śmiechu popsute zębiska. Całe to tałałajstwo przypominało bandę zawodowych morderców i podpalaczy, wypuszczonych chwilowo na majówkę, ale wkrótce mających wrócić do swego stałego miejsca zamieszkania. Ich wygląd pozwalał przypuszczać, iż nigdy w życiu nie mieli do czynienia z wodą i mydłem. Potargane spodnie oraz kaftany trzymały się na nich przy pomocy sznurków i kawałków drutu. Jedyne dowódca prezentował się w miarę możliwie, a na jednym z jego palców połyskiwał złoty pierścień z ogromnym brylantem.

Deszczowiec skrzywił się z niesmakiem i po chwili milczenia dodał:

- Ja jestem królem Krainy Deszczu, a ten oto osobnik Największym Strażnikiem Niezwykle Mokrej Pieczęci, czyli moją prawą ręką.

Mówiąc to, wskazał na pana Mżawkę, który siedział obok niego z głową obwiązaną kawałkiem brudnej szmaty.

Zbójca spoważniał. - Jeśli nie łzesz, godny jesteś największego szacunku. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się uciec z wawelskich lochów.

- A jednak nam się to udało - rzekł tyran.

- I nawet Smok nie dał wam rady?

- Smoka nie ma obecnie w mieście - odparł Deszczowiec. - Podobno pojechał na jakąś wyprawę.

- Widzę, że nie kłamiesz. Gdyby Smok był w grodzie, na pewno nie udałoby się wam zwać. Macie szczęście, że trafiliście na nas, bo w przeciwnym razie zginęlibyście w Diabelskim Wirze.

Największy Deszczowiec poczuł się raźniej:

- A teraz ty nam powiedz, kim wy jesteście. Chciałbym wiedzieć, komu zawdzięczamy życie.

- Jestem dowódcą tych oto dzielnych rycerzy - odparł chętnie brodacz. - Jeżeli sądzisz, że jesteśmy zbrojcami, to srogo się mylisz. Ja i moi towarzysze pochodzimy z dalekiego i niezwykle bogatego miasta Nasturcji, o którym pewnie dużo słyszałeś.

Deszczowiec, jako żywo nie mający pojęcia o istnieniu takiego miasta, odparł skwapliwie:

- Oczywiście że słyszałem.

- Byłem niegdyś władcą Nasturcji - ciągnął człek o wyglądzie zbrojcy - ale pewnego razu przegrałem wojnę z sąsiadami, a wtedy moi łajdacy poddani pozbawili mnie tronu i skazali na wygnanie. Nadejdzie jednak dzień zemsty!

Na poparcie swych słów huknął maczugą o ziemię, a w jego oczach, nakrytych krzaczastymi brwiami, zapaliły się błyski gniewu. Przez chwilę sapał jak miech kowalski, po czym opanował się i rzekł łagodniejszym już tonem:

- Nigdy nie słyszałem o Krainie Deszczu, ale jeżeli byłeś jej władcą, to na pewno marzysz o tym, aby znów wrócić na tron.

- Jest to moje najgorętsze pragnienie - zapewnił go tyran. - Widzę teraz, że zostaniemy prawdziwymi przyjaciółmi. Nie zaznam spokoju, dopóki nie zostawię z Grodu Kraka kamienia na kamieniu!

- To mi się podoba! - krzyknął uszczęśliwiony drągał. - Jesteś mym bratem i sprzymierzeńcem!

I nie czekając na odpowiedź Deszczowca, porwał go w ramiona, całując serdecznie w obydwie policzki. Uczyniwszy to samo z wciąż jeszcze oszołomionym Mżawką, wydał rozkaz swym kompanom, żeby natychmiast rozpalili ognisko i upiekli świeżo upolowanego niedźwiedzia.

Los mi was zesłał. Całe szczęście, że właśnie tu rozbiliśmy obóz, aby się trochę posilić. Mając tak znakomitych sprzymierzeńców, wkrótce wrócę na tron Nasturcji!

Największy Deszczowiec postanowił kuć żelazo póki gorące.

- Powiedz mi, panie, jak się zwiesz, bym wiedział kogo mam uważać za swego najlepszego przyjaciela.

- Jestem Debiliusz Rudobrody, król Nasturcji z przyległościami, hrabia Salcesonu i Korniszonii. Nie powiesz chyba, że moje imię jest ci nie znane.

Deszczowiec, który nigdy nie słyszał o żadnym Debiliuszu, przytaknął gorliwie:

- Pewnie, że znam cię ze słyszenia. Zawsze marzyłem o tym, aby poznać bohatera, którego sława wypełnia pół świata.

- Wkrótce będzie wypełniać cały świat - zawołał Debiliusz. - A stanie się to dzięki przymierzu z tobą, o Największy z Deszczowców!

Uczta była wyśmienita! Zgłodniali Deszczowcy szarpali kłami kawały smakowitego mięsiwa i z rozkoszą popijali je wodą z rzeki. Ubrani już w zbójce stroje, upodobnili się do reszty kompanii, która - jak się wkrótce okazało - złożona była z najbliższych przyjaciół Debiliusza.

Od czasu do czasu dochodziło między zbójami do kłótni, szły w ruch pięści, kije i topory. Ale obawa przed gniewem dowódcy była wśród nich tak silna, że wystarczało samo jego surowe spojrzenie, aby rozdzielić walczących.

Świadomość zdobycia sprzymierzeńców wprowadziła Największego Deszczowca w doskonały humor. Zażerając się niedźwiedzim mięsem, sypał żartami i przechwalał się w sposób trudny do opisania. Chcąc zaimponować nowym kompanom, opowiadał ze szczegółami o tym, w jaki sposób rządził swym krajem przy pomocy armii szpiegów i donosicieli. Rzecz jasna, iż prze milczał wszystkie zdarzenia, które mogły być przedstawić go w niekorzystnym świetle. Mżawka ograniczył się jedynie do potakiwania swemu władcy, zadowolony z tego, że rozbity łeb nareszcie przestał mu dokuczać.

Po skończonej uczcie Debiliusz zarządził poobiednią ciszę. Całe towarzystwo ułożyło się na trawie brzuchami do góry, a w kilka chwil później rozległo się potężne chrapanie czternastu gardzieli. Wtedy na polanę wypełzło z krzaków stadko tbdreg pasiastych, aby się zabrać do obgryzania resztek mięsa z porzuconych tu i ówdzie kości. Nad czubami drzew krążyło stado sępów, czekających cierpliwie na swój udział w uczcie.

Śniło się Mżawce, że wrócił już do Kibi-Kibi i objął swe stanowisko przy boku władcy. Miał na sobie wspaniały, kapiący od złota strój i mieszkał w pałacu, zaopatrzonym w pływalnię, wyłożoną płytkami z malachitu. W każdej sali pałacu znajdowało się urządzenie do wytwarzania sztucznego deszczu. Magazyny były pełne żab, ślimaków, węży, stonóg i karakonów, a w pałacowej kuchni uwijało się bez przerwy dziesięciu kucharzy, gotowych do zaspokojenia każdej pańskiej zachcianki. Byłby to bardzo miły sen, gdyby nie to, że w pewnej

chwili znalazł się w nim... Smok Wawelski! Przerażony pan Mżawka rzucił się do ucieczki przez dziesiątki komnat oraz nie kończące się korytarze i schody. Podnosząc z coraz większym trudem nogi, czuł na plecach gorący oddech Smoka. Chciał krzyknąć, ale żaden głos nie mógł się wydostać z krtani ściśniętej okropnym przerażeniem. Nagle poczuł na ramieniu ucisk smoczej łapy! Wtedy zebrał wszystkie siły i krzyknął nareszcie: RATUNKU!!!

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą postać Debiliusza. Był w lesie, otoczony gromadą zbójców, tuż obok niego stał Największy Deszczowiec, gotowy już do drogi.

- Miałeś zły sen? - zapytał go władca. - Gdy nasz przyjaciel cię budził, krzyczałeś na cały głos „RATUNKU”!

Mżawka otarł pot z czoła i nachyliwszy się ku władcy szepnął:

- Śnił mi się Smok Wawelski...

- To nic dziwnego, że się darłeś jak obdzierany ze skóry - zaśmiał się tyran. - Niestety, nie grzeszysz odwagą, mój kochany... No, a teraz czas w drogę. Zapamiętaj sobie: w tej chwili rozpoczyna się nasz marsz po korony!

- To znaczy, że ja także dostanę koronę? Największy Deszczowiec spojrzał na niego z politowaniem:

- Nie dość, że jesteś tchórzem, ale także głupcem. Ty i korona?

W kilka chwil później banda zbójców zniknęła w leśnej gęstwinie. Na polanie wylądowało stado sępów...

Aż siedem tygodni, siedem godzin i siedem minut zużyła banda Debiliusza na przedostanie się w bliższe okolice Nasturcji.

Z tej strony rzeki rozciągały się bowiem okrutne bory, nie tknięte jeszcze ręką człowieka. Powodzenie wyprawy zależało w pierwszym rzędzie od zaskoczenia przeciwnika. Aby ten cel osiągnąć, trzeba było dotrzeć do starego żarniku, w którym niegdyś zatrzymywał się Debiliusz w czasie polowania na tury i niedźwiedzie. Zameczek stał na wysokiej skale, sterczącej niemal pionowo z gęstej i wiekowej puszczy. Przy dobrej pogodzie widać zeń było wzgórze otaczające Nasturcję, stanowił więc znakomite miejsce do ostatecznego przygotowania ataku na miasto.

W czasie owych tygodni żywiono się upolowaną zwierzyną, a zwłaszcza bzdregarni i ćwokwami, które łapano w sieci. Obaj Deszczowcy upodobnili się zupełnie do swych kompanów; twarze ich pokrył gęsty zarost, a otrzymane w darze ubrania -postrzępiły się i poplamiały. Wiezorami oddział zapadał w niedostępne bagna, a wtedy tyran i jego szpieg do

syta korzystali z błotnych kąpiel.

Na widok zamku z ust rozbójników wydarł się głośny krzyk radości. Niepomni na zmęczenie ruszyli do wspinaczki, czepiając się skał oraz powykręcanych korzeni sosen. Ze stromej i wąskiej drogi prowadzącej niegdyś na szczyt góry nie zostało ani śladu, zginęła zupełnie wśród kolczastych krzaków tarniny, dzikiej róży i jałowca.

Straszliwy zgrzyt zardzewiałych zawiasów w głównej bramie spłoszył setki i tysiące nietoperzy. Wyfrunęły też ze swych kryjówek sowy i puchacze. Dziedziniec porastała zbita gęstwa pokrzyw i wielkolistnych łopianów. W komnatach panoszyły się mchy i paprocie, a nie myte od lat okna pokryte były pajęczynami. Nie przeszkadzało to wcale ludziom Debiliusza. Cieszył ich własny dach nad głową, a że przez ten dach można było liczyć gwiazdy na niebie, nie miało dla nich najmniejszego znaczenia. Na szczęście piec w kuchni zachował się w dobrym stanie, co dawało nadzieję na regularne posiłki.

- Hej, były kiedyś piękne czasy - rozczulił się zbójca. - Przyjeżdżałem tu na polowania, a wtedy stół uginał się od potraw i szlachetnych napojów.

- Dobre czasy znów nastaną - odparł Największy Deszczowiec. - Najważniejsze, żebyśmy zawsze szli ręką w rękę, ponieważ mamy cel prawdziwie wzniosły. Ozy jednak myślisz, że z tą garstką ludzi potrafimy zdobyć Nasturcję?

- Na pewno! Musisz wiedzieć, że Nasturcjanie są ogromnie lekkomyślni i nie liczą się z możliwością mojego powrotu. Ponadto słyszałem, że ci durnie rozebrali wszystkie mury obronne, budując z nich schroniska dla bezdomnych psów i kotów! Bądź więc pewny, że zajęcie miasta nie sprawi nam absolutnie żadnych kłopotów.

- Oby tak było, jak mówisz - rzekł tyran Deszczowców. - Wiem jednak z własnego doświadczenia, że nigdy nie należy być zbyt wielkim optymistą. Musisz mi coś obiecać...

- Z góry na wszystko się zgadzam.

- Gdy zdobędziemy Nasturcję - Deszczowiec powiedział to powoli i wyraźnie - ruszymy bezzwłocznie na Gród Kraka. Zgoda?

- Oczywiście, że zgoda - zawołał Debiliusz. - Z tobą pójdę nawet do piekła. Podobasz mi się, bo ci wilkiem z oczu patrzy!

Rozdział XI

PRIMA APRILIS

Bartolini otworzył oczy i spojrzał na zegarek:

- Mamma mia! Szósta, czas wstawać! Jaki to dzień dziś mamy?

Rzut oka na kalendarz pouczył go, że oto rozpoczął się już kwiecień.

Zaraz, zaraz - pomyślał kucharz. - To znaczy, że dziś jest prima aprilis. Jeśli nie zrobię z kogoś balona, to nie jestem godzien zwać się Bartłomiej Bartolini herbu Zielona Pietruszka! Ale trzeba się śpieszyć.

Wyskoczył z namiotu i stwierdził, że reszta towarzystwa nie opuściła jeszcze swych legowisk.

- TO dobrze - zatarł tłuste rączki. - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

W chwilę później uchyliła się płachta namiotu doktora. Czcigodny eskulap wypełził na dwór. Ustawiwszy na stole lusterko, powiedział:

- Postanowiłem przystrzyc sobie brodę. Wyglądam już jak dzikus. Oj, do licha, muszę iść po nożyczki.

Podczas krótkiej nieobecności lekarza Bartolini odwrócił lusterko o 180 stopni.

Doktor wrócił z nożyczkami i ustawił się przed zwierciadłem. Nagle poblądł i krzyknął:

- Ratuj, Bartolińciu, stoję na głowie!

Kucharz parsknął śmiechem i przywrócił lusterku dawne położenie. Znowu było wszystko w porządku, jak poprzednio.

- Co się stało? - wyjąkał zdumiony lekarz.

- Po prostu prima aprilis - zaśmiał się kucharz, rad z udanego kawału. - Dziś jest przecież pierwszy kwiecień!

- A ja się wystraszyłem - odetchnął z ulgą Koyot - że kula ziemską nagle fiknęła koziołka. Ale pst, nic nikomu nie mów, musimy nabrać resztę wiary.

- Mam pomysł - rzekł Bartolini. - Tylko muszę rozpalić ognisko.

Po chwili w stosie suchych patyków zatrzęszczały płomienie. W powietrzu rozszedł się zapach dymu. Kucharz przyniósł z namiotu kawałek szkła i dokładnie je okopcił.

- Co chcesz zrobić? - zapytał lekarz.

- Zaraz się dowiesz...

Bartłomiej podbiegł ze szkiełkiem do namiotu Gąbki i krzyknął:

- Wielka sensacja, proszę wyjść szybko!
- Już lecę - rozległ się z wnętrza głos uczonego. - Co się dzieje!
- Zaćmienie słońca!

Gąbka błyskawicznie znalazł się na zewnątrz namiotu.

- Co mówisz? Nie wiedziałem, że dziś ma być zaćmienie...

Kucharz wręczył mu zakopcone szkiełko:

- Sam zobacz...

Uczony przyłożył szkiełko do oczu.

- Rzeczywiście, i to całkowite, bo nic a nic nie widać.

Bartłomiej zrobił tymczasem perskie oko do lekarza i szturchnął go łokciem w bok.

Po chwili Gąbka odsunął szkiełko od oczu i stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość, że słońce świeci tak jak codziennie, spojrzał przeciągle na kuchmistrza i zapytał słodziutkim głosem:

- Odkąd to, kochasiu, jesteś znawcą astronomii? Czyżbyś się dobrał o świcie do gąsiorka z winem?

Uradowany Bartolini krzyknął:

- Prima aprilis, nie wierz, bo się omylisz!

- Szpetnie mnie- nabrałeś - przyznał uczonego. - Przez chwilę naprawdę myślałem, że to zaćmienie. Ale z czego się tak śmiejecie? - dodał niepewnie, widząc rozbawione miny obydwu przyjaciół.

- Spójrz do lusterka - rzekł doktor i podsunął mu je przed oczy.

Na końcu profesorskiego nosa czerniła się okazała plama z sadzy...

Wesołość trójki przyjaciół obudziła wreszcie Smoka. Naprzód ucichło przeraźliwe chrapanie, następnie spoza uchylonej płachty ukazało się zaspane oblicze Szefa Wyprawy.

- Co się dzieje? - ryknęła ozdoba Grodu Kraka. - Hałasujecie tak, jakby się świat walił.

Gąbka podbiegł do niego i z dobrze udanym przerażeniem zawołał:

- Stała się rzecz okropna! Ktoś nam w nocy ukradł samochód!

Smok przetarł sklezione oczy i wybałuszył je w kierunku pojazdu.

- Zwariowaliście? Przecież stoi tam gdzie wczoraj.

- To nie on, tylko jego fatamorgana - rzekł profesor, siłąc się na powagę. - Takie zjawiska zdarzają się przecież w ciepłych krajach.

Zaniepokojony Smok rzucił się bez słowa w kierunku samochodu i dopiero wyrznuwszy weń głową zorientował się, że padł ofiarą żartu. Rozcierając dłonią olbrzymi guz na czole, wpadł na pomysł, aby zażartować z ostatniego członka wyprawy, który spokojnie spał

w swym namiocie.

- Marcinku kochany - zawołał głosem zdolnym do obudzenia nieboszczyka. -
Przyjechała pani Katarzyna, żeby cię natychmiast zabrać do domu!

Z wnętrza namiotu wydobył się przerażony głos byłego zbójcy:

- Powiedźcie jej, że mnie nie ma. Byłem do wczoraj, a teraz zniknąłem. Zupełnie i nieodwracalnie!

- Niestety, już za późno, właśnie idzie do ciebie... Na te słowa stało się coś, czego nie przewidzieli rozbawieni uczestnicy wyprawy. Nie opuszczając namiotu, Lebioda zerwał się do ucieczki. Trzasnęły linki, wyrwane z ziemi kołki zafurgotały w powietrzu i liliowa płachta ze znajdującym się w środku Marcinem pognała w kierunku bliskiego strumienia. W następnej sekundzie rozległ się głośny plusk i nieszczęsny eks-zbójca znalazł się w zimnej, lecz na szczęście nie-głębokiej wodzie. Błyskawicznie rzucili się mu na ratunek. Gdy oswobodzony wreszcie ze zwojów tkaniny i splotów linki stanął na lądzie, dowiedział się, że dziś jest... prima aprilis, a więc dzień, w którym wszystko jest dozwolone.

- Ale skoro dziś pierwszy kwietnia - zakończył zabawę Smok - to znaczy, że już od dziesięciu dni jesteśmy w drodze. Z tej okazji należy nam się jakieś dobre śniadanko. Ale takie prawdziwe - dodał z wesołym błyskiem oka - a nie primaaprilisowe...

Po trzech godzinach nieprzerwanej jazdy znaleźli się wśród pagórków, porośniętych mieszanym lasem.

- Nie ma to jak drzewo - rzekł Smok, zatrzymawszy samochód w cieniu brzoź, topoli, dębów i modrzewi. - Drzewo jest radością życia i muszę wam powiedzieć, że nigdzie nie czuję się tak szczęśliwy, jak w lesie.

- A mnie do szczęścia jeszcze bardziej potrzebna jest woda - dodał profesor. - Gdyby tu była rzeka albo jezioro...

- Na pewno znajdziemy wodę, bo inaczej nie byłoby tak pięknych drzew - pocieszył go przyjaciel. - Posłuchajcie...

Cały las rozbrzmiewał śpiewem ptaków. Słysząc było kukanie kukułki, melodyjne pogwizdywanie wilgi, szczebiot sikorek, gwizd szpaków i kosów. Ares, który wraz z mypingiem wyskoczył z samochodu, strzygł uszami na wszystkie strony i węszył zapamiętałe, nie zaprzestając ani na chwilę machania ogonem, co w jego psim języku oznaczało zapewne, że i on czuje się szczęśliwy. Myping zachowywał się podobnie, z tą tylko różnicą, iż zamiast szczekać jak Ares, wydobywał z siebie śmieszne pochrząkiwanie.

Doktorek przeciągnął się i mrugnawszy okiem do kucharza zapytał:

- Czy masz jeszcze karmelki? Chętnie bym coś pochrupał.

Kuchmistrz spojrzął na zegarek:

- Za godzinę będzie obiad, a cukierki odbierają apetyt.

- Masz rację, kochany - rzekł lekarz - ale nie zapominaj, że cukier jest potrzebny sercu...

Tak więc, rozgrzeszeni przez naukę, pasażerowie zajęli się karmelkami, własnoręcznie przyrządzonymi przez Bartoliniego przed wyruszeniem na wyprawę.

Gąbka zagwizdał, obydwaj zwierzaki wskoczyły do samochodu i wspaniały pojazd potoczył się w dalszą drogę. Piękna dolina wiała się wśród pagórków jak ogromny, szmaragdowy wąż.

W pół godziny po ostatnim postoju uwagę jadących zwróciła oryginalna brama, zbudowana z nie okorowanych pni. Obok niej wznosił się słup, na którym widniała tablica z napisem, wykonanym przy pomocy rozpalonego żelaza. Na ten niespodziewany widok podróżni jak jeden mąż wydali okrzyk zdumienia. A więc w tej głuszy są ludzie! W jednej chwili znaleźli się przed tablicą. Smok nałożył na nos okulary i przeczytał co następuje:

REZERWAT DINOZAURÓW Z EPOKI JURAJSKIEJ

- 1. Uprasza się o zachowanie szczególnej ostrożności.**
- 2. W wypadku spotkania się z Gadami należy grać na skrzypcach ich ulubioną melodię „Włazł kotek na plotek”, która je nastraja sentymentalnie.**
- 3. Nie karmić zwierząt landrynkami!**
- 4. Na terenie Parku obowiązuje zakaz używania sygnałów dźwiękowych.**

Dyrektor Rezerwatu

DAMIAN RUFINUS pustelnik

Uwaga: Do Dyrekcji Rezerwatu wiedzie droga oznaczona tyczkami w kolorze bahama-yellow. Na miejscu parking, pole namiotowe, prysznic i stoisko z pamiątkami.

- No, to jest dopiero wspaniały prima aprilis - rzekł doktor Koyot.

Profesor w zamyśleniu pogładził swą kozią bródkę.

- A może to prawda? Są na świecie rzeczy, o których się nie śniło filozofom.

- Ja już dziś niczemu nie wierzę - upierał się medyk. - Nawet temu, że nazywam się

Koyot i jestem nadwornym lekarzem samego księcia Kraka!

- Jeżeli mamy do czynienia z kawałem - rzekł Smok - znaczyłoby to, że wjeżdżamy w krainę zamieszkałą przez ludzi nie pozbawionych poczucia humoru. A to już dobrze.

Gąbka raz jeszcze odczytał podpis na tablicy.

- Damian Rufinus. Jestem pewien, że nazwisko to należy do mądrego człowieka.

- Nigdy nie należy pomijać sposobności do poznania mądrych ludzi - powiedział Smok.

- Ostatecznie nie ma ich zbyt wielu na świecie.

Rozdział XII

WŚRÓD DINOZAUROW

A jednak to nie był prima aprilis... Dyrekcja rezerwatu mieściła się w drewnianym domku, stojącym w środku kotlinki otoczonej skałami. Z komina unosiła się ku niebu smuga dymu. Już z daleka spostrzegli rosnącego mężczyznę, z długą po pas- brodą, który podlewał kwiaty w ogródku.

- To pewnie Rufinus - szepnął Bartolini. - Pierwszy raz w życiu widzę prawdziwego pustelnika. Ciekaw jestem, czym on się odżywia?

- Zapewne korzonkami i jagodami, tak jak to mają w zwyczaju pustelnicy - rzekł doktor Koyot.

Kuchmistrz pociągnął nosem.

- Gotów jestem założyć się, że to jajecznica na boczku. I do tego z cebulką!

Zauważywszy zdążających ku domkowi ludzi, pustelnik otworzył bramkę i ruszył na powitanie gości.

- Co za niespodzianka - zawołał radośnie na widok Smoka. - Oto przybywa do mnie najlepszy druh księcia Kraka!

- Znasz mnie? - zapytał Smok i uściśnął dłoń gospodarza.

- Oczywiście, ale tylko z opisu. Koresponduję z jednym pustelnikiem mieszkającym w Puszczy Książęcej. Raz na miesiąc wymieniamy listy przy pomocy gołębi pocztowych.

- Czy masz na myśli brata Urbana od Siedmiu Jeleni? To mój przyjaciel.

- Przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi - rzekł Rufinus. - Wejdźcie do mego domu, na pewno jesteście zmęczeni daleką podróżą. Ale cóż ja widzę, macie z sobą mypinga, i to oswojonego!

- Towarzyszy nam dopiero od kilku dni - wyjaśnił profesor. - Spotkaliśmy go nad Wielką Rzeką, wkrótce po zjechaniu z Gór Skalistego Południa. Jest niezwykle pojętny, nauczył się już kilkunastu słów po ludzku. Wabi się Ping.

Wiadomość ta wprowadziła Rufinusa w zdumienie.

- Swego czasu próbowałem oswoić kilka mypingów, ale bezskutecznie. Były złe i nieufne. Trzymałem je w jednym z tych domków. Pewnej nocy wykonały podkop i uciekły.

- Ping - dodał Gąbka - zaprzyjaźnił się od razu z moim wilczurem i nie opuszcza go ani na chwilę.

- To ciekawe, ogromnie ciekawe - powtarzał pustelnik. - Mam już sto lat i nie widziałem czegoś podobnego.

Izba Rufinusa umeblowana była skromnie, ale ze smakiem. Jej środek zajmował stół wykonany z pnia ogromnego buka, w kącie przy oknie stał szeroki tapczan, okryty wzorzystym kilimem, obok zaś biurko zavalone księgami w skórzanych oprawach. W rogu izby znajdował się kamienny kominek. Ozdobę ścian stanowiły korzenie o fantastycznych kształtach oraz bajecznie kolorowe ptaszki, wykonane z drzewa.

- To wszystko moja robota - pochwalił się gospodarz. - Jestem sam, muszę więc być jednocześnie stolarzem, zdunem, tkaczem, a nawet introligatorem i snycerzem.

Zadowolony z niespodziewanej wizyty krzątał się po izbie, częstując gości jajecznicą na boczku, razowym chlebem oraz wodą z dodatkiem jeżynowego soku.

- Widzę, że jesteś też znakomitym kucharzem i piekarzem - rzekł Bartolini.

Rufinus zaprzeczył gestem dłoni.

- Nie przesadzajmy, potrafię coś niecoś ugotować, ale daleko mi do takiego mistrzostwa, jakim odznacza się niejaki Bartłomiej Bartolini, herbu Zielona Pietruszka, którego na pewno znacie.

- Mamma mia! - pisnął kucharz. - Przecież to ja we własnej osobie!

Dyrektor Rezerwatu stanął na środku izby jak wryty.

- Wiem o tobie z listów brata Urbana, tak samo jak o Smoku. Jeżeli jeszcze powiesz mi, że jest wśród was profesor Gąbka, to doprawdy nie uwierzę...

Baltazar uśmiechnął się i pogładził swą bródkę.

- Tak się śmiesznie składa, że to ja nim jestem. Pozwól więc, że przedstawię ci pozostałych członków wyprawy: oto nadworny medyk księcia Kraka - imć Koyot, oraz Marcin Lebioda, człek zdolny do wszystkiego...

Następnie w krótkich słowach poinformował pustelnika o celach wyprawy, ów zaś opowiedział im historię powstania rezerwatu dinozaurów, założonego przed laty przez Spółdzielnię Pustelników „Korzonek”. On sam, jako najmłodszy z założycieli, był jej ostatnim żyjącym członkiem.

- A gdzież są dinozaury? - zapytał Smok, wypiwszy do dna garniec wody z sokiem. - Dotychczas nie widzieliśmy ani jednego.

- Pasą się na łące odległej stąd o dziesięć minut drogi - wyjaśnił Rufinus. - Zaraz zadzwonię na nie

1 wtedy je zobaczycie.

Wyprowadziwszy gości na dwór, kilkakrotnie uderzył w dzwon zawieszony na

specjalnym rusztowaniu.

- Te domki - wskazał ręką - zamieszkane były przez członków spółdzielni. Teraz służą za pomieszczenie dla turystów.

- A skąd oni przybywają? W Grodzie Kraka nikt nie wie o istnieniu rezerwatu.

- To są mieszkańcy krainy zwanej Nasturcją.

- Nigdy o takiej nie słyszałem - zdziwił się Koyot.

- To moje rodzinne miasto, położone nad Wielką Rzeką.

- Myśmy jednak zostawili Wielką Rzekę daleko za sobą - zauważył doktor.

- Wielka Rzeka tworzy ogromny łuk, przepływa przez Nasturcję, a potem wpada do Bardzo Czarnego Morza. Pokażę wam to na mapie, którą sam wyrysowałem, kiedy byłem zaledwie pięćdziesięcioletnim młodzieńcem. O, już nadchodzą dinozaury...

W miejscu gdzie skały tworzyły rodzaj bramy, ukazała się potężna sylwetka zwierzęcia, idącego dostojnym krokiem. Tuż za nim kroczyło kilka innych gadów, niewiele mniejszych od przewodnika. Na samym końcu baraszkowało maleństwo, podskakujące na podobieństwo jagnięcia, choć rozmiarami przewyższające rosnącego żubra.

Widok olbrzymów zaparł dech w piersiach gromadki skupionej wokół Rufinusa. Pierwszy gad wysoki był chyba na dziesięć metrów. Stapał na tylnych łapach, podpierając się grubym, mięsistym ogonem. Na masywnej szyi osadzona była ruchliwa głowa, z pełną zębów paszczą. Przednie łapy przypominały ręce o wielkich dłoniach, zaopatrzonych w palce zakończone szponami. Popielata skóra, pełna zgrubień i narośli, opinała ogromne cielsko. Wzdłuż grzbietu potwora ciągnął się rząd zrogowaciałych wypukłości przywodzących na myśl zęby wielkiej piły.

- Mo... mo... może byśmy się schowali do domku - zaproponował najlepszy z kucharzy. Rufinus uśmiechnął się.

- Nie bójcie się. W mojej obecności gady są łagodne jak dzieci.

- Moje dzieci nie zawsze są łagodne - rzekł Bartolini. - Wiem coś o tym, niestety!

Profesor nie odrywał oczu od potworów.

- To wspaniałe - szeptał do siebie. - To wspaniałe! Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego.

Marcin Lebioda drżącymi wargami szeptał litanie do św. Madę j a, patrona zbójców i poborców podatkowych.

- Zapomniałem sobie - wystękał Bartolini - że przypomniałem w domu... Ojej, pomyliło mi się wszystko. Przypomniałem sobie, że zapomniałem w domku chusteczki do nosa.

- Po co ci chusteczka? - zapytał doktor Koyot.

- Mam straszliwy katar i okropnie potrzebuję wysiąkać nos... Zaraz wrócę!

I nie tracąc czasu, pognął ku domkowi pustelnika na swych krótkich nóżkach, o których można by powiedzieć wiele, tylko nie to, że są zbyt proste.

A Smok wziął się pod boki i stojąc w szerokim rozkroku spoglądał na dinozaury z zainteresowaniem, w którym nie było ani odrobiny lęku. Sam przecież wywodził się z_rodu potężnych gadów, toteż w nadchodzących olbrzymach-widział raczej gromadkę kuzynów, z którymi łatwo mu będzie znaleźć wspólny język. To, że pod ich krokami drżała ziemia, nie budziło w nim lęku, lecz podziw i uznanie.

- A czym się żywią te potwory? - zapytał profesor.

- Niegdyś były mięsożerne i przepadały za baleronom - wyjaśnił Rufinus.

Gąbka otwarł szeroko oczy:

- Za czym?

- Za baleronom. Każdy taki zwierzak pożerał dziennie trzysta kilogramów najlepszego baleronu, który sprowadzaliśmy z Nasturcji. Możecie sobie wyobrazić, ile kosztowało wtedy utrzymanie rezerwatu... Długo rozmyślałem nad tą sprawą i doszedłem do wniosku, że należy je odzwyczaić od mięsa. Pewnego dnia zacząłem dodawać do baleronu po odrobinie trawy... Z każdym tygodniem powoli zwiększałem jej ilość, aż doszedłem do tego, że nauczyłem je pożerać wyłącznie samą trawę. I te głuptaski nie połapały się w niczym. Trwało to oczywiście bardzo długo, ale, jak widzicie, dało dobre wyniki.

- Więc powiadasz, że teraz jedzą trawę i nawet sobie to chwają?

- Jak najbardziej. A trawy mamy tu w bród, i to w najlepszym gatunku. Zaoszczędziłem przez to mnóstwo pieniędzy, za co zostałem odznaczony Orderem Szmaragdowej Jaszczurki pierwszego stopnia!

- Gratuluję - odezwał się profesor. - Dokonałeś wielkiego dzieła i zasłużyłeś na miano prawdziwego patrioty!

Dyrektor zarumienił się, słysząc taki komplement w ustach słynnego badacza przyrody.

- Ee, nie ma o czym mówić...

Gdy wspaniałe zwierzęta znalazły się wewnątrz zagrody, Rufinus przyłożył do ust okarynę i począł im grać kołysankę. Jedno za drugim układało się na trawie na wzór owieczek, spędzonych do koszar. Łagodne tony instrumentu mówiły im, że oto nadeszła pora spoczynku, że już czas na miły sen w rzeźwym powietrzu. Nim upłynął kwadrans, groźne dinozaury spały już głęboko, sprawiając wrażenie zbiorowiska wielkich, popielatych głazów.

Rufinus schował okarynę do kieszeni i rzekł do zebranych:

- Możemy iść do domu. Nam też należy się wypoczynek.

- Długo żyję na tym świecie - powiedział Smok - ale czegoś podobnego jeszcze nie widziałem.

Siedzieli wokół dębowego stołu. Rozmowom nie było końca. Dyrektor rezerwatu, rad z tak zacnych gości, opowiadał im o swej pracy, oni zaś rewanżowali się nowinami z Grodu Kraka. Profesor wyjaśnił gospodarzowi cel wyprawy i dowiedział się, że kraina mypingów leży w pobliżu Nasturcji, oddzielona od niej łańcuchem Gór Pieprzowych. Wiadomość ta wprowadziła go w doskonały humor. Okazało się bowiem, że wybór kierunku drogi był najzupełniej prawidłowy. Niestety, o samych mypingach Rufinus niewiele mógł im powiedzieć. Zwierzęta te na ogół omijały Nasturcję w swych wędrówkach i tylko nieliczne osobniki pojawiały się czasami w pobliżu granic miasta.

- Wiele jest jeszcze na świecie spraw nie wytłumaczonych - powiedział Rufinus, dolawszy gościom soku jeżynowego - a powołaniem uczonych jest ich dokładne zbadanie. Życzę wam powodzenia i zazdroszczę, że nie mogę wziąć udziału w wyprawie. Chętnie bym z wami pojechał, ale nie mogę opuścić swoich maleństw.

- Ładne maleństwa - zaśmiał się Smok. - To największe gady świata...

- Powiedz mi, Smoku - poprosił gospodarz - jak to się stało, że ty, który dawniej słynąłeś z okrucieństwa, tak bardzo się zmieniłeś na dobre? Nigdy tego nie mogłem pojąć.

Smok wygodnie rozparł się w fotelu i zapalił fajkę.

- Gdy byłem jeszcze takim klasycznym smokiem, miałem wielu wrogów. Znalazł się między nimi pewien niedorosły mędek, który podrzucił mi barana nadzianego siarką, szkłem i drutem kolczastym.

- Brr, to okropne - wzdrygnął się Rufinus.

- Kto wie - ciągnął dalej Smok - czy nie dołożył jeszcze musztardy, czosnku i fasolki po bretońsku. Byłem głodny, więc pożarłem tę zakąskę, choć trochę zgrzytała mi w zębach. Skutek był straszny!

- Wyobrażam sobie - jęknął z przejęciem dyrektor rezerwatu.

- To sobie nawet trudno wyobrazić. To trzeba było przeżyć. Ale jakoś przeżyłem - uśmiechnął się Smok - tylko, że do dziś nie znoszę baraniny. Moi wrogowie, aby uspokoić mieszkańców miasta, rozgłosili, że wypilem pół Wisły i rozpadłem się na 1245 kawałków! Na dowód powiesili na Wawelu kilka rzekomo moich kości. Muszę przyznać, że był to nawet niezły chwyt propagandowy... Gdy po długiej chorobie znów wylazłem z jamy na brzeg Wisły, stwierdzili oficjalnie, że to już nie jestem ja, ale jakiś inny, tym razem zupełnie nieszkodliwy Smok. Żeby im nie robić przykrości ogłosiłem, że odżywiam się ryżem z pomidorami, czemu zresztą jestem wierny aż do dziś.

- A co się stało z tymi kośćmi? - zapytał Rufinus.

- Są tam, gdzie je powieszono - wyjaśnił Smok - ale obecnie wszyscy przewodnicy tłumaczą turystom, że to kopalne szczątki mamuta, co zresztą zgodne jest z prawdą.

Rufinus zamyślił się.

- No dobrze, a jak to było z tymi krakowiankami, które podobno codziennie zjadałeś na śniadanie?

Smok spodziewał się widać tego pytania, rozwarł bowiem paszczę od ucha do ucha i roześmiał się serdecznie.

- Skądże znowu! Po prostu wydawałem je za rycerzy, którzy przybywali z dalekich stron, aby mnie zabić. Każdemu śmiałkowi mówiłem tak: „Bierz babkę i spływaj, ale tak, żeby was nikt nie widział, jeżeli nie chcesz, bym cię pożarł...” Żaden mi nie odmówił. Niektóre z tych dziewcząt zrobiły nawet wielką karierę, jak pewna Elżunia, która została królową Papiloci i wprowadziła w swym państwie mini-spódniczki. W tych czasach nie było jeszcze poczty ani telefonu, wszyscy więc myśleli, że to ja je pożarłem...

- Brawo! - zawołał uradowany Rufinus. - To mi się podoba!

W godzinę później wszyscy przyjaciele, poukładani na pneumatycznych materacach, zapadli w smaczny i głęboki sen.

Nad doliną mrugały niezliczone gwiazdy. Cicho szumiała woda w potoku. Od czasu do czasu słychać było głębokie westchnienia dinozaurów, zażywających dobrze zasłużonego wypoczynku.

Rozdział XIII

W NASTURCJI

Ratuszowy zegar oznajmił godzinę szóstą rano. Na jego dźwięk w otwartych oknach ukazały się postacie zaspanych mieszczan. Większość z nich ziewała tak mocno, że zerwał się wiatr, który przez dłuższą chwilę szemrał w gałęziach drzew. W pół godziny później na ulicach grodu rozpoczął się codzienny ruch. Zaturkotały koła wozów wypełnionych mlekiem i bułeczkami, a w sklepach pojawili się pierwsi kupujący. W myśl starodawnego zwyczaju wszyscy witali się słowami: „Ele mele dutki”, co w języku nasturcjańskim oznaczało po prostu „Dzień dobry”. Biegące do szkół dzieci podskakiwały wesoło, wiedząc, iż czeka je kilka godzin przyjemnej zabawy. W szkołach tych bowiem nigdy nie stawiano stopni niedostatecznych, cały zaś czas nauki wypełniało oglądanie kolorowych obrazków, przedstawiających rośliny i zwierzęta. Kupcy przybrani w barwne togi zapraszali przechodniów do swych sklepów, w których można było dostać (i to za darmo!) takie wspaniałe rzeczy, jak gwizdki z masy perłowej, baloniki wypełnione rozweselającym gazem lub zęby wampira... Z równą przyjemnością jak dzieci do szkoły, szli dorośli do swych miejsc pracy, gdyż w Nasturcji wszyscy do wszystkich odnosili się życzliwie, z powodu czego nie było wcale spraw trudnych do załatwienia. Nasturcjanie cieszyli się każdym dniem tak samo, jak dzieci cieszą się nową zabawką, co wcale nie było dziwne, zważywszy, że klimat tego kraju należał do najprzyjemniejszych na świecie *.

Pogodne usposobienie i brak zmartwień przyczyniały się do długowieczności Nasturcjan. Jednym z najstarszych i najbardziej szanowanych obywateli miasta był senator Stuk-Puk, sprawujący od kilku lat funkcję przewodniczącego Senatu. Od czasu gdy Nasturcjanie zmusili do ucieczki króla Debiliusza Rudobrodego, Senat stanowił najwyższą władzę miasta, ciesząc się wśród jego obywateli miłością i szacunkiem. Trzeba tu wyjaśnić, iż Debiliusz nie był rodowitym Nasturcjanie i przybył z dalekich krain, aby zagarnąć władzę nad ludem słynącym z ufności i beztroski. Na szczęście rządy jego nie były długotrwałe. Nasturcjanie, pozbywszy się nieproszonego władcy, szybko zapomnieli o złych czasach i zgodnie ze swym charakterem nie liczyli się wcale z możliwością jego powrotu na tron.

Senator Stuk-Puk był już tak stary, że zapomniał nawet, jak się naprawdę nazywa. Obecne swe miano zawdzięczał lasce, którą się podpierał. Była to laska z hebanu, zakończona gałką wyobrażającą głowę .lwa. Słyszac charakterystyczne stukanie, mieszkańcy Nasturcji nie

musieli nawet wychylać się przez okno, aby stwierdzić, że oto nadchodzi wielce zasłużony obywatel miasta. Nawet małe dzieci znały na pamięć wierszyk, ułożony przez poetę Teofrasta Sóltonoga:

Stuku-puku, stuku-puk,
stuka laska w miejski bruk,
kiedy kroczy po asfalcie
stary pan w niemodnym palcie.

by w kawiarni „Pod Laleczką”
swe poranne wypić mleczko,
a następnie w gazet stos
swój spiczasty wsadzić nos.

Staruszek był przyjacielem wróbli, kotów i przedszkolaków. Nie lubił natomiast orkiestr dętych i ludzi nadętych sztuczną powagą. Z wielką przyjemnością patrzył na chłopców kopiących piłkę, wpadał jednak w gniew na widok łobuzów, którzy w braku piłki kopali swych młodszych kolegów. Wymachiwał wtedy laską i krzyczał głośno:

- Tak nie wolno, stuk-puk, coś wy sobie myślicie? Któż to widział, stuk-puk, aby się zneść nad słabszymi!

Trzeba bowiem wiedzieć, iż senator tak się przyzwyczaił do stukotu swej laski, że nawet przemówienia w Senacie gęsto okraszał wyrażeniem, naśladującym dźwięk przez nią wydawany. Jednym słowem staruszek i jego laska stanowili nierozłączną parę, podobnie jak Lohginus Podbipięta ze swym Zerwikapturem, lub pan Małuśkiewlcz z wielorybem.

Jeśli ktoś jest tak stary, jak senator Stuk-Puk, to niczemu się nie dziwi. Toteż staruszek, wracając pewnego dnia do domu, nie zdziwił się wcale, zauważywszy, że przed bramą stoi niezwykle pojazd o wyglądzie budy cyrkowej. Ludzie, którzy nim przyjechali, zgromadzili się przy schodach wiodących na taras. Był wśród nich dobry znajomy senatora, pan Hiacenty Ogórkopulos, do którego obowiązków należało przyjmowanie wybitnych gości. Na widok senatora pan Hiacenty zgiął się w ukłonie.

- Drogi kolego - powiedział łagodnym głosem. -

Mam nadzieję, że pomożesz nam w trudnej sytuacji. Oto są nasi goście, którzy przybyli z dalekiego kraju, zwanego Krakostanern. Niestety, nie mamy gdzie ich umieścić. Jak wiesz, w pałacu króla od roku ciągnie się remont generalny, a jedyny w mieście hotel jest zbyt skromny

dla tak czcigodnych przybyszów. Czy wobec tego nie zechciałbyś przyjąć ich na pewien czas do swego domu?

- Ależ oczywiście, stuk-puk, z miłą chęcią - odparł senator.

Ogórkopulos przedstawił więc swych gości senatorowi, po czym zadowolony z siebie i ze świata, udał się na obiad do gospody „Pod Kwitnącą Cykorią”.

- Gdy odpoczniecie, panowie, po trudach podróży - rzekł senator - oprowadzę was. po mieście, stuk-puk. - A teraz wstąpcie do mej skromnej chaty.

Owa „skromna chata” okazała się obszernym dworzyszczem, zbudowanym z modrzewiowych belek i nakrytym dachówkami o kolorze wiśni. Środek budynku zajmował salon z kominkiem, wykonanym z różowego granitu. Z rzeźbionego stropu zwisał brązowy świecznik. Na okrągłym stole pysznił się wazon z kwiatami lotosu. Wzdłuż ścian stały półki wypełnione oprawionymi w skórę książkami. Na ich widok profesor zadrżał z emocji.

- Jaka wspaniała biblioteka! - zawołał z niekłamanym podziwem.

- Prawda, że ładna? - ucieszył się senator. - Ale trudno będzie panu z niej, stuk-puk, skorzystać.

- Dlaczego?

- Bo wszystkie te dzieła są drukowane, stuk-puk, w języku staronasturcjańskim, a to jest język bardzo trudny, szczególnie dla cudzoziemców.

- Czy można zobaczyć choć jedną z nich?

- Oczywiście.

Profesor otworzył pierwszą z brzegu księgę. Istotnie, choć znał trzydzieści dwa języki, nie mógł zrozumieć ani jednego słowa. Z trudem przeczytał kilka zdań, rozpoczynających jakiś rozdział.

„Mrehewra pala imdzi, srobiakoma grotowi ja rowesyto mhrktlsk, azawi drehorabora umawi zeto sprasili.”

- No i co? - zapytał senator. - Czy rozumiał pan coś z tego?

- Nic a nic.

- Zaraz to panu przetłumaczę.

Założył na nos okulary w złotej oprawie i przeczytał:

„Niepokojąca wszystkich tajemnica mypingów, zwanych koro jadami, zostanie chyba rozwiązana dopiero wtedy, gdy uczonem uda się zrozumieć ich język, albo też nauczyć je mowy ludzkiej. Jak dotychczas, wszystkie próby podjęte w tym kierunku przez mypingologów okazały się daremne...”

- Święty Jacku z pierogami! - krzyknął profesor, któremu serce zaczęło bić nagle jak na

alarm. - To przecież o mypingach!

- Warn też dokuczają te okropne stworzenia, stuk-puk? - zapytał senator.

- Jeszcze jak - odparł Smok. - Poznanie ich obyczajów jest przecież celem naszej podróży.

- Dałbym połowę życia - dodał profesor - gdybym mógł przestudiować to dzieło.

Senator spojrział na niego rozbawionym wzrokiem.

- To niepotrzebne, drogi profesorze. W ciągu trzech nocy przetłumaczę panu całą księgę. Tyle się już w życiu wyspałem, że teraz zupełnie dobrze obchodzę się bez snu.

- Nigdy się panu nie potrafię za to odwdzińczyć!

- Największą zapłatą dla mnie będzie świadomość że stary Stuk-Puk przydał się jeszcze komuś na świecie.

Profesor objął go i serdecznie uściskał. Za jego przykładem poszli pozostali członkowie wyprawy. Senator był tak wzruszony, że przez chwilę nie mógł wymówić ani słowa. Wreszcie otarł łzy gromadzące się mu w kącikach oczu i rzekł:

- Równe z was chłopaki. Mówmy sobie „ty”, stuk-puk.

Wtedy Smok, który jak wiemy obdarzony był wspaniałym głosem, zaintonował narodowy hymn Krakostanu:

Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam!

A starowina, uśmiechnąwszy się wyrozumiale, powiedział:

- Dziękuję wam kochani za dobre chęci. Ale ja już mam przeszło dwieście lat. To nieważne zresztą. Grunt, że was poznałem. To jest chyba najszczęśliwszy dzień mojego życia, stuk-puk.

- Dawno już nie spałem tak wygodnie jak tej nocy - rzekł nazajutrz Smok, przeciągając się z lubością na szerokim łożu.

Profesor, który wstał wcześniej i zdążył się już ogolić, przyznał, że i jemu spało się znakomicie.

Reszta podróżników również obudziła się w dobrych humorach. Jedyne Marcin Lebioda narzekał na zbyt miękkie posłanie. Nic dziwnego, zacna Katarzyna przyuczyła go do spania na twardym barłogu, ponieważ nie chciało się jej trzepać materaców i prać bielizny pościelowej...

Przez szeroko otwarte okna wpadał do wnętrza świeży powiew o zapachu gałki muszkatołowej. W gałęziach drzew rosnących w ogrodzie śpiewały jaskrawo upierzone ptaki. Woda w fontannie pluskała orzeźwiająco.

Po śniadaniu senator wyprowadził swych gości na główną ulicę miasta. Szeroka aleja, wysadzona drzewami pomarańczowymi, zapełniła się już kolorowym tłumem przechodniów, korzystających z pięknej pogody. Po jezdni poruszały się wyłącznie bryczki i powozy, zaprzężone w Konie i osiołki.

- Dlaczego u was nie ma samochodów? - zapytał Smok.

- Bo psują powietrze - odparł senator. - Swego czasu mieliśmy nawet trzy samochody, ale po namyśle utopiliśmy je w rzece i postanowiliśmy jeździć wyłącznie wozami. To przecież znacznie zdrowsze i przyjemniejsze.

- Nasz samochód nie psuje powietrza - pochwalił się Smok - ponieważ zamiast benzyny używa słonej wody. To mój wynalazek!

Senator uśmiechnął się:

- Wody mamy pod dostatkiem, ale o sól bardzo trudno. Zresztą nigdy się nam nie śpieszy...

Na widok egzotycznie ubranych gości, kroczących w towarzystwie senatora, wszyscy obywatele miasta składali serdeczne ukłony, wypowiadając sakramentalne słowa: „Ele mele dutki”. Smok i jego towarzysze odpowiadali tak samo, dumni, że znają już język nasturcjański.

Wkrótce nasi przyjaciele znaleźli się na obszernym placu, na którym wznosił się niezwykle pomnik. Była to ogromna, wysoka co najmniej na dziesięć metrów stalowa agrafka, umieszczona na granitowym cokole.

Wokoło czerwieńczyły się klomby róż. Widząc zdumienie swych gości senator wyjaśnił:

- To jeden z najwspanialszych w naszym mieście pomników. - Jest to dzieło znakomitego rzeźbiarza - Spirydiona Flakonidesa.

- Czy to może reklama wytwórni agrafek? - zapytał naiwnie profesor Gąbka.

- Ach nic podobnego. To prawdziwe dzieło sztuki, wzniesione z myślą o potomnych. Piętnaście lat temu nasz ówczesny władca, Debiliusz Rudobrody, zmusił nas do wojny z południowymi sąsiadami, Pampeluńczykami, chcąc zagarnąć ich kraj na własność. Byli to ludzie spokojni, pracowici i nie wadzący nikomu. Debiliusz myślał, że pokonanie ich będzie sprawą bardzo łatwą, ale haniebnie się omylił. Napadnięci bronili się bohatersko, a w bitwie nad Rzeką Srebrnych Łososi zadali nam straszliwą klęskę. Nasza armia została rozbita i zmuszona do ucieczki. Jako jeden z pierwszych uciekał sam Debiliusz. Zaskoczony w namiocie przez Pampeluńczyków, zdążył wciągnąć na siebie spodnie, zapomniawszy jednak o pasku...

Na szczęście dla siebie znalazł w kieszeni agrafkę, przy której pomocy przymocował opadające spodnie do nocnej koszuli, co pozwoliło mu umknąć do najbliższego lasu. Wkrótce potem naród zrzucił go z tronu i wysłał na wygnanie do Krainy Smutnego Kaktusa. A mieszkańcy Nasturcji wzniesli ten oto pomnik, wychodząc z założenia, że lepiej jest uczcić agrafkę, która bądź co bądź uratowała jedno życie ludzkie, niż wodza, który lekkomyślnie zmarnował życie wielu młodych Nasturcjan.

- Jesteście bardzo mądrymi ludźmi - rzekł z uznaniem Smok. - Ten pomnik będzie stanowić ostrzeżenie dla wszystkich przyszłych władców, gdyby przyszła im ochota na podobne awantury.

- A co się dzieje z Debiliuszem? Żyje? - zapytał doktor Koyot, który tymczasem zdążył wykonać kilka zdjęć pomnika.

- Podobno do reszty stracił rozum. Biega od kaktusa do kaktusa i obiecuje złote góry za pomoc w odzyskaniu tronu...

- Mamma mia! - krzyknął Bartolini i klasnął w pulchne rączki. - Dobrze mu tak! A nie boicie się, że będzie chciał odzyskać władzę?

- Po co się mamy martwić na zapas? - rzekł Stuk-Puk. - Najważniejsze, że żyjemy sobie spokojnie i beztrąsko.

Słyszając to Smok pokiwał głową:

- Podziwiam wasze usposobienie, ale moim zdaniem nie należy zapominać o tym, że są na świecie ludzie źli i przewrotni.

- Być może - odparł senator. - Ale my, Nasturcjanie, nie lubimy długo pamiętać o sprawach smutnych i przykrych. Tacy już jesteśmy. A teraz proponuję, żebyśmy weszli w Ulicę Miłych Sklepów, która stanowi wielką osobliwość naszego miasta. Zawsze tu prowadzimy swych gości. Jeżeli będziecie chcieli coś kupić, pamiętajcie, że u nas płaci się wyłącznie dobrym uśmiechem...

Ulica była wąska, kręta i wspinała się na zbocze wzgórza. Z obu stron widniały dziesiątki sklepów i kramów, wypełnionych różnymi towarami. Z szeroko otwartych okien dolatywały dźwięki wesołej muzyki.

- Patrzcie - zawołał Gąbka i wskazał palcem szyld jakiegoś sklepu.

Unieśli oczy ku górze i przeczytali:

„Sprzedaż artykułów nieartykułowanych.”

W tej samej chwili w drzwiach sklepu zjawił się jego właściciel i gościnnym gestem zachęcił ich do wejścia.

- Racście, drodzy panowie, zaszczyć mój sklepik swą obecnością. Dostałem dziś

nowy towar, jest w wielkim wyborze. Kupić nie kupić, potargować warto...

- Święta racja - rzekł Smok i wkroczył na czele swej gromadki do obszernej, beczkowate sklepionej izby, pełnej półek z mahoniowego drzewa. Piętrzyły się na nich stopy kartonowych pudełek, papierowych torebek i blaszanych puszek, takich samych, jak te, w których przechowuje się landrynki. Na ladzie widniała piękna, mosiężna waga. Właściciel sklepu, przybrany w długi szlafrok, haftowany w złote i czerwone lilie, giął się w nieustannych ukłonach.

- A cóż tu u pana można kupić? - zapytał profesor wciąż jeszcze nie pojmujący, jaką zawartość mogą mieć owe pudła, torebki i puszki.

- Co tylko dusza zapragnie - wyjaśnił kupiec. - Zapewniam panów, że podobnego sklepu nie ma w całej Nasturcji, ba, nawet w całym świecie. Właśnie dostałem świeży transport „hm” i „phi”.

- Hm - zastanowił się profesor. - Może by i warto coś kupić?

Kupiec podskoczył jak na sprężynie.

- Pewnie, że warto. Pozwolę sobie zauważyć, że pańskie „hm” nosi na sobie ślady długiego używania i warto by je wymienić na nowe. Przy kupnie jednego kilograma „hm” dodaję w charakterze premii dziesięć

-dekagramów „phi” albo „uff”! W tych pudłach trzymam „br” i „ee”. jako że są one podatne na wilgoć.

- Zastanawiam się nad tym - rzekł Koyot - czy ma pan dużo klientów. Ostatecznie takich słówek nie używa się zbyt często.

Twarz kupca nieco posmutniała.

- Ma pan słuszność - przyznał. - Ale tak kocham swój zawód, że nie potrafiłbym już pracować w innej branży.

Opuściwszy sklep artykułów nieartykułowanych, nasi przyjaciele znaleźli się znów na ulicy. Uwagę ich zwrócił dziwacznie ubrany człowiek, walący pałeczkami w bębenek. Człowieczek ten miał na sobie zielone spodnie, sweter w żółte i niebieskie pasy, na głowie zaś wspaniały, czarny jak sadza cylinder, spod którego opadały mu na kark pięknie utrefione, lecz zjadliwie fioletowe włosy. Ozdobę jego puciołowatej twarzy stanowiły długie i cienkie wąsy, sterzące na boki jak dwie maleńkie szpady.

- Podoba mi się ten dziwak - rzekł Smok. - Posłuchajmy go.

Kupiec oderwał pałeczki od bębna i z rękoma wzniesionymi ku niebu zawołał:

W kramie dziwów dziś sprzedaję: sprzed pierwszej wojny tramwaje, mrożone dowcipy

(spod lady), mydło o zapachu czekolady, nożyczki, które niczego nie przetną, dym unoszący się nad Etną, nocną ciszę na Saharze, staroświeckie kałamarze, grzane lody, szczypce raków, puste domki dla ślimaków, śpiew słowika i syk węża, trzask oklasków, szczęk oręza, mróz na wagę, rosę w kropkach, śnieżną watę, cukier w soplach, sztuczne nosy do kichania, dobre noty z zachowania, wybór wielki i bogaty za gotówkę i na raty!

Ukończywszy wyliczankę, obywatel w cylindrze otarł czoło kraciastą chustką.

- Czy to wszystko, co ma pan na składzie? - zapytał go profesor, ubawiony pomysłową reklamą.

- Skądże znowu. Mam jeszcze mnóstwo niezwykłych towarów, które czcigodni panowie możecie obejrzyć wewnątrz sklepu. Serdecznie zapraszam!

- Przyjdziemy innym razem - rzekł na to senator Stuk-Puk. - Teraz musimy iść na obiad, bo moi goście bardzo już zgłodnieli...

W drodze powrotnej uwagę profesora zwróciła duża ilość studzienek, przy których Nasturcjanie raczyli się kryształowo czystą wodą.

- To Nektar Nieustającej Radości - wyjaśnił senator. - Radzę spróbować, bo takiej wody nie ma na całym świecie. Sprowadzamy ją akweduktem ze źródła, które tryska u stóp tej oto góry.

Przy tych słowach wskazał na skalisty szczyt, widniejący za miastem.

Smok otworzył paszczę i pochylił się nad studzienką. Pozostali członkowie wyprawy poszli za jego przykładem.

Nektar był istotnie znakomity, ale skutek, jaki wywarł, przeszedł najśmielsze wyobrażenia gości. Smok, wodząc dokoła roziskrzonym wzrokiem, wziął się pod boki i zawołał:

- Jak żyję, nie próbowałem tak wspaniałego napoju! Nawet w Wiśle nie ma tak dobrej wody. Czuję się jak nowo narodzony. Jeżeli chcecie, żebym poprzesta-wiał te góry, to powiedzcie tylko słowo...

Senator uśmiechnął się i rzekł:

- Sądzę, że na razie nie ma takiej potrzeby. Bartolini pogłaskał się po brzuchu.

- Mamma mia! Chce mi się skakać i tańczyć, a przed chwilą byłem już trochę zmęczony.

A profesor Gąbka dodał:

- Czuję się jak ptaszek i chętnie bym sobie po-fruwał.

Koyot i Lebioda stwierdzili, że ogarnęło ich uczucie głębokiego zadowolenia z siebie i

ze świata. W związku z tym czcigodny lekarz przebiegł dwieście metrów na rękach, zaś były zbójca zaczął grać w ciuciubabkę z przedszkolakami, które otoczyły go rozbrykaną gromadką. Dobre samopoczucie ogarnęło nawet Aresa i Pinga. Obydwa zwierzaki napojone nektarem zabrały się do gonitwy wokół najbliższej latarni. Przechodzący ulicą Nasturcjanie włączali się do zabawy, tak że po chwili wszyscy dokoła podskakiwali jak marionetki, wesoło śpiewając lub klaszcząc w dłonie.

Zaprowadziwszy swych gości do domu, senator poczęstował ich obiadem, który spożyli na tarasie pełnym pąsowych róż. Następnie wskazał im gościnne pokoje, gdyż zbliżał się czas południowego spoczynku, zwanego sjestą.

- Mam nadzieję, że nie opuścicie nas szybko - powiedział na pożegnanie. - Ogromnie się cieszę, że was poznałem. Czujcie się jak u siebie w domu.

- Czujemy się jeszcze lepiej - zapewnił go Lebioda. - Co do mnie, zaczynam żałować, że nie urodziłem się Nasturcjaniem.

- Bardzo mnie to cieszy - rzekł Stuk-Puk. - Jutro pójdziemy na uroczyste zebranie Senatu, gdzie was przedstawię moim kolegom. A teraz życzę wam przyjemnych marzeń...

Rozdział XIV

WAŻNE WYDARZENIE

Jak Nasturcja Nasturcją nie było jeszcze takiego zebrania. W sali Senatu zjawili się wszyscy jego członkowie, nawet tacy, którzy nigdy na obrady nie przychodzili. Każdy chciał ujrzeć niespodziewanych gości z Krakostanu, o którym krążyły wśród ludu fantastyczne opowieści.

Punktualnie o dwunastej Stuk-Puk uderzył laską w podłogę. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, tylko jeden senator głośno kichnął i ogromnie się z tego powodu zawstydził.

- Drodzy przyjaciele - rzekł Stuk-Puk. - Jestem głęboko wzruszony, że mogę wam przedstawić miłych gości, którzy w drodze do krainy mypingów zechcieli odwiedzić nasze skromne miasteczko.

- Niech żyją! - krzyknął senator Lewkonides.

- Niech żyją! - powtórzyli za nim wszyscy zebrani.

Stuk-Puk ciągnął dalej:

- Na czele delegacji stoi Smok Wawelski. Nie ma chyba w Nasturcji dziecka, które by o nim nie słyszało.

Na te słowa Smok zarumienił się po uszy i wykonał ruch, jak gdyby chciał się schować pod stołem.

- Ale prawdziwą duszą wyprawy - mówił dalej, senator - jest znakomity uczony, profesor Baltazar

Gąbka, specjalista od żab i ślimaków. Profesor Gąbka chce dotrzeć do krainy mypingów, aby zbadać ich obyczaje i tym samym uwolnić swój kraj od corocznych klęsk, wyrządzanych, stuk-puk, przez te tajemnicze stworzenia.

Po tych słowach zerwał się prawdziwy huragan braw, a profesor powstał z miejsca, kłaniając się na wszystkie strony.

- Ale nie koniec na tym - ciągnął Stuk-Puk. - Wraz ze Smokiem i profesorem przybyli ich świetni współpracownicy: światowej sławy doktor medycyny - imię Koyot, najlepszy z najlepszych kucharzy - Bartłomiej Bartolini, oraz dzielny Marcin Lebioda z Miodunki!

Senator przerwał, aby napić się wody, a tymczasem sala znów zatrzęsała się od głośnych braw.

Stuk-Puk obtarł wargi chusteczką i zakończył:

- Zgodnie z panującym u nas zwyczajem prosimy naszych gości, by zechcieli objąć rządy w naszym mieście na okres jednego miesiąca. Nie ulega bowiem wątpliwości, że możemy się od nich wiele nauczyć.

- Mamma mia! - pisnął kucharz. - Mamy być ministrami?

- To niemożliwe - jęknął zdumiony Smok. - Przecież my się nic na tym nie znamy...

Tymczasem senator Floksander zerwał się ze swego miejsca i krzyknął ile sił w piersiach:

- Niech żyje nowy rząd Nasturcji!

- Niech żyje! - ryknęli wszyscy senatorowie.

- Jakże to? - zawołał Smok, wciąż jeszcze nie mogący przyjść do siebie po tak niespodziewanej nowinie. - Znacie nas dopiero od wczoraj, a już chcecie, byśmy wami zarządzili?

- To prawda, że znamy was od wczoraj - rzekł

Stuk-Puk - ale prawdą jest także i to, że jesteście naszymi przyjaciółmi, a jako tacy na pewno nie odmówicie. Przecież chodzi tylko o jeden miesiąc. Przez ten czas nabierzecie sił do dalszej podróży. Gąbka nachylił się do ucha Smoka:

- Nie ma rady, trzeba się zgodzić. Nie możemy im robić przykrości.

- To jasne - odparł Smok szeptem. - Ale co będzie z naszą wyprawą?

- Spokojna głowa! Nie zmarnujemy ani jednego dnia, bo tymczasem senator przetłumaczy nam księgę o mypingach.

- W porządku - zgodził się Smok - ale powiedz im to sam, bo ja nie umiem przemawiać.

Wobec tego Gąbka w imieniu swych przyjaciół przyjął propozycję utworzenia Tymczasowego Rządu Nasturcji. Odpowiedzią był ryk zachwyty, jaki wydarł się z ust wszystkich senatorów.

- Dzisiejszy dzień przejdzie do historii naszego miasta - rzekł wzruszony Stuk-Puk. - Ogłaszam więc uroczystie, że mamy obecnie nowy rząd, wybrany powszechnie i jednogłośnie!

I wychyliwszy się przez okno, dał znak znajdującej się na placu orkiestrze, która odegrała. Hymn Narodowy Nasturcji pt. „Niech nam kwitną wszystkie kwiaty”!

Po krótkiej naradzie z towarzyszami profesor Gąbka ogłosił skład nowego gabinetu. Postanowiono więc, iż Smok Wawelski będzie sprawować funkcje Ministra Spraw Przyjemnych, profesor Gąbka zajmie się resortem Zieleni, Wody i Powietrza, doktor Koyot poprowadzi ministerstwo Dobrego Samopoczucia, Bartolini pokieruje ministerstwem Smacznych Potraw, a Lebioda - ministerstwem Robót Praktycznych.

- Zgoda - zawołali senatorowie. - Po trzykroć zgoda!

- A teraz - oznajmił profesor Gąbka - proponuję, żebyśmy się udali na pierwsze zebranie Rady Ministrów. Czas zabrać się do pracy!

Wiadomość o powołaniu nowego rządu wprowadziła wszystkich Nasturcjan w doskonały humor. Śpiewom i radosnym okrzykom nie było końca. Ludność, zgromadzona na ulicach, puściła się w tany w takt walców granych przez orkiestry. W szkołach ogłoszono dzień wolny od nauki i rozdano dzieciom anyżkowe lizaki. Na domach pojawiły się żółto-czerwone chorągwie, z wyhaftowanym na nich słońcem i dwiema palmami.

Wieczorem zapłonęły nad miastem ognie sztuczne. W syku kolorowych rakiet i w trzasku pękających petard Nasturcjanie święcili radosny dzień. A miejski poeta, pan Teofrast Sóldonóg, szybko napisał wspaniały poemat w XXIV pieśniach, i od razu pognął z nim do drukarni.

Po kolacji Smok rzekł do swych towarzyszy:

- Przypiecie chyba, że jest to najmiłszy dzień w naszym życiu.

- Słusznie - powiedział profesor - ale dla mnie najpiękniejszym dniem będzie ten, w którym odkryję tajemnicę mypingów. I jeżeli zgodziłem się na udział w tym rządzie, to tylko dlatego, aby jak najbardziej zbliżyć się do tego celu.

- Mamma mia - westchnął Bartolini. - Kto by powiedział, że moja Balbinka zostanie panią ministrową...

- Moja Kasia również - dodał Marcin. - Szkoda, że jej tu nie ma. Byłaby chyba szczęśliwa. Ostatecznie minister to nie to samo co zbójca.

- Jutro rano nadam specjalny komunikat rodzinny - rzekł doktor Koyot, zabierając się do czyszczenia zębów. - A teraz, moi kochani, czas spać, bo jutro zaczyna się dla nas dzień nowej pracy. Biermy przykład z Aresa i Pinga. Oba zwierzaki już smacznie chrapia...

Rozdział XV

PAN MŻAWKA W AKCJI

Późnym wieczorem Debiliusz i Największy Deszczowiec wyszli na szczyt zamkowej baszty, aby odetchnąć czystym powietrzem, jako że w izbie zamieszkałej przez bandę było okropnie duszno.

Rudobrody wskazał ręką ku północnemu wschodowi.

- Tam leży Nasturcja - powiedział. - Moglibyśmy ją zobaczyć, gdyby nie góry. Idąc pieszo trzeba zużyć dwa dni. Ale co to?

We wskazanej przez niego stronie pojawił się na horyzoncie różowy, krótkotrwały rozbłysk.

- Pewnie idzie burza - rzekł Deszczowiec. - To bardzo dobrze, bo będzie padać.

Po chwili błysk się powtórzył, ale tym razem w kolorze seledynowym. W następnej chwili niebo przybrało barwę żółtą.

Debiliusz przyłożył dłoń do czoła.

- Nie, to nie burza. To ogień sztuczny. Ci głupi Nasturcjanie kochają się w nich i przy każdej okazji bawią się jak dzieci.

- Może obchodzą jakieś święto?

- Zapewne, ale nie wiem, co by to mogło być. Wątpię, żeby to robili na moją cześć. Tak czy inaczej, już niedługo odejdzie im ochota do wszelkiej zabawy!

- Nie mogę się doczekać tej chwili - warknął Deszczowiec. - Mam dość bezczynności, a ponadto nie odpowiada mi ta ruina, w której nawet nie ma porządnej łazienki.

- Gdy zdobędziemy Nasturcję, będziesz się mógł do woli moczyć we wszystkich miejskich sadzawkach. Ale, ale, przyszło mi coś na myśl. Musisz wiedzieć, że wodę do picia sprowadza się do miasta ze Źródła Nieustającej Radości. Tuż obok znajduje się jednak Źródło Zapomnienia. Jeden łyk wody z niego powoduje zanik pamięci. Gdyby się nam udało połączyć z sobą oba źródła, wtedy Nasturcjanie zapomnieliby o tym, co było, i powitaliby mnie jak najlepszego przyjaciela. Że też wcześniej nie wpadłem na ten genialny pomysł!

- Lepiej późno niż nigdy - zauważył złośliwie Deszczowiec. - Tylko jak to zrobić?

Debiliusz zwrócił ku niemu swą twarz, okoloną wiankiem rudych włosów.

- Opowiadałeś mi przecież, że w waszym kraju każde dziecko zna się na robotach wodnych...

- Bo tak jest - przyznał Deszczowiec. - To będzie praca w sam raz dla Mżawki. Nie ma lepszego specjalisty od mokrej roboty!

Debiliusz ścisnął ramię sprzymierzeńca.

- W takim razie dziś jeszcze wyślesz go do Nasturcji, aby połączył obydwa źródła. Musi to jednak zrobić tak, aby nikt o tym nie wiedział. Gdy tylko wróci, natychmiast uderzymy na miasto. Zwycięstwo mamy w kieszeni!

W godzinę później pan Mżawka otulony w czarną pelerynę opuścił skalne gniazdo i ruszył we wskazanym przez Debiliusza kierunku.

Noc jest porą złoczyńców, toteż Deszczowiec powinien się być czuć znakomicie pod jej osłoną, niestety, natura nie wyposażyła go w odwagę, wskutek czego każdy jego krok połączony był z żalonym stękaniem i popiskiwaniem. W koronach cyprysów szumiał wiatr, dołem zaś, wśród zarośli, słychać było tupot niewidocznych nóg; to niezliczone roje okropików z rodziny Podgryzaczy Jajogłowych wypełzały ze swych kryjówek, aby spojrzeć na człowieka przedzierającego się o tak późnej porze przez puszcę. Człowiek ten podpierał się alpejskim czekanem, zaś w jego torbie dźwięczało żelastwo, ogromnie ulubione przez niektóre gatunki podgryzaczy. Pan Mżawka już sto piętnaście razy postanawiał zawrócić do zamku, który - teraz wydawał mu się bardzo przytulnym pałacem, ale za każdym razem, przypominając sobie słowa władcy: „Jeżeli wrócisz z niczym, zrobię z ciebie szaszłyk”... szedł w dalszym ciągu przed siebie. Nie dbał na kolce drapiące mu twarz ani na groźne pochrząkiwanie gonzw kudłatych i chuchrajków pospolitych. Tak oto strach bardzo często rodzi wspaniałych bohaterów, opiewanych później przez poetów i pisarzy...

O świcie stanął u stóp gór, oddzielających go od Nasturcji. Dolne ich partie porośnięte były krzewami rododendronu, ponad nimi widniały jednak prawie pionowe ściany, utworzone z licznych skał, poprzerastanych żyłami czystego złota. Wysoko nad turniami krążyły orły o piórach ubarwionych pierwszymi promieniami niewidocznego jeszcze słońca.

O tym, że będzie zmuszony do pokonania gór, wiedział Mżawka od Debiliusza, nie przypuszczał jednak, że napotka na tak przerażający mur gładkich skał. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego szef rozbójników wyposażył go w czekan, haki oraz linę... Miał oto zabawić się w alpinistę i wdrapać się na skały przy pomocy własnych rąk... Zadarł głowę do góry i ujrzał wierzchołek tonący w małej chmurce. Na myśl o tym, że będzie musiał tam dojść o własnych siłach, poczuł dreszcz trwogi. Dałby majątek za to, by móc w tej chwili siedzieć za ladą swego sklepiku w Kibi-Kibi i sprzedawać spleśniałe bułeczki oraz stęchłą mąkę... Cóż jednak było robić? Musiał wykonać rozkaz, gdyż za żadne skarby nie chciał być pożarty przez zbójów w charakterze szaszłyku przekładanego cebulką.

Komu w drogę, temu czas - pomyślał i wstąpił na skalny występ. Wyjął z torby pierwszy hak i wbił go do szczeliny przy pomocy młotka. - Ciężka jest droga do kariery - pomyślał znowu z westchnieniem. - Ciężka i niebezpieczna!

Przez kilka godzin piął się cal po calu, pomagając sobie mocnymi jak haki pazurami, a od czasu do czasu nawet zębami. Nie spoglądał ku dołowi, gdyż widok był wprost przerażający. Drzewa puszczy wyglądały stąd jak zapalki. Każdy fałszywy krok na skalnej ścianie mógł być dla niego krokiem ostatnim. Słońce stało już wysoko, gdy pan Mżawka z głębokim westchnieniem ulgi usiadł okrakiem na przełęczy między dwiema turniami i spojrzał na drugą stronę pasma. Głęboko w dole błyszczało zwierciadło stawu, wypełnionego zieloną, przezroczystą wodą. Na dnie dalekiej kotliny widniało miasto, leżące nad szeroką, wijącą się rzeką.

To mi wygląda na Nasturcję - pomyślał Mżawka. - A ten staw to ani chybi Źródło Nieustającej Radości. Tylko gdzie jest to przeklęte Źródło Zapomnienia?

Po dłuższym wypatrywaniu Mżawka ujrzał je; było niewielkie, a woda jego wyglądała na lekko różową.

Odpocząwszy, jął się opuszczać ku dolinie, korzystając z wąziutkiej ścieżki, wydeptanej zapewne przez kozice. Gdy znalazł się nad brzegiem stawu, stwierdził z zadowoleniem, że jest u celu. Oto tuż nad wodą wznosiła się tablica z napisem:

Źródło Nieustającej Radości.

Zbiornik wody dla stołecznego miasta Nasturcja.

Kąpiel surowo wzbroniona!

Woda ze źródła wpływała w sztucznie wykonane, kamienne łożysko, wsparte na potężnych filarach. Mżawka wiedział, że jest to wodociąg zaopatrujący miasto w wodę do picia. Takie samo urządzenie widział w Grodzie Kraka; sprowadzało ono wodę z Gór Skalistego Południa i zwane było akweduktem.

Mimo surowego zakazu kąpeli, Mżawka odrzucił pelerynę i z rozkoszą zanurzył się w chłodnej wodzie stawu, aby spłukać z siebie zmęczenie wielogodzinnej wspinaczki. Nurkował aż do dna, pływał, prychał, fikał koziołki, czując z każdą chwilą powrót dawnych sił, i co ciekawsze, coraz lepszy humor. Wszystko wydawało mu się teraz dziecinnie łatwe, miał ochotę podskakiwać, śmiać się i broić jak małe dziecko.

Różowa woda ze Źródła Zapomnienia spływała po skałach i tworzyła głośno szumiące wodospady. W odległości kilkunastu metrów od źródła rosła grupa wysokich, rosochatych

dębów.

Wszystko jest tak, jak powiedział Debiliusz - pomyślał Mżawka z głęboką wdzięcznością dla rozbójnika. Trzeba tylko tę wodę skierować do akweduktu i sprawa będzie załatwiona.

Po krótkim odpoczynku jął odwalać głazy dzielące różowy strumień od łożyska wodociągu. Przy robocie tej pomocny okazał się czekan, tak bardzo zawadzający mu podczas wspinaczki. Mżawka zapomniał już o poprzednim zmęczeniu, a radość z przybycia do celu dodawała mu sił. Najważniejsze zadanie polegało teraz na wykonaniu wyrwy w kamiennym łożysku, prowadzącym wodę w dolinę. Przy pomocy czekana odwalił jeden z głazów, spojony z innymi wapienną zaprawą. Następnie usypał z kamieni zaporę i skierował różową wodę w łożysko akweduktu. Zakończywszy swą robotę zatarł ręce z zadowoleniem, i z dumą obejrzał swe dzieło. Wody obydwu stawków połączyły się z sobą i pobiegły w dół ku leżącemu w kotlinie miastu.

Nikt inny nie potrafiłby tego wykonać tak jak ja - pomyślał chętnie były właściciel sklepu z wilgotnymi bułeczkami. - Szkoda, że Debiliusz nie widział mnie przy robocie. Dopiero by wytrzeszczał te swoje zbójckie gały...

Uszczęśliwiony z ukończenia trudnej pracy widział się już na zamku, w towarzystwie zbójów, słuchających z zachwytem jego sprawozdania. Na myśl o tym, że Nasturcjanie piją już wodę zapomnienia, nie mógł powstrzymać się od wydania okrzyku triumfu. Pełen dzikiej radości podskakiwał niezgrabnie na swych błoniastych nogach, bił się pięściami w pierś i wyl niczym stado wilków.

Po chwili usiadł na głazie i nagle przyszło mu na myśl, że dobrze by było pójść teraz do miasta i sprawdzić skutki swej roboty.

Niebo nad górami jaśniało jeszcze wieczorną zorzą, ale na równinie poczęły się zapalać światła w domach miasta. Mżawka zerwał się z miejsca i począł zbiegać dość wygodną ścieżką. Podniecenie dodało mu sił. Ścieżka zamieniła się wkrótce w dobrze utrzymaną drogę, która wiodła ku niedalekiemu już miastu.

Była już noc, gdy Mżawka dotarł do pierwszych domów stolicy. Na ulicach panował słaby ruch, ale na rynku kręcili się jeszcze ludzie, zażywający przechadzki w rzeźwym powietrzu. Na środku placu tryskała wspaniała fontanna. Otuliwszy się szczelnie swą peleryną, Mżawka podszedł do wypełnionego wodą basenu. Tuż obok stał jakiś barczysty człowiek i z głośnym bulgotaniem pił wodę, którą czerpał przy pomocy kubka. Bez namysłu pan Mżawka klepnął go dłonią w plecy i zapytał:

- No cóż, smakuje? Pijący odwrócił się i odparł:

- Jeszcze jak...

W tym momencie Mżawka poczuł, że mu nogi zmiękły, a krew odbiegła z serca! To był Smok Wawelski, najprawdziwszy Smok, pogromca Deszczowców

i największy przyjaciel księcia Kraka! Niezapomniana paszcza z rzędami śnieżnobiałych zębów, ogromne oczy w oprawie z tęczyowych łusek i zmierzwiona czupryna między uszami przypominającymi liście łopianu... Mżawka najchętniej zapadłby się pod ziemię, ale na placu wyłożonym gładkimi płytami bazaltu nie było najmniejszej szparki.

Wszystko stracone - przemknęło mu przez myśl. - Całkowita klęska!

Tymczasem Smok obtarł usta rękawem bluzy i odezwał się swym niskim, dźwięcznym głosem:

- Kim jesteś, zacny człowieku?

- Jak to, nie znasz mnie? - wyjąkał z trudem pan Mżawka, gotowy już na śmierć w strasznych męczarniach. - Żartujesz chyba?

- Widzę cię pierwszy raz -w życiu - odparł Smok. - Może jesteś jednym z kupców, którzy przybyli dziś do miasta z daktylami? Jeżeli tak, to sprzedaj mi garść tych wspaniałych owoców.

- Nie jestem kupcem - rzekł Mżawka, przychodząc powoli do równowagi. - Ale rzeczywiście przybyłem niedawno do tego pięknego grodu. Czy naprawdę nie widziałeś mnie nigdy w życiu?

- Nigdy - zapewnił go Smok. - Jak babcię kocham.

I wtedy pan Mżawka zrozumiał, że jego praca wydała pożądane rezultaty. Oto Smok po wypiciu kilku łyków wody zupełnie stracił pamięć! Zdobył się więc na odwagę i odchyliwszy z twarzy połę peleryny, zawołał pełnym głosem:

- Nazywam się Mżawka i jestem Deszczowcem!

- Bardzo mi przyjemnie - rzekł Smok z ukłonem. - Sądzę, że będziemy przyjaciółmi.

- Ja też tak sądzę - odparł Mżawka. - Niestety muszę cię pożegnać, bo mam bardzo ważne sprawy do załatwienia. Czeka mnie daleka droga.

- Życzę powodzenia - rzekł Smok i uściśnął rękę Mżawki. - Ja idę spać, bo już późno. Sądzę, że się jeszcze zobaczymy.

- Jestem o tym przekonany - zapewnił go Deszczowiec. - Na pewno się jeszcze zobaczymy...

I z tymi słowy obrócił się na pięcie, odchodząc w stronę, z której przyszedł. Znalazłszy się na pustej ulicy począł biec, aby jak najszybciej opuścić miasto.

W kilka chwil później znalazł się na znanej już sobie drodze. Postanowił, że nie

spocznie, dopóki nie dojdzie do Źródła Nieustającej Radości. O zabłądzeniu nie było mowy, gdyż filary akweduktu stanowiły najlepszy drogowskaz. Uszczęśliwiony z tak niespodziewanego obrotu sprawy, czuł już na swej piersi Order Największego Łotra, przyznawany przez jego władcę jedynie w niezwykle rzadkich wypadkach. Żwawo parł ku góróm, rysującym się coraz wyraźniej na tle usianego gwiazdami nieba. Było mu lekko i wesoło.

Rozdział XVI

DOBRY CZYN PROFESORA GĄBKII

Na drugi dzień po wizycie Mżawki doszło w Nasturcji do bardzo dziwnych wydarzeń. Woźny Senatu, pan Kiszsonka, zapomniał o nakręceniu miejskiego zegara, wskutek czego większość mieszkańców spała o dwie godziny za długo. Dzieci zapomniały pójść do szkoły, a kupcy otworzyć sklepy. Naczelny redaktor dziennika „Nasturcja Kwitnąca” w ogóle zapomniał kim jest, i zamiast pójść do redakcji, udał się z wędką na ryby. Kierowca jedyne w mieście konnego tramwaju, zapomniawszy o przystankach, jeździł po ulicach przez osiem godzin bez przerwy, dziwiąc się tylko, dlaczego w wozie nie ma żadnych pasażerów... Nikt się jednak nie przejmował takimi drobiazgami, gdyż, jak wiemy, Nasturcjanie odznaczali się daleko posuniętą bez troską i wszystko przyjmowali z dobrym humorem.

Profesor Gąbka zaraz- po śniadaniu udał się do biblioteki, aby zajrzeć do książki o mypingach. Stanąwszy jednak przed półką z książkami, zapomniał, w jakim celu tu przyszedł. Wobec tego zabrał z sobą Aresa i Pinga i wyruszył z nimi na przechadzkę. Idąc znajomymi ulicami, rozmyślał, po co w ogóle przybył do miasta nad Wielką Rzeką. W końcu doszedł do wniosku, że jest po prostu na urlopie i wobec tego może sobie pozwolić na bez troskie spacerowanie. Na rynku spotkał Smoka w towarzystwie Bartłomieja i Lebiody.

Trójka przyjaciół zabawiała się kopaniem piłki, pożyczonej od Tomka, syna dowódcy Straży Ogniowej. Na ich widok profesor odczuł lekki niepokój. Zdawało się mu przez chwilę, że wszyscy razem mieli do wykonania jakąś bardzo ważną pracę, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, na czym by ta praca miała polegać. Włączył się więc do zabawy, choć od pół wieku z górą nie zajmował się kopaniem piłki. Po pewnym czasie zjawił się na rynku doktor Koyot, który zapomniał nawiązać radiowy kontakt z Grodem Kraka, co należało do jego codziennych obowiązków. Zmęczony się wreszcie bieganiem za piłką, nasi przyjaciele usiedli na ławce i pełni radosnej bez troski spoglądali na rzekę, która na szczęście nie zapomniała, w jaką stronę ma płynąć.

- Moi kochani - rzekł profesor. - Jestem zdania, że Nasturcja to znakomite miejsce na urlop. Bardzo się cieszę, że przybyłem tu razem z wami, aby spędzić czas na tak miłych zajęciach jak kopanie piłki.

- Nie rozumiem cię - odparł Smok, wypuściwszy z ust kłęb fajkowego dymu. - Mówisz, że przybyliśmy tu na urlop, a mnie się zdaje, że jesteśmy tu od urodzenia. Nie przypominam

sobie, żebym kiedykolwiek mieszkał gdzie indziej.

- Mnie się też tak zdaje - poparł go Marcin. - Ale w takim razie może powiecie mi, kim jest ta pani, której fotografię noszę w portfelu.

Po tych słowach pokazał swym kolegom zdjęcie, które przedstawiało młodą kobietę w krakowskim stroju, stojącą na progu drewnianej chaty. Obejrawszy dokładnie fotografię, doszli do przekonania, że nigdy owej kobiety nie widzieli.

- Czy nie uważacie - rzekł doktor Koyot - że należałoby coś przekąsić?

- Mamma mia - pisnął na to Bartolini. - Zupełnie zapomniałem o obiedzie. A postanowiłem dziś zrobić budyń z malinami!

- Nic strasznego - pocieszył go Smok. - Po prostu pójdziemy dziś na obiad do senatora.

- W porządku - rzekł profesor - ale przedtem zrobię sobie z moimi zwierzakami mały spacerek za miasto. Spotkamy się więc za jakieś dwie godziny, dobrze?

- Zgoda. A my przez ten czas będziemy się opalać - zdecydował Lebioda. - W gruncie rzeczy nie mamy nic innego do roboty. Jak urlop, to urlop!

Gdy minął ostatnie domy Nasturcji, profesor Gąbka wpadł na pomysł, by powędrować do Źródła Nieustającej Radości, o którego urodzie słyszał wiele od senatora. Bądź co bądź była to osobliwość dużej miary, godna obejrzenia przez uczonego interesującego się naukami przyrodniczymi. Oцениwszy w przybliżeniu odległość, doszedł do przekonania, że na dojście do źródła wystarczy jedna godzina. Był dobrym piechurem. Przyśpieszył więc kroku, mimo iż droga wiodła pod górę. Odkąd przybył do Nasturcji, miał wrażenie, że odmłodził co najmniej o dwadzieścia lat. Wysokie początkowo filary akweduktu stawały się coraz niższe, a szum płynącej w jego łożysku wody był coraz wyraźniejszy. W koronach drzew śpiewały bajecznie kolorowe ptaki, podobne do papug, a nad łąkami Unosiły się setki żółtych, czerwonych lub błękitnych motyli.

Ares i Ping z zapalem obiegali dokoła każdy filar akweduktu, tarzali się w bujnej trawie i płoszyli niedośpiałki, podobne do królików zaopatrzonych w krótkie, błoniaste skrzydła.

Droga już dawno zamieniła się w ścieżkę. Każdy krok przybliżał profesora do celu. Wśród głązów wygrzewały się zielone jaszczurki o rubinowoczerwonych oczkach. Na widok psa i mypinga znikwały błyskawicznie w ciasnych szczelinach. Powietrze pachniało cynamonem i wanilią.

Minąwszy skałę o wyglądzie wielkiego słonia, profesor znalazł się w kotlinie, której większą część wypełniał szmaragdowy staw.

Otóż Źródło Nieustającej Radości - pomyślał, stwierdziwszy z satysfakcją, że wcale nie jest zmęczony. - Sam jego widok sprawia rozkosz oczom.

Obydwa zwierzęta zanurzyły swe pyski w przezroczystej wodzie.

- Pijcie, pijcie - rzekł profesor. - Zrobiliście przynajmniej trzy razy tyle drogi, co ja...'

Usiadł na płaskim, nagrzanym przez słońce kamieniu tuż u początku akweduktu. Po chwili uwagę jego zwrócił różowy strumyk, wpadający do koryta przez sztucznie wykonaną wyrwę. Strumyk ten biegł od małego stawku, położonego nieco wyżej, w odległości kilkunastu kroków.

- To muszą być dwa różne źródła - pomyślał Gąbka. - Jedno jest zielone, a drugie różowe, jakby wymieszane z sokiem malinowym... Zapewne woda każdego z nich ma inne właściwości.

Wstał i podszedł do małego stawku, otoczonego głazami o kolorze cytryny. Na jego dnie widniał drobnutki piasek, poruszany bijącymi spod niego bąbelkami powietrza.

Rozglądając się po najbliższej okolicy, profesor zauważył grupę kilku potężnych dębów. Były to jedyne drzewa w owej kotlinie, otoczonej wysokimi na kilkadziesiąt piętér skałami. W tym pustkowiu robiły nadzwyczaj miłe wrażenie, i nic dziwnego, że na ich widok profesor uśmiechnął się życzliwie. Baczne oko uczonego dostrzegło na ich gałęziach sporo złotych liści.

Biedactwa - pomyślał ze współczuciem. - Tyle wody dokoła, a one zaczynają usychać. Warto by im dostarczyć czegoś do picia...

Profesor od dziecka był miłośnikiem wszystkiego, co żyje. Darzył sympatią nie tylko ludzi, ale także zwierzęta i rośliny. Choć miał już blisko siedemdziesiąt lat, cieszył się nieustannie urodą świata, na którym mu przyszło żyć. Toteż od razu postanowił zabawić się w dobrego duszka.

W dużym spawie jest dość wody dla całego miasta - pomyślał z właściwą sobie bystrością. - Jeżeli zatkana wyrwę w akwedukcie, to wtedy skieruję różowy strumień prosto na dęby. Tak, tak będzie najlepiej...

Zdjął z pleców marynarkę i zakasał rękawy koszuli. Zwierzaki spojrzały na niego z niemym pytaniem w oczach. Zapewne spodziewały się, że ich pan urządzi sobie kąpiel w stawie.

- No cóż, kochane bydlątka - rzekł do nich. - Trzeba dać się napić drzewkom. - Sądę, że nie macie nic przeciwko temu. One tak samo potrzebują wody jak ja i wy.

Wykonanie planu nie zajęło Gąbce zbyt wiele czasu. Tuż przy wyrwie w łożysku akweduktu leżał głaz idealnie do niej pasujący. Wyglądało na to, że ktoś - i to całkiem niedawno - zabawił się wyrwaniem go z otoczenia.

- To pewnie sprawka jakichś chuliganów - pomyślał profesor. - Nie mieli nic innego do

roboty, więc połączyli obydwie źródła, nie myśląc o tym, że w ten sposób skazują na śmierć piękne drzewa.

Nachylił się i z wysiłkiem uniósł głaz ku górze.

Ciężki - pomyślał - ale dam mu radę. Nie jestem jeszcze niedołągą.

Ułożywszy kamień na dawnym miejscu, z uznaniem obejrzał swe dzieło. Obecnie ani jedna kropla różowej wody nie przeciekała do akweduktu.

Ares i Ping z zainteresowaniem spoglądali na swego pana, kiedy zgodnie ze swym zwyczajem mówił do nich jak do ludzi:

- A teraz przyda się nam stara, kochana laseczka... Zrobimy nią rowek, żeby skierować wodę ku drzewom. Gdy wam się chce pić, biegniecie do rzeki i sprawa załatwiona, nie? A te biedaki nie mają przecież nóg... Gdybym nie wpadł na pomysł tej przechadzki, byłoby z nimi krucho.

Nie przestając gwarzyć, starannie pogłębiał wykonany dołek i krok za krokiem zbliżał się do drzew. Gdy zakończył pracę, umył ręce i wytarł je chusteczką. Był dumny z siebie. Oto własnym wysiłkiem zapewnił dębom długie, długie lata życia!

- Pijcie, biedaki, pijcie - powiedział do nich tak, jak przedtem do swych zwierząt. - Rośnijcie na chwałę tego pięknego świata, na pożytek sobie i ludziom...

Raz jeszcze ogarnął wzrokiem powierzchnię wielkiego stawu i przywoławszy do siebie zwierzęta ruszył w dolinę. Spojrzał na zegarek. Była trzecia.

- Przed czwartą będziemy w domu. - Mam nadzieję, że zastanę jeszcze obiad na stole...

- Świetnie, że jesteś - zawołał Smok na widok Gąbki i jego zwierzątek. - Nie mogliśmy się na ciebie doczekać! Stało się coś niezwykłego! Ale zanim ci to powiem, usiądź, żebyś nie zemdlął z wrażenia.

Profesor zaniepokoił się poważnie.

- Coś złego?

- Tak.

- Przerażasz mnie!

- Ja też jestem przerażony. Siedzisz wygodnie?

- Siedzę.

- To słuchaj. Czy zgadniesz, kogo wczoraj spotkałem na środku rynku?

- Skądże mam to wiedzieć, skoro nic nie mówiłeś.

- Bo zupełnie zapomniałem. Od samego rana czułem, że stało się coś strasznego, tylko nie wiedziałem, co by to mogło być. Ale teraz już wiem.

- Wróciła ci pamięć?

- Dopiero przed godziną. A więc słuchaj: wczoraj wieczór zjawił się w Nasturcji... sam Mżawka!

Profesor zerwał się z krzesła i pobladł.

- Mżawka?

- We własnej paskudnej osobie!

- Jakim cudem?

- Tego ja nie wiem. Po kolacji poszedłem na rynek, bo jak wiesz, mam zwyczaj spacerować przed snem. Piłem właśnie wodę z fontanny, gdy wtem ktoś klepnął mnie po plecach. Obróciłem się i zobaczyłem Mżawkę.

- Może to był ktoś podobny do niego?

- Nie, on sam. Stał obok mnie jak ty teraz stoisz. Nie mam pojęcia, co się ze mną stało, ale go nie poznałem. Zapytał mnie, czy mi smakuje woda. Powiedziałem, że jest doskonała. Aha, i jeszcze dodałem: „Czy jest pan może sprzedawcą daktyli?”

- A on?

- Zawołał wtedy pełnym głosem: „Jestem Mżawka, Deszczowiec!”

- A ty?

Smok podbiegł do ściany i kilkakrotnie uderzył w nią łbem.

- Nic! Przyjąłem to jak rzecz zupełnie normalną. Pożegnaliśmy się serdecznie, on poszedł w swoją drogę, a ja w swoją.

Raz jeszcze uderzył łbem w ścianę, aż odleciało nieco tynku.

- Jak ja mogłem zrobić coś podobnego! Ale teraz sprawa jest dla mnie jasna: straciłem wtedy pamięć!

- Nie tylko ty - wtrącił Lebioda. - Wszyscy straciliśmy pamięć, wraz z mieszkańcami Nasturcji.

- Ale to już na szczęście minęło - rzekł doktor. - Pierwszy raz w życiu spotkałem się z tak niezwykłą sprawą. To bardzo ciekawy przypadek medyczny.

Profesor pokiwał głową.

- Ja też, jak wiecie, zapomniałem, skąd się wzięłem w Nasturcji. Ale i mnie pamięć wróciła. Wobec tego nie ma tragedii.

- Ale może być. Jeżeli jest Mżawka, to pewnie jest także Największy Deszczowiec. Przecież razem uciekli z Wawelu.

- Ale gdzie ich szukać?

- To właśnie będzie tematem pierwszego zebrania Rady Ministrów. Za pół godziny zaczynamy nadzwyczajne posiedzenie. Musisz tylko zjeść obiad.

- Zupełnie straciłem apetyt - rzekł Gąbka. - Są teraz sprawy ważniejsze od obiadu. Możemy zaczynać od razu. Teraz wszystko jest jasne. Muszę wam jednak coś powiedzieć. Zrobiłem sobie przechadzkę do Źródła Nieustającej Radości. I tam stwierdziłem, że ktoś wpuścił do akweduktu wodę ze stawku o różowej wodzie.

Na te słowa senator Stuk-Puk zerwał się ze swojego miejsca:

- To okropne! Różowa woda pochodzi ze Źródła Zapomnienia. Zrobił to ktoś, kto dobrze o tym wiedział.

W ciszy, jaka zapanowała po tych słowach, rozległ się głos kucharza:

- Mżawka!

- Tak, Mżawka - powtórzył Smok. - Tylko dlaczego nagle odzyskaliśmy straconą pamięć?

Wtedy Gąbka uśmiechnął się łagodnie.

- Nic w tym dziwnego, moi drodzy. Od godziny pijemy już dobrą wodę. Po prostu skierowałem truciznę z powrotem do dawnego łożyska.

- Wiedziałeś więc o niej? - krzyknął Lebioda.

- Nie. Ale zrobiło mi się żal kilku drzew, które tam rosną i już zaczynają usychać. Naprawiłem wyrwę w akwedukcie i skierowałem różowy strumień ku dębom. Mam nadzieję, że im to nie zaszkodzi. Dęby mają mocną pamięć...

Senator podbiegł do Gąbki i porwał go w ramiona.

- Jesteś genialny, stuk-puk! Uratowałeś nas wszystkich od nieszczęścia!

- Nie jestem genialny - zaprzeczył profesor. - Gdyby tak było, od razu domyśliłbym się w czym rzecz. Zrobiłem to zupełnie przypadkowo, gdyż chciałem uratować kilka pięknych drzew.

- A uratowałeś nas wszystkich - ryknął Smok z zachwytem. - Ale to dopiero początek. W dalszym ciągu grozi nam wszystkim wielkie niebezpieczeństwo, tylko nie wiem jakie. Idziemy więc do Senatu na zebranie. Każda chwila jest droga. Hannibal ante portas!

- Obawiam się, że nie Hannibal, tylko Debiliusz - rzekł smutnym głosem Stuk-Puk. - Tylko on mógł zdradzić Mżawce tajemnicę źródła. Sprawa jest bardzo poważna.

W odpowiedzi rozległ się groźny szczeł stali. Mistrz Bartolini wyrwał z pochwy swój rożen i ze świstem rozciął nim powietrze.

- Hannibal czy Debiliusz, wszystko jedno - krzyknął bohaterskim tenorkiem. - Jednego i drugiego zakłuję mą szpadą, inaczej nie jestem godny herbu Zielona Pietruszka, mamma mia!

I ruszając ku drzwiom, dodał:

- Za mną panowie! Na posiedzenie!

Rozdział XVII

NASTURCJA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Jeszcze przed zapadnięciem ciemności na murach miasta pojawiły się afisze z tekstem odezwy, uchwalonej na zebraniu Rady Ministrów.

KOCHANI NASTURCJANIE! (a może Nasturcy? - przypisek zecera)

Wczoraj wieczorem doszło do wydarzenia, które może mieć doniosły wpływ na losy naszego miasta! Oto niejaki Mżawka, łotr nad łotry, działając zapewne w porozumieniu z waszym byłym królem, Debiliuszem Rudobrodym, zatrął Źródło Nieustającej Radości wodą zapomnienia. To dlatego większość obywateli straciła dziś pamięć. Na szczęście ten niecny czyn został w porę zauważony i obecnie możecie już pić wodę bez żadnej obawy. Przy źródle stoi straż, która nie dopuści do ponownego zatrucia Nektaru.

Tymczasowy Rząd Nasturcji doszedł jednak do przekonania, iż miastu grozi napad ze strony Debiliusza. Nie wiadomo tylko, kiedy to może nastąpić. Należy więc bezzwłocznie przystąpić do odbudowy murów obronnych! Wzywamy wszystkich obywateli, aby jutro o świcie stawili się do pracy, nie wyłączając dzieci ani starców! Przynieście z sobą łopaty, kilofy, młoty i kielnie!

Pełnomocnik Rządu do spraw odbudowy fortyfikacji

(-) Marcin Lebioda z Miodunki

Jednocześnie na ulice i place stolicy wybiegli chłopcy z nadzwyczajnym wydaniem dziennika „Nasturcja Kwitnąca”. Mieszkańcy miasta wrywali sobie z rąk płachty pachnącego jeszcze farbą drukarską papieru. Prócz tekstu odezwy można tam było przeczytać wiersz Teofrasta Sółdonoga, który dla wiecznej pamięci podamy bez zmian i skrótów:

WEZWANIE

Jeśli nie chcesz Debiliusza, to się bracie, żwawo rusza], stań do pracy jutro rano razem z dziećmi, tatą, mamą, z ciotką, wujkiem i kuzynem, by wykazać własnym czynem, żeś Nasturcji

dobrym synem!

Teofrast Sólodonóg, poeta rządowy

W dzienniku znajdowało się też zawiadomienie, iż w dniu jutrzejszym zostaną zamknięte szkoły, sklepy i urzędy. Chodziło, rzecz jasna, o to, aby jak największa ilość mieszkańców miasta stawiała się do pracy.

Punktualnie o dziesiątej członkowie Rządu umyli nogi i zgasiwszy światło poszli spać. W ich ślady poszli natychmiast wszyscy Nasturcjanie. Jedynym człowiekiem, który nie udał się na spoczynek, był nocny stróż, pan Halabarda, odbywający swą służbę na pustych ulicach grodu.

Wróciwszy do leśnego zamku, pan Mżawka natychmiast zdał relację ze swego wyczynu. Oczywiście nie zapomniał pochwalić się wycieczką do samego miasta i spotkaniem Smoka. Wiadomość o pobycie potwora w Nasturcji początkowo tak przeraziła obu tyranów, że na chwilę zaniemówili. Dopiero solenne zapewnienia Mżawki, że Smok zupełnie stracił pamięć, uspokoiła ich, lecz niecałkowicie. Z pamięcią czy bez pamięci, był jednak bardzo groźnym przeciwnikiem. Aby zupełnie uspokoić swych mocodawców, Mżawka dodał, że Smok jest wielkim amatorem daktyli.

- I cóż z tego - zapytał Największy Deszczowiec.

- To, że możemy poczęstować go porcją daktyli...

- Mamy karmić przysmakami naszego wroga? - zaperzył się Debiliusz.

- Daktyle możemy... zatruć - zaproponował Mżawka. - I w ten sposób unieszkodliwimy go raz na zawsze!

- Znakomity pomysł! - ryknął Deszczowiec. - Zatrute daktyle!

Mżawka uśmiechnął się przymilnie:

- Racz pamiętać, panie, że to mój pomysł.

- Dobrze, dobrze, dostaniesz order.

Po naradzie obaj tyrani postanowili, że spiskowcy przebiorą się za spokojnych sprzedawców daktyli i jako tacy wjadą do miasta, nie budząc żadnych podejrzeń.

- Wyruszymy za dwa dni - zdecydował Debiliusz. - Przez ten czas wszyscy mieszkańcy miasta do reszty zgłupieją. Objęcie tronu stanie się w ten sposób dziecinną igraszką.

I z radością zatarł swe brudne, nie myte od lat ręce.

- A teraz czas na zabawę - zawołał Największy Deszczowiec. - Upieczemy niedźwiedzia i napijemy się dobrego wina!

- Skąd weźmiesz wino?

- Znalazłem dwie beczki zatopione w studni.

A cóż ty robiłeś w studni? - zdziwił się Debiliusz.

- Moczyłem się. Nie jestem takim brudasem jak ty.

- To obelga - warknął zbójca. Mżawka ujął ich obu pod rękę.

- Panowie, nie kłóćcie się - rzekł słodko. - Sprzymierzeńcy powinni się kochać. No, pocałujcie się, jak przystało na przyjaciół.

Aż do białego rana trwała w zamku huczna zabawa. Dzikim wrzaskom podpitej hordy nie było końca. Zgiełk panował tak wielki, że wszystkie zwierzęta w popłochu opuściły swe kryjówki, uciekając gdzie pieprz rośnie, czyli nad samą granicę Krainy Mypingów...

Nazajutrz o świcie tłumy- Nasturcjan wyruszyły do roboty. Na ulicach pojawili się obywatele pchający przed sobą taczki i wózki dziecięce, potrzebne do przewożenia kamieni. O materiał do budowy nie było trudno. Wielka Rzeka płynęła bowiem w szerokim kamiennym łożysku. W mig podzielono się na grupy, jedni ładowali głazy na taczki, inni dowozili je tam, gdzie były potrzebne. Fundamenty dawnych umocnień zachowały się na szczęście w dobrym stanie, tak że nie trzeba było wyznaczać nowej linii murów.

Marcin Lebioda dwoił się i troił. Znając się na murarce, pouczał Nasturcjan, w jaki sposób mają układać kamienie i wiązać je zaprawą. Smok zakasał rękawy i zanurzony w rzece po pas wyrywał z dna potężne głazy, którym nawet kilku ludzi nie mogłoby dać rady. Strasznie mu się ta praca podobała, toteż pogwizdywał przy niej wesoło i podśpiewywał. Doktor Koyot mieszał zaprawę w towarzystwie czterdziestu uczniów Wyższej Szkoły Muzycznej, a Bartolini rozwoził ją wzdłuż murów, wołając na wzór mleczarza: „Świeże wapno, świeże wapno, brać, nie czekać”! Widoczny z daleka dzięki nieskazitelnie białej czapie, przyjmowany był wesołymi okrzykami. Profesor Gąbka również chciał się przyczynić do dzieła, ale nie mając sił do dźwigania ciężarów, roznosił kwaśne mleko, oranżadę i kanapki. Jedynie Ares i Ping leniuchowali beztrosko, czego im nikt nie miał za złe.

Gdy zegar wydzwonił dwunastą, Lebioda dał znak do przerwania roboty. Zmęczeni ludzie poukładali się w cienistych miejscach, aby nabrać nowych sił do pracy.

Smok wyszedł z wody, otrzepał się jak pies i legł na ciepłym piasku.

- Zmachałem się trochę - rzekł do Koyota. - Nie mam treningu.

- A ja już dostałem bąbli na dłoniach - poskarżył się lekarz i syknął z bólu. - Ale to nic, do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Smok pokiwał głową.

- Tak. Do wszystkiego. Z wyjątkiem niewoli... A teraz pozwól, że się trochę prześpię.

Tobie też to radzę.

I nie czekając na odpowiedź przyjaciela, legł na wznak i przeraźliwie zachrapał, ponieważ miał zdolność do natychmiastowego wprowadzania w czyn wszystkich swoich postanowień.

Do wieczora odbudowano już jedną trzecią murów. Fortyfikacje były doprawdy imponujące! Patrząc na nie, można było być pewnym, że nikt nie zdoła ich przełamać.

- Chciałbym zobaczyć minę Debiliusza, gdy stanie pod murami - powiedział pan Ogórkopulos. - Zaręczam, że nie będzie to mina zbyt mądra...

A senator Stuk-Puk, do którego skierował te słowa, uśmiechnął się pogodnie i dodał:

- Trudno wymagać od głupca, żeby miał mądrą minę. Wierz mi, drogi Hieronimie, stuk-puk, że wolałbym w tej chwili zapaść się pod ziemię, niż znów zostać jego poddanym.

Noc nie przerwała robót. Zmienili się tylko pracownicy. Zapalono niezliczone ogniska i przy ich świetle prowadzono dalej dzieło odbudowy. Przez całą noc dźwięczały kilofy i stukwały młoty. A poeta Sóldonóg, zamieniwszy pióro na kielnię, sklejał głązy zaprawą murarską pełen radości na myśl, że i on przyczynia się w ten sposób do ratowania swego rodzinnego miasta.

Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na miasto, okazało się, że już połowa Nasturcji została otoczona murami. Na ten widok z ust tysięcy ludzi wydarł się okrzyk radości.

O tym samym czasie w leśnym zamku Debiliusz począł budzić swych pijanych kompanów.

- Wstawajcie, łotry, łajdaki, obiboki, śpiochy i lenie - wołał tarmosząc zaspanych zbójów. - Wstawajcie, bo za godzinę musimy być gotowi do wymarszu. Czekają nas dwa dni ciężkiej drogi!

Ale w Nasturcji nikt jeszcze o tym nie wiedział. Bo i skądże?

Rozdział XVIII

FORTUNA KOŁEM SIĘ TOCZY

Aby ustalić dokładną datę wyruszenia na wyprawę, Debiliusz zasięgnął rady jednego ze swych podwładnych, który się znał na gwiazdach. Był to niezwykle szpetny osobnik o przydomku Wybijoko, sprawujący niegdyś zaszczytną funkcję szefa tajnej policji. Otrzymałszy rozkaz od władcy, wyszedł nocą na szczyt zamkowej baszty i spędził tam godzinę, na obserwacji gwiazd i planet. Okazało się, że wymarsz należy rozpocząć nazajutrz, wczesnym rankiem, natychmiast po pierwszym pianiu koguta, wprzód jednak trzeba odprawić czary. Wobec tego Debiliusz, jako najważniejsza osoba szlachetnego zgromadzenia, przywdział obrzędowy strój, którego największą ozdobą był kołpak z piór trzynastu kogutów, zarżniętych o północy. Na środku zamkowego dziedzińca rozpalono ognisko, wokół którego usiedli wszyscy zbóje, poczerńszy swe twarze przypalonym korkiem. Debiliusz wrzucił do ognia garść proszku z wysuszonych grzechotników i ruszył w rytualny tan. Naprzód przez kilka minut podskakiwał w miejscu, wydając niezrozumiałe okrzyki, następnie zaś obiegnął ognisko trzy razy dookoła, i to na jednej nodze! Dokonawszy tego wyczynu, splunął za siebie siedem razy, po czym zdjął z głowy kogucią czapę i cisnął ją na stos. Czyn ten został przez opryszków przyjęty rykiem zachwyty.

Ale najważniejsze czary miały się dopiero zacząć! Debiliusz sięgnął do trzymanego w ręce koszyczka i znów wrzucił .coś do ognia, który natychmiast zabarwił się na zielono.

Rzucam kostkę nietoperza,
udko żaby, kolec jeża,
czarcie łajno, błota grudkę,
sierść wielbłąda, kroplę wódki,
zardzewiałych gwoździ sześć,
racz to wszystko, ogniu, zjeść!

Płomienie na chwilę przygasły, ale w następnej chwili uniosły się wysoko nad stosem świerkowych gałęzi. Tym razem miały kolor niebieski. Debiliusz unosił obie ręce i wrzasnął rozzierającym głosem:

Sinusoida, superata,
elipsoida, prolongata,
elokwencja, konspiracja,
permanencja, alongacja,
zjedz to wszystko, ogniu, wraz
i odwagą natchnij nas!

Na dźwięk tych groźnych zaklęć, używanych jedynie w wyjątkowych okolicznościach, zbójcy zatrzęśli się ze strachu, pewni, że za chwilę stanie się coś okropnego. Poniektórzy jęli się oglądać za siebie, niepewni, czy nie czają się za nimi jakoweś duchy i upiory. Tymczasem Debiliusz raz jeszcze cisnął coś do ognia, wypowiadając trzecią, ostatnią już formułę:

Oktaryna, konsekwencja,
kataryna, indolencja,
obligacja, kollokacja,
fonetyka, gramatyka,
koci ogon, wilka kość -
teraz masz już, ogniu, dość!

Po tych słowach władca zwrócił się do słuchaczy i rzekł zwyczajnym już głosem:
- I to już wszystko na dziś. A teraz spać. Na straży zostanie Zerwiskórka, który obudzi nas, gdy tylko usłyszy pianie koguta.

W kilka godzin później z zamkowej bramy wyruszył orszak biało ubranych postaci, dźwigających wory pełne daktyli. Każdy zbój otulony był w prześcieradło, które miało upodobnić go do arabskiego kupca, mieszkańca krain Dalekiego Południa. Prawdę mówiąc, prześcieradła te wcale nie były białe, gdyż od lat nikt ich nie prał, ale nikomu to nic nie przeszkadzało. Owe stroje miały dodatkowe zadanie ukrycia broni, na którą składały się kuchenne noże, topory, rożny i pogrzebacze.

Gdy słońce ubarwiło czuby drzew, znaleźli się nad brzegami Wielkiej Rzeki.

- Pójdziemy teraz w górę jej biegu - rzekł Debiliusz do kroczącego obok Deszczowca. - Tym razem nie musimy wspinać się na Góry Skaliste. Najważniejsze zadanie zatrućcia Źródła wykonał już bowiem nasz nieoceniony pan Mżawka...

Słyszając tę pochwałę, były sprzedawca stęchłej mąki zadrzał ze szczęścia i pokornie ucałował skraj szaty Debiliusza.

Ścieżka wiła się między pniami drzew, z których zwisały długie liany, obsypane różnobarwnym kwieciem. Zgodnie z otrzymanym rozkazem, zbóje szli na palcach, co wcale nie należało do przyjemności. Czegóż się jednak nie robi dla tak wzniosłego celu, jak zdobycie władzy... Największy Deszczowiec i pan Mżawka tęsknie spoglądali na rzekę, marząc o wykapaniu się w jej mętnych falach. Mowy jednak o tym nie było, gdyż w wodzie roіło się od krokodyli...

Późnym popołudniem Debiliusz zarządził odpoczynek.

- Wygłoszę teraz przemówienie - rzekł do swych kompanów. - Słuchajcie uważnie, bo od tego zależą losy naszej wyprawy.

Stanął na wielkim kamieniu i gestem ręki nakazał milczenie.

- Jutro skoro świt wyruszamy w dalszą drogę. Koło południa powinniśmy dojść do Nasturcji. Wejdziemy do miasta spokojnie i poważnie, jak przystało na pokój miłujących kupców. Rozłożymy się na rynku i otworzymy worki z daktylami. Nie wolno wam wyrzec ani jednego słowa po nasturcjańsku! Na wszelkie zapytania macie odpowiadać „Salem alejkum”, co po arabsku oznacza powitanie. Hej, Ohydek, powtórz no te słowa:

- Salami olej kum - ryknął oprych.

- No, może być - zgodził się władca. - I tak nikt tego nie zrozumie. Gdy zjawi się Smok, ja sam poczęstuję go porcją zatrutych daktyli. Śmierć potwora będzie hasłem do ataku. Zaręczam wam, że ci głupi Nasturczanie rozpierchną się jak stado baranów. Przecież to nędzni pacyfiści, nie mający pojęcia o wojowaniu. Zajmiemy pałac i ogłosimy powrót naszych rządów!

- Ach, ach, jaki to mądry i wspaniały plan - jęknęli zbójcy z wyrazem uwielbienia na poczerniałych twarzach.

- Czy są jakieś zapytania?

Zbój Szkaradek podniósł palce do góry.

- Słucham cię - rzekł władca łaskawie.

- Czy trucizna w daktylach będzie na tyle mocna, żeby zabić Smoka?

- Spokojna głowa! Przyrządziłem ją osobiście z jadu trzynastu żmij, złapanych podczas pełni księżyca. Kto jeszcze?

Tym razem o głos poprosił zbój o twarzy naznaczonej głęboką blizną.

- Czy po zdobyciu Nasturcji będziemy mogli robić, co się nam żywnie spodoba?

- Jak najbardziej - odparł Debiliusz. - Ale tylko przez trzy godziny.

- Dziękuję. To nam wystarczy.

Nie słysząc dalszych pytań, Debiliusz zakończył swe przemówienie:

- Po zajęciu miasta zaprowadzimy natychmiast NOWY PORZĄDEK! Wróć wspaniałe czasy, znowu będziemy mogli żreć chałwę i żłopać piwo! Zrozumiano?

- Ano, ano - zaszemrał chór zachwyconych głosów.

- A teraz gęby na kłódkę! Nie pozwalam na żadne śpiewy i wrzaski. Każdemu, kto będzie chrapał, własnoręcznie utnę łeb!

Po czym, zadowolony z siebie, dał znak do spoczynku i położył się na ziemi, nie zapomniawszy o nastawieniu budzika na czwartą rano.

- Dobrze będzie miał Smok śniadanko - zachichotał w duchu. - Niech mnie drzwi ścisną!

Przeraźliwy dźwięk budzika poderwał bandę na nogi. Nad ziemią leżała gęsta mgła, ale wierzchołki drzew nurzały się już w słonecznym blasku. Poszturchiwani przez Debiliusza zbójcy ustawili się w szereg i na dany znak ruszyli w drogę.

Straż przednią tworzyło trzech opryszków: Paskuda, Szkaradek i Ohydek. Byli to ulubieni słudzy Debiliusza, używani niegdyś do wykonywania różnych tajnych poleceń. Tuż za nimi kroczył Debiliusz w towarzystwie obu Deszczowców. W następnej kolejności szło dwóch byłych katów: Łamignat i Wy bij ząb, poprzedzając Zerwiskórkę, dawnego poborcę podatków, oraz Chytrusa, szefa propagandy. Pochód zamykała czwórka ponurych zbirów, złożona z Dziurawca, Wiercibrzucha, Szpicbródki i Tłuściocha. W dawnych, dobrych czasach stanowili oni osłonę władcy i trzymali straż bezpośrednio przy jego tronie. Otoczony tak wybornym kwiatem swego rycerstwa, Debiliusz nie wątpił ani chwili w powodzenie wyprawy. Pełen radosnych marzeń szedł sprężystym krokiem ku swemu celowi i od czasu do czasu rzucał sprzymierzeńcom łaskawe spojrzenia.

- Dziś w nocy będziemy spać w puchowych łóżach - rzekł w pewnej chwili do Największego Deszczowca.

- Co do mnie, wolałbym jakąś sadzawkę - odparł były tyran.

- W porządku. Wszystkie sadzawki w Nasturcji będą należały do ciebie.

- A gdzie ja będę spać? - odważył się zapytać pan Mżawka.

- Przydzielę ci główny kanał miejski ^- rzekł Debiliusz. - Będziesz się tam czuł jak u siebie w domu.

Koło południa grupa biało ubranych postaci wynurzyła się z puszczy. Jak okiem sięgnąć, roztaczały się wokół starannie uprawione winnice i sady. Wiła się wśród nich szeroka, dobrze ubita droga.

- Za godzinę będziemy w mieście - rzekł Debiliusz. - A za dwie obróci się koło historii.

Jak z tego widać, były król Nasturcji lubował się - na wzór innych władców - w kwiecistych i pełnych patosu słowach...

Bliskość stolicy dodała sił zmęczonym już i sennym zbójom. Ruszyli więc żwawo środkiem drogi. Najmniej cierpliwi dobrze wyciągali nogi, nie mogąc się doczekać obiecanych im wspaniałości. Na myśl o czekających na nich zaszczytach, cmokali głośno i mlaskali, jako że serdecznie znudziło się im niezbyt wyszukane, leśne jedzenie. Za dziesiątym z rzędu zakrętem oczom ich ukazało się niespodziewanie bliskie miasto.

Na ten widok pod Debiliuszem ugięły się kolana. Były władca Nasturcji pobladł i sięgnął ręką ku sercu, które zabiło gwałtownie.

- Co... co... co to jest? - wyjąkał słabym głosem. Oto w ostrym blasku słońca bieleły się przed nimi wysokie mury, urozmaicone groźnymi basztami.

- O ile znam się na rzeczy - rzekł Największy Deszczowiec - są to normalne mury obronne. Takie same mam w Kibi-Kibi. Niespodzianka raczej niemiła...

- Ale przecież ich tu nie powinno być.

- Różnych rzeczy na świecie nie powinno być, a jednak są - dodał filozoficznie Deszczowiec i spojrzawszy ze współczuciem na ogłupiałe oblicze sprzymierzeńca. Jednocześnie przyszło mu na myśl, że podobnie niemądry wyraz twarzy mógł mieć Debiliusz jedynie w chwili, gdy surowy wyrok Senatu skazywał go na banicję... Oblicze to jednak szybko zmieniło kolor i stało się czerwone jak burak.

- To zdrada! - ryknął Debiliusz. - To zdrada! Odpowiesz mi za to, ty podły szpiegu!

Słowa te były skierowane do Mżawki, który błyskawicznie skurczył się ze strachu i poturlał do przydrożnego rowu. Debiliusz skoczył za nim i wyciągnął go za uszy.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, że miasto otoczone jest murami?

Mżawka, trzęsąc się jak galareta, wystękał:

- Bo ich wtedy nie było. Oj, boli!

- Czy masz mnie za głupca?

- Tak. To znaczy nie... Przysięgam na sto tysięcy pijawek, że mówię prawdę. Musieli je zbudować po moim odejściu.

- On chyba mówi prawdę - wtrącił się Największy Deszczowiec. - To mi wygląda na sprawkę Smoka. Tylko on jest do tego zdolny.

Debiliusz odepchnął Mżawkę od siebie i rzekł spokojniejszym nieco głosem:

- Może i było tak. Ale zaręczam ci, że miasto będzie moje. Idziemy!

Zatrzymawszy się przed zamkniętą bramą, Debiliusz nabrał powietrza do piersi i krzyknął:

- Otwierajcie, kochani mieszczenie! Jesteśmy kupcami i przynosimy wam wory pełne smacznych daktyli!

Wtedy w okienku nad kolczastą broną zjawił się senator Stuk-Puk i przyłożywszy do ust tubę ze starego gramofonu, zawołał swym wysokim, prawie dzieciennym głosem:

- Tere fere kuku! Nie nabierzesz nas na żadne daktyle. Myślisz, że cię nie poznałem po twej rudej brodzie? Jak się masz, zacny Debiliuszu?

- Nie jestem żadnym Debiliuszem, tylko spokojnym sprzedawcą daktyli.

- Jeżeli ty jesteś sprzedawcą daktyli, stuk-puk - odparł senator - to ja jestem cesarzem chińskim...

Na te słowa rozległ się gromki śmiech setek ludzi. Debiliusz uniósł głowę i ujrzał mnóstwo uzbrojonych w kije postaci, zgromadzonych na szczycie murów.

- Pożałujecie tego - wrzasnął dziko i pogroził im pięścią. - Tak wspaniałych daktyli nie ma na całym świecie!

- To je sobie sam zjedz - krzyknął z okienka senator. - Smacznego!

Powiedziawszy to zniknął, a w okienku pojawiła się twarz Smoka.

- Witam cię, pożeraczu żab i jaszczurek - ryknął Smok pod adresem Największego Deszczowca. - Dobrych sobie dobrałeś kompanów. Jeżeli myślisz, że unikniesz srogiej kary księcia Kraka, to jesteś w grubym błędzie.

Widząc, że jest zdemaskowany, Deszczowiec zgrzytnął zębami i zerwał z siebie prześcieradło.

- Jeszcze cię dostanę w swoje ręce - zawołał pełnym wściekłości głosem. - A wtedy marny twój los!

Smok zagrał mu palcami na nosie.

- Wcale się ciebie nie boję, nędzny żabożerco! A teraz zmykajcie, gdzie pieprz rośnie. No, już!

W następnym momencie rozległ się przerażający ryk, a zgromadzeni pod murami zbójcy poczuli na twarzach żar ognia! Przez chwilę otuliły ich kłęby dymu, buchającego z paszczy Smoka, który wychylił się z okienka aż do połowy swego potężnego cielska. Pełni przerażenia rzucili się bezładnie do ucieczki. Na widok zmykających „kupców” rozległy się na murach brawa i śmiechy. Najgłośniejszy darł się mistrz Bartolini wymachujący swym groźnym różnem.

- Mamma mia! Uciekajcie, nędzne robaki, synowie diabła i czarownicy, uciekajcie pókim dobry, bo jak zeskoczę z tego muru, to posiekani was na drobne kawałki, żeby nakarmić ryby w Wielkiej Rzece!

Długo jeszcze biegły za nimi szydercze śmiechy, gwizdy i pogrożki. Pozbywszy się ciężkich worów, rwali ku zbawczej puszczy, ogarnięci pragnieniem, aby jak najszybciej zostawić za sobą miasto, które przywitało ich w tak straszny i niespodziewany sposób...

Odwrót wojsk Debiliusza spod Nasturcji stał się w latach późniejszych tematem licznych poematów i dzieł naukowych. Oczywiście nie musimy dodawać, że pisali je poeci i uczeni w Nasturcji, opiewający bohaterskie czyny Smoka i jego towarzyszy, a w pierwszym rzędzie najdzielniejszego z kucharzy - imć Bartoliniego. W opisach tych zagnieżdżyło się, jak to zwykle bywa, sporo przesady i nieściśłości. Dlatego nie od rzeczy będzie, jeśli podamy kilka szczegółów, które uszły uwadze piszących. Faktem bezspornym jest, iż uciekający pogubili w popłochu nogi, stało się to jednak udziałem tylko trzech największych tchórzów; Zerwiskórki, Wybijoka i Chytrusa. Ci trzej panowie uciekali bowiem tak szybko, iż pozostawili swe nogi daleko za sobą, wskutek czego musieli się po nie wracać około jednego kilometra. W dodatku pozamieniali je w pośpiechu, dzięki czemu Zerwiskórka uciekał dalej na dwóch prawych nogach, a Wybijoko na dwóch lewych. Sam Debiliusz chwilowo stracił głowę, ale na szczęście dla siebie rychło ją znalazł w przydrożnym rowie. Jak było, tak było, dość, że wszyscy złoczyńcy opamiętali się w końcu i po dłuższych rozmowach stwierdzili, iż żadnego z nich nie brakuje. Zebrawszy wszystkich na leśnej polanie, Debiliusz wygłosił przemówienie, w którym podkreślił, że odwrót został wykonany planowo na „z góry upatrzone pozycje”. Od tego czasu określenie to weszło na stałe do słownika wszystkich dowódców, którym w udziale przypadło „odrywanie się od nieprzyjaciela”...

- I co teraz będzie - zagadnął Największy Deszczowiec.

- Co będzie? - warknął Debiliusz. - Przystąpimy do drugiej części operacji.

- To znaczy do czego?

- Ba, żebym to wiedział...

Wtedy do rozmowy włączył się pan Mżawka:

- Czy wolno mi coś powiedzieć?

- Mów, tylko krótko, a mądrze.

- Dziś jeszcze możemy być w Nasturcji - rzekł Mżawka i zrobił efektowną pauzę.

- Jakim cudem?

- Bardzo prosto. Wystarczy pójść do Źródła Nieustającej Radości i dostać się do miasta przy pomocy akweduktu. Jak wiadomo akwedukt kończy się w samym mieście, tuż nad głównym zbiornikiem. Przecież nie mogli go zamurować, gdyż w takim razie pozbawiliby się wody do picia.

- Jesteś genialny - wrzasnął uradowany Debiliusz i porwawszy Mżawkę w ramiona,

ucałował go serdecznie. - Z takim jak ty można konie kraść!

- Robiło się to kiedyś - rzekł Mżawka ze skromną miną i nadstawił rękę, do której władca wcisnął mu złotego dukata. Deszczowiec chuchnął na monetę i schował ją dowieszeni.

- A więc do roboty - zakomenderował Debiliusz i stanąwszy na czele drużyny, dał znak do wymarszu.

Po upływie godziny zbójcy znaleźli się nad Źródłem Nieustającej Radości. Jeden rzut oka wystarczył Mżawce do pojęcia, że jego dzieło zostało udaremnione. Woda ze Źródła Zapomnienia nie płynęła już do akweduktu. Nic jednak nie powiedział, sądząc, że w tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia.

- Wejdziemy do koryta - rzekł Debiliusz - i zjedziemy do środka miasta. To będzie najwspanialszy desant w historii wszystkich wojen!

Wierna drużyna ustawiła się gęsiego na krawędzi kamiennego łożyska. Na widok rwącego strumienia wszyscy zbójce dostali gęsiej skórki. Niejeden dałby majątek, żeby znaleźć się w bezpiecznych murach leśnego zamczyska. Ale nie było czasu na rozmyślenia. Ostry gwizd Debiliusza dał hasło do skoku! Biegnący na czele Wiercibrzuch pośliznął się na śliskim kamieniu i usiadł z głośnym pluskiem. W następnej sekundzie bystry nurt podciął nogi zbójców i z przerażającą szybkością porwał ich ze sobą. Całe towarzystwo, koziółkując wśród okrzyków przerażenia, potoczyło się ku leżącemu w dolinie miastu. Nie było mowy o zatrzymaniu się. Wymieszani z wodą zbójce toczyli się ku swemu przeznaczeniu jak kamienie porwane przez we/brany potok... Dla większości z nich był to pierwszy w życiu kontakt z wodą, toteż nic dziwnego, że czuli się wystraszeni i dosłownie wytrąceni z równowagi. Natomiast dla Deszczowców była to nader przyjemna jazda. Z szybkością pośpiesznego pociągu przemknęli ponad murami i jeden za drugim powpadali do głębokiego basenu, znajdującego się na Placu Zebrań. Byli w samym sercu miasta!

- Za mną! - wrzasnął Debiliusz, gramoląc się z trudem na brzeg zbiornika. - Za mną, do ataku!

Nagle głos zamarł mu w gardle. Oto cały zbiornik otoczony był kratą, wykonaną ze świeżo okorowanych pni drzewnych. Ogromna drewniana klatka uniemożliwiała wydostanie się z basenu. Przez jej otwory widać już było mieszkańców Nasturcji, nadbiegających z wymachiwaniem ramion i okrzykami radości. Po chwili gęsty tłum otoczył klatkę z płynającymi po wodzie zbójcami. Wśród przybyłych pojawiła się masywna sylwetka Smoka.

- Witamy waszmościów w Nasturcji - zarechotał potwór, ująwszy się pod boki. - Mam nadzieję, że nie stało się wam nic złego, woda jest dostatecznie głęboka... A teraz dość żartów! Wychodźcie po kolei i oddawać broń! Wszelki opór jest daremny.

Kilku Nasturcjan uchyliło drzwiczki wykonane z grubych bierwion i zachęciło zbójców do opuszczenia zbiornika. Debiliusz zrozumiał wreszcie, że przegrał stawkę... Zgrzytając zębami wypełził na brzeg basenu i wy dostał się na plac. Natychmiast chwyciły go silne ramiona mieszczan, a grube sznury oplatały mu ręce i nogi. Był w niewoli! Po chwili cała drużyna rzekomych Arabów znalazła się na drabiniastym wozie, zaprzężonym w dwa karę konie.

- Do więzienia - zakomenderował Smok. - Gdy obeschniecie, pogadamy sobie z wami.

A jednak miałem rację, że dziś jeszcze będziemy w mieście - pomyślał pan Mżawka. Ale, rzecz dziwna, stwierdzenie to nie napełniło go wcale radością.

Wśród nie milnącej wrzawy drabiniasty wóz posuwał się ulicami miasta ku bramie więzienia. Tak, tak, tego samego więzienia, które Debiliusz kazał niegdyś wybudować dla swych przeciwników...

Na wszystkich wieżach były dzwony, ogłaszające radosny dzień dla miasta. Nad dachami kołowały stada gołębi.

- Z tą klatką to był wspaniały pomysł - rzekł Smok do idącego obok senatora. - Ciekaw tylko jestem, kto wpadł na niego?

- Któż by, stuk-puk, jak nie profesor Gąbka? - odparł senator. - Wyjaśnię ci to wieczorem w czasie uczyty, którą wydaję na cześć zwycięstwa. A jednak to prawda, że fortuna kołem się toczy...

Rozdział XIX

REWELACJE PROFESORA GĄBKII

Baltazar Gąbka wstał i zastukał nożem w nóżkę kielicha. Gwar rozmów ucichł, a wszystkie oczy skierowały się na profesora.

- Moi kochani - rzekł tonem, w którym można było wyczuć odcień wzruszenia. - Moi kochani, należy się wam ode mnie kilka słów w sprawie owej klatki. A więc wiedźcie, że wpadłem na ten pomysł zupełnie przypadkowo, i że nie miał on nic wspólnego ze sprawą obrony miasta. Nie jestem człowiekiem wojowniczym i nie mam pojęcia o sztuce prowadzenia wojny. Przyznam się wam, że nigdy w życiu nie zabiłem nawet muchy. Strasznie lubię wszystko, co żyje. A więc do rzeczy... Wczoraj wieczorem, po zakończeniu pracy w bibliotece, postanowiłem rozprostować kości i przejść się nad rzeką. Usiadłem na ławce i spojrzawszy na zachodzące słońce, pomyślałem o domu, o naszym kochanym grodzie nad Wisłą, i oczywiście o księciu Krakę, ciągle zajęтым Bardzo Ważnymi Sprawami. Przyznam się wam bez żadnego wstydu, że zrobiło mi się trochę wilgotno w oczach, ponieważ zatęskniłem do powrotu. Z okna mojej pracowni jest też widok na rzekę i na zachodzące za pagórkami słońeczko... Przypomniałem sobie swój ogród i altanę z drewnianych listewek, po których wspina się biały powój i płomienna nasturcja. Następnie wróciłem do miasta i dotarłem na plac Zebrań. Gdy spojrzałem na zbiornik wody, przyszło mi na myśl, jakby to było ładnie, gdyby otoczyć go altaną, a wokoło posadzić jakieś pnące roślinki. W ten sposób na pustym kamiennym placu wyrosłaby góra zieleni, góra pięknych kwiatów... Byłem tak pewny, że pomysł ten zyska wasze uznanie, iż nawet nie przyszło mi na myśl pytać was o radę. Poszedłem do naszego drogiego Marcinka, jako że jest on ministrem Spraw Praktycznych, i opowiedziałem mu o swoim zamiarze. Marcinek zawołał kilkunastu cieśli i od razu wróciliśmy na Plac Zebrań. Po godzinie altana była gotowa. Wierźcie mi, ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że owa budowla może uratować miasto od zagłady. Tak jak i wy, byłem przekonany, że mury wystarczą. Nigdy bym nie wpadł na pomysł zaatakowania miasta przy pomocy akweduktu, ponieważ nigdy się nie zajmowałem podobnymi zagadnieniami. No cóż, to wszystko, co chciałem na ten temat powiedzieć. Uff, zmęczyłem się, nie umiem przemawiać, widocznie jestem złym ministrem...

- Wprost przeciwnie - zaprotestował senator Ogórkopulos. - Twoja mowa jest prosta i zrozumiała. Chcąc nie chcąc, po raz drugi pokrzyżowałeś plany Debiliusza i za to należy ci się nasza wdzięczność. Łotrzyki są pod kluczem i Nasturcji nic już nie grozi.

Profesor skłonił się i na znak podziękowania przyłożył dłoń do serca.

- Chciałbym jeszcze dodać coś, co może być ważne dla dalszych losów naszej wyprawy.

- Słuchamy, słuchamy...

- Sprawę Debiliusza mamy więc z głowy. Teraz musimy się zająć mypingami, bo w końcu po to tu przybyliśmy.

- Słusznie - przyznał Smok, wychylił puchar soku i oblizał się od ucha do ucha.

- Gdy spotkaliśmy naszego kochanego Pinga i przekonaliśmy się, że dość łatwo uczy się on ludzkiej mowy, pomyśleliśmy, że oto otwiera się droga do poznania tajemnicy mypingów. Przez pewien czas byłem przekonany, że myping opanuje naszą mowę i będzie mógł wyjaśnić przyczyny owych tajemniczych wędrówek swego plemienia. Niestety, rachuby te zawiodły na całej linii. Myping, mimo najlepszych chęci, nauczył się tylko trzydziestu oderwanych wyrazów. Co gorsza, przekonałem się, że stworzenie to, jakże miłe i przyjemne, zupełnie nie rozumie ich treści. Powtarza je tak, jak powtarza ludzkie słowa poczciwa papuga. O jakimkolwiek porozumieniu nie może być mowy. A więc nie tędy droga!

- To straszne - wyrwało się z ust doktora Koyota.

- To wcale nie takie straszne - uśmiechnął się uczony. W nauce tak już jest, że nawet niepowodzenie ma swoją wartość. Po prostu trzeba szukać prawdy na innej drodze... I cieszę się ogromnie, że ową dobrą drogę udało mi się odszukać.

Baltazar Gąbka przerwał i powiódł wzrokiem po zebranych. Wszystkie twarze były skierowane ku niemu. Na sali panowała taka cisza, że można było słyszeć, jak dwie mrówki raczą się pod stołem resztkami makowca.

- I znowu muszę powiedzieć, że nie ma w tym zupełnie mojej zasługi - ciągnął profesor.

- Największa wdzięczność należy się naszemu drogiemu gospodarzowi, senatorowi Stuk-Puk, który w ciągu kilku bezsennych nocy przetłumaczył mi księgę o mypingach, napisaną jak wiadomo, w języku staronasturcjańskim. Księga ta stanowi jeden z największych rarytasów jego biblioteki. Otóż dowiedziałem się z niej, że dawnymi czasy ojczyzna mypingów była, jak się to mówi, krainą mlekiem i miodem płynącą. Rosły w niej wspaniałe lasy pełne drzew, których owoce stanowiły pożywienie mypingów. Największym ich przysmakiem były banany. Mając obfitość pożywienia, mypingi nie urządzały żadnych wypraw, gdyż po prostu nigdy nie były głodne...

- Co się więc stało? - krzyknął Smok, podniecony słowami przyjaciela. - Dlaczego nagle zabrakło im pożywienia?

- Klimat ich krainy uległ gwałtownej zmianie. Niegdyś przy terytorium mypingów

płynęła Wielka Rzeka, ta sama, nad którą leży Nasturcja. Po jakiejś ogromnej powodzi rzeka zmieniła swe koryto i przesunęła się daleko na południe. Zapanowały długie lata suszy, która doprowadziła lasy do zagłady. I wtedy biedne mypingi zaczęły wędrować na Północ w poszukiwaniu bardziej żyznych i wilgotnych okolic.

- Ale my jeszcze nie umiemy zmieniać klimatu - wtrącił senator Stuk-Puk.

- Zgoda - przyznał profesor. - Ale umiemy już nawadniać pustynie... Żeby zrozumieć, co mam na myśli, musicie teraz spojrzeć na mapę, którą wyrysowałem wczorajszej nocy. Okazuje się, że Wielka Rzeka tworzy ogromny łuk, otaczając ziemię mypingów od południa. Jeżeli uda się nam przekopać kanał biegnący po cięciwie tego łuku, uda się nam także nawodnić ich teren.

- Rozumiem! - krzyknął Bartolini. - Na wilgotnym terenie znowu wyrosną lasy!

- Tak. A naszą sprawą będzie, aby to były ogromne plantacje drzew bananowych. Niestety, jest jeden kłopot - chyba nikt z nas nie ma pojęcia o robieniu tam i kopaniu kanałów.

Wtedy zerwał się ze swego miejsca Marcin Lebioda.

- Jako minister Spraw Praktycznych chcę wam coś zaproponować.

- Mów, mów, słuchamy!

- Użyjemy do tego Debiliusza i jego niecnych kompanów: Największego Deszczowca i pana Mżawkę!

- Bravo! - ryknęli jak jeden mąż wszyscy zgromadzeni. - Bravo dla Marcinka!

Lebioda podziękował skinieniem głowy i ciągnął dalej:

Wiemy przecież, że Deszczowcy są specjalistami od wodnych prac inżynierskich. Przynajmniej raz w życiu będą mogli zrobić coś pożytecznego dla innych i w ten sposób okupić swoje winy. A bandziory Debiliusza zamiast siedzieć w więzieniu na nasz koszt, będą kopać kanał pod kierunkiem obu Deszczowców. Czy nie mam racji?

- No proszę - rzekł profesor - zawsze mówiłem, że z Marcinka będzie pociecha. Jak to dobrze, że zabraliśmy go ze sobą. A więc nie pozostaje nam nic innego, jak tylko ruszać do krainy mypingów i zabrać się do pracy.

Reszta ucztu upłynęła w miłym nastroju, wśród śmiechów i żartów. Uproszony przez przyjaciół Bartolini zaśpiewał piosenkę „Wróc do Sorrento”, otrzymując w nagrodę huczne brawa i wspaniałą kiść winogron.

- Widać, że pochodzisz z włoskiej rodziny - rzekł z uznaniem Ogórkopulos - bo śpiewasz jak sam Caruso. Zapewne w twoim rodzie było wielu słynnych śpiewaków.

- Tak, to cecha rodzinna - odparł mistrz patelni. - Moja ciotka Eulalia wyszła za mąż za słynnego śpiewaka mediolańskiej opery „La Scala”. Nazywał się Don Basso Profondo i miał tak potężny głos, że w żaden sposób nie mógł się z nim zmieścić w drzwiach wiodących do garderoby. Dyrekcja opery musiała więc zawezwąć murarzy, aby wykuli w ścianie trzy razy większy otwór, umożliwiając artyście wejście do wnętrza. Przez ten czas przedstawienia były odwołane, co naraziło operę na duże straty. Czegóż się jednak nie robi dla geniuszy...

Długo w noc nad dachami Nasturcji jaśniały ognie sztuczne i pękały petardy, z których wysypywały się tysiące cukierków i gum do żucia. Nawet zbóje, którzy uczepli do więziennych krat oglądali to widowisko, musieli przyznać, że takich ogni sztucznych nie bywało nawet za rządów Debiliusza.

Dopiero o świtaniu w mieście zapanował spokój. Zmęczeni Nasturczanie udali się do swych domów na wypoczynek. W całej Nasturcji nie spał jedynie poeta Sólđonóg. A dlaczego nie spał, dowiemy się w jednym z następnych rozdziałów...

Rozdział XX

NOWY POMYSŁ PANA MŻAWKI

Nazajutrz doktor Koyot zerwał się wcześniej z łóżka, aby przy pomocy krótkofalówki zawiadomić Kraka o wczorajszych wypadkach, a zwłaszcza o sensacyjnym ujęciu Deszczowców. Jednak mimo iż kręcił gałkami aparatu w obydwie strony, mimo iż wielokrotnie sprawdzał wszystkie połączenia - nie mógł nawiązać żadnej łączności z Grodem Kraka. Widocznie odległość dzieląca Nasturcję od Krakostanu była już zbyt wielka. Urządzenie skonstruowane przez Smoka działało wyłącznie w promieniu pięciuset kilometrów... Nie pozostawało nic innego jak posłużyć się gołębiami pocztowymi, wiezionymi w tym celu od początku wyprawy. Obarczone meldunkiem gołębie zakołowały nad dachami miasta i po chwili poszybowały dokładnie w kierunku północno-zachodnim.

- Szczęśliwej drogi - zawołał za nimi doktor. - Pozdrówcie od nas wszystkich przyjaciół.

Przez kilka następnych tygodni trwały gorączkowe przygotowania do wyjazdu. Bartolini uwijał się po kuchni, przyrządzając zapasy kruchych ciasteczek, lizaków i karmelków. Marcin Lebioda kompletował narzędzia do kopania kanału, zaś profesor, korzystając z biblioteki senatora, uzupełniał swoją mapę. Smok dokonał przeglądu silnika, dociągając wszystkie śruby i smarując wszystkie łożyska. Po zakończeniu tej roboty wyglądał jak nieboskie stworzenie, toteż nie tracąc czasu pognął do rzeki, żeby się, wykąpać. Broił w wodzie jak małe dziecko, pływał, nurkował i skakał na głowę, zupełnie tak jak w swojej kochanej Wiśle, gdzie znał każdy kamień i każdą łachę piasku. Wraz z nim zażywali kąpiele pozostali uczestnicy wyprawy, gdyż wszyscy uważali, że nie ma nic miłszego nad kąpiel w czystych i rwących falach Wielkiej Rzeki.

Tymczasem zbójcy, zgromadzeni w zamkowym lochu, w braku innego zajęcia skakali sobie nawzajem do oczu, oskarżając się o spowodowanie nieszczęścia. Najgorsze cięgi spadały na pana Mżawkę, którego posądzano nawet o zdradę. Debiliusz był przekonany, iż Mżawka wiedział o istnieniu klatki i że wpakował wszystkich do pułapki tylko po to, aby zasłużyć na łaskę Smoka. Na próżno szpieg zaklinał się ze łzami w oczach, że nie miał pojęcia o istnieniu klatki. Rozsierdzony Debiliusz nie wierzył jego słowom i obiecywał mu, że po wydostaniu się na wolność własnoręcznie urwie mu głowę lub zakopie go żywcem w mrowisku. Jedynie Największy Deszczowiec zachowywał się spokojnie i zaszyty w najciemniejszy kąt lochu snuł

plany ucieczki.

Skoro udało się nam uciec z Wawelu - rozmyślał - to uda się i teraz. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni moment.

Dwa razy dziennie więźniowie otrzymywali posiłek, składający się z grysiku na mleku i chleba suto smarowanego masłem roślinnym. Nie było to wcale złe pożywienie, ale zbóje jedli je ze wstrętem, jako że bardziej smakowałyaby im obiecwana przez Debiliusza chałwa z rodzynkami...

Na trzeci dzień po uwięzieniu pan Mżawka, nieustannie oskarżany o zdradę, postanowił naprawdę zdradzić swych towarzyszy. W tym celu poprosił strażnika, aby zaprowadził go do Smoka, gdyż chce mu coś bardzo ważnego powiedzieć. Postawiony przed jego obliczem, padł na kolana i zaproponował swe usługi.

- Najwspanialszy Smoku wszystkich czasów - rzekł głosem łamiącym się od udanego wzruszenia - oto pojąłem do głębi mą straszną winę i teraz chciałbym odpokutować swe dotychczasowe uczynki.

- Nie zwracaj głowy - odparł Smok - tylko mów szybko, o co ci chodzi. Mam niewiele czasu i ochoty na rozmówki z taką jak ty kreaturą.

- Masz rację, jestem kreaturą - przyznał Mżawka, nie przestając klęczeć - ale i największa kreatura może się czasem na coś przydać. Czy chciałbyś wiedzieć, co ten Debiliusz wygaduje na ciebie? Mógłbym ci donosić o każdym jego słowie.

- Mało mnie to obchodzi - warknął Smok. - Niech sobie gada co mu ślina na język przynosi.

Pan Mżawka nie dawał jednak za wygraną.

- Gdybym dostał od ciebie kawałek chałwy, mógłbym ci opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Zastanów się dobrze nad tym...

Smok zacisnął pięści, a żyły na jego czole nabrzmiały w niepokojący sposób.

- Już się zastanowiłem - wycedził przez zęby. - Zmykaj stąd, pókim dobry! A jeżeli chcesz wiedzieć, co czeka ciebie i twych uroczych koleżków, to słuchaj dobrze: wkrótce pojedziecie z nami do Krainy Mypingów, aby się zabrać do pożytecznej pracy. Musicie zbudować tamę na Wielkiej Rzece i wykopać duży kanał, który nawodni tę suchą i bezdrzewną okolicę. Praca ta zajmie wam kilka lat. Jeżeli wykonacie ją dobrze, puścimy was wolno i będziecie wówczas mogli wrócić do swej ojczyzny. Zrozumiałeś?

- Tak jest - wrzasnął służbiście pan Mżawka. - Zrozumiałem! Trudno, skoro nie ma innej rady. Ale jeśli mamy mieć siły do tej ciężkiej pracy, powinniśmy jednak jeść chałwę...

- Zupełnie zbzikowałeś z tą chałwą - rzekł Smok. - Zgodą. Od jutra będziecie dostawać

na śniadanie po dwa kawałki chałwy. - A teraz precz z moich oczu, bo czuję, że za chwilę zjem pewnego pana, który się nazywa Mżawka!

Deszczowiec błyskawicznie powstał z klęczek i znikł za drzwiami. Gdy ledwo żywy ze strachu znalazł się z powrotem w lochu, zbóje powitali go groźnym pomrukiem. Debiliusz chwycił Mżawkę za ucho i zapytał słodziutkim, okropnie słodziutkim głosem:

- Mów, po co chodziłeś do Smoka? Chciałeś nas może zdradzić?

- Skądże znowu - zaprotestował Deszczowiec skręcony we dwoje z bólu. - Zagroziłem mu, że jeżeli nie będzie nam dawał chałwy, rozerwę go na strzępy.

Zdumiony Debiliusz puścił ucho szpiega.

- Nie łżesz?

- Jutro przy śniadaniu dowiecie się, że mówię prawdę. Ja przez całe życie nic innego nie robię, tylko mówię prawdę. Żebyś ty słyszał, jak ja na niego krzychałem! Ze strachu zrobił się malutki jak jamnik, a drżał niczym galaretka malinowa... Panowie - zwrócił się do otaczających go łotrzyków - panowie, powiem wam coś więcej: oto wkrótce opuścimy ten loch i ujrzymy światło dzienne. I co wy na to?

Debiliusz wyciągnął ku niemu dłoń na znak zgody.

- Przepraszam - rzekł pojednawczo. - Osądziłem cię niesprawiedliwie. Zapomnij o tym, co przed chwilą mówiłem.

- Już zapomniałem - zapewnił go Mżawka. - A jeżeli obiecasz, że już nigdy nie będziesz mnie ciągnąć za ucho, to poproszę Smoka, żeby ci przyznał dodatkową porcję chałwy...

Rozdział XXI

WIELKIE DZIEŁO TEOFRASTA SÓLDONOGA

Wspaniała obrona Nasturcji znalazła, jak już wspomniałem, swojego kronikarza w osobie poety Teofrasta Söldonoga, który bezpośrednio po zwycięstwie usiadł przy maszynie do pisania marki „Erika” i w ciągu nocy stworzył bohaterski poemat pod nieco przydługim tytułem: „Historia wielce cudna o niesławnej kłęsce podłego tyrana Debiliusza Rudobrodego, pragnącego tanim kosztem zdobyć słynny gród Nasturcją.”

Nigdy bym nie wiedział o tym poemacie, gdybym nie miał zwyczaju grzebania wśród starych ksiąg i czasopism, zgromadzonych w szacownej Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Oto pewnego dnia udało mi się znaleźć oprawiony w cielejącą skórę rocznik czasopisma „Głos Nasturcji”, a w nim ów poemat, zamieszczony w całości, bez skrótów i poprawek. Możecie mi wierzyć, że był to najpiękniejszy dzień mojego życia! Cały utwór przepisałem dokładnie do swego zeszytu, dzięki czemu mogę was teraz zaznajomić z jego najciekawszymi fragmentami. Była to trudna praca, gdyż papier „Głosu Nasturcji” bardzo już pożółkł ze starości, a dzień, w którym przepisywałem ów utwór, był chmurny i deszczowy, jak to zwykle bywa w Krakowie... Jeżeli starczy mi czasu, a Wydawnictwu Literackiemu papieru, wydam go kiedyś w całości wraz z objaśnieniami, aby w ten sposób uratować od zapomnienia jeden z najciekawszych zabytków literatury nasturcjańskiej. Zanim to jednak nastąpi, przekazuję Czytelnikom fragmenty, sądząc, iż zaciekawia ich one tak samo, jak profesora Gąbkę zaciekawiała księga o mypingach, przetłumaczona przez senatora Stuk-Puk.

Muzo, prowadź me pióro, bym opisał cudnie
groźny bój o miasto wczoraj przed południem,
gdy obrzydły Debiliusz, drab wielce ponury,
chciał zdobyć gród nasz sławny, niszcząc jego mury!
Oto wczesnym rankiem wyszedł z gęstych lasów
na czele swych zastępów, cicho, bez hałasu,
by podstępem się dostać na sam plac targowy
i okrutnie nam wszystkim poucinać głowy!
Lecz spotkała go przy tym przykra niespodzianka:
zastał bramy zamknięte od samego ranka,

a na murach zobaczył obrońców tysiące
uzbrojone po zęby i głośno zeń drwiące!
Patrzy, oczom nie wierzy, a na murach stoi
Smok wielki i wspaniały w pozłacanej zbroi,
w ręce ma miecz błyszczący, w paszczy ostre zęby,
z oczu lecą mu iskry, a dym bucha z gęby,
przy nim zaś Bartolini, kucharz nad kucharze,
zbrojny w swą roznoszpadę, hartowaną w żarze!
Na ten widok zły tyran ze zgryzoty skamieniał,
zapomniał, że ma język i całkiem oniemiał,
a cała jego banda w przerażeniu srogim
rzuciła się do ucieczki, gubiąc swoje nogi...

W dalszym ciągu poeta Sóldonóg opisuje radość, jaka zapanowała w grodzie po błyskawicznej ucieczce zbójów. Wszyscy byli przekonani, że niebezpieczeństwo już minęło i że Debiliusz nie odważy się na nowy atak. Jak wiemy, była to radość złudna. Nikomu bowiem nie przyszło na myśl, że niecni łotrzykowie będą się usiłovali dostać do miasta przy pomocy akweduktu! A oto jak mistrz Teofrast opisuje ów drugi niespodziewany atak, zakończony ujęciem wszystkich napastników...

Tuż za Piękną Nasturcją sterczą srogie góry, z gór zaś biegnie akwedukt, przeskakuje mury i czystą wodę źródeł niesie w środek grodu...

Owym to akweduktem zbóje w miasto płyną, pełni podłej radości, nie wiedząc, że zginą... Niesieni prądem wody, z szybkością pociągu, w zbiornik wielki wpadają tego wodociągu, chcąc się z niego wydostać na ulice miasta. Ale nagle nad nimi wielka klatka wzrasta, srogie belki widnieją u góry, po bokach, nigdzie nie ma stąd wyjścia, a woda głęboka, żadna siła nie zdoła przełamać bariery - „Koniec - woła Debiliusz. - Koniec mej kariery!”

W zakończeniu swego dzieła poeta sławi dzielnych przybyszów z Grodu Kraka, dzięki którym Nasturcja uniknęła smutnego, a nawet tragicznego losu.

P.S. Nie gniewajcie się, moi drodzy, że powtórzyłem wam mniej więcej to samo, o czym czytaliście już w dwóch poprzednich rozdziałach. Co innego jednak proza, a co innego poezja. Chciałem bowiem zapoznać was z utworem Teofrasta Sóldonoga, który był nie tylko

wielkim poetą, ale też niezwykle miłym człowiekiem, lubiącym dzieci, zwierzęta i precelki posypane makiem.

Rozdział XXII

DOBRA NOWINA

Smok i profesor Gąbka wracali z zebrania Rady Ministrów, na którym uchwalono wiele doniosłych rozporządzeń. I tak na wniosek Marcina Lebiody postanowiono, że każde dziecko w Nasturcji otrzyma w najbliższym czasie drewnianego konia na kółkach, poruszanego przy pomocy pedałów. Postanowiono też, że na wszystkich ulicach zostaną ustawione automaty, wydające lizaki po wrzuceniu do nich trzech ziarenek grochu. Profesor Gąbka zarządził, że od następnego dnia we wszystkich szkołach zaczną się lekcje krakowiaka, który dotychczas był tańcem zupełnie w Nasturcji nie znanym. Uchwalono też, że wszystkich gości, przybywających z dalekich krain, będzie się wozić po mieście bryczkami zaprzężonymi w białe kucyki. Jak z tego widać, było to zebranie bardzo owocne i pracowite, toteż nic dziwnego, że nasi przyjaciele postanowili nieco odpocząć na przechadzce, do której zapraszały cieniste aleje. Aleje te ciągnęły się wzdłuż brzegów Wielkiej Rzeki, pełnej żaglówek, kajaków, a nawet zwyczajnych balii.

- Gdybym nie musiał jechać do Krainy Mypingów - rzekł profesor - chętnie bym tu pozostał na dłuższy czas. To bardzo miłe miasto.

- Ja też jestem tego zdania - odparł Smok. - Ale nie możemy zapominać o najważniejszym celu naszej podróży.

- To zupełnie zrozumiałe. Musisz jednak przyznać, że Nasturcjanie dadzą się lubić.

Smok rozparł się wygodnie na ławce, założył nogę na nogę i powiedział:

- Drogi Baltazarku. Rozmyślam ciągle o czekającej nas podróży i nie bardzo rozumiem, dlaczego chcesz jechać łądem. Skoro, jak twierdzisz, Kraina Mypingów leży w pobliżu Wielkiej Rzeki, to najprościej byłoby spłynąć rzeką, a nie tłuc się po górach i pustyniach.

- Myślałem już o tym - uśmiechnął się profesor. - Choć jestem uczonym, nie brak mi zmysłu praktycznego. Trudność polega na tym, że poniżej Nasturcji Wielka Rzeką tworzy szereg groźnych wodospadów, z powodu których żegluga jest zupełnie niemożliwa. A gdyby ich nawet nie było, to powiedz mi, w jaki sposób wrócilibyśmy do Nasturcji nie mając łodzi motorowych? I w jaki sposób przewieźlibyśmy sprzęt potrzebny do kopania kanału?

Smok spojrział na profesora z wyrazem głębokiego uznania.

- Masz słuszność, mój drogi. Co głowa, to głowa... Wobec tego pojedziemy łądem. Nie ma innego wyjścia.

Zajęci rozmową nie zauważyli, że zbliża się do nich senator Ogórkopulos. Pan Hieronim wracał z kąpieli, o czym świadczył ręcznik przewieszony przez ramię.

- Dobrze, że was widzę - zawołał na ich widok senator. - Mam dobrą nowinę. Oto wszyscy dorośli mieszkańcy Nasturcji postanowili wziąć udział w waszej wyprawie, aby jak najszybciej wykopać upragniony kanał.

- To wspaniała wiadomość - ucieszył się Smok. - Właśnie martwiłem się, że zbójów jest za mało dla wykonania tak wielkiej pracy. Jeżeli wszyscy się do tego zabiorą, kanał będzie gotowy za kilka miesięcy!

- Zrobiliście tyle dobrego dla nas - dodał pan Hieronim - że chcemy się w jakiś sposób wywdziękzyć. Gdyby nie wy, bylibyśmy już niewolnikami Debiliusza. Strach pomyśleć, co by się teraz w mieście działo.

Smok z zakłopotaniem podrapał się w głowę.

- No, dobrze - rzekł po chwili - ale w samochodzie jest miejsce tylko dla naszej gromadki.

Senator z lekceważeniem machnął ręką.

- To głupstwo. Nasturcjanie pojedą na wozach drabiniastych, zaprzężonych w dinozaury. Już posłałem w tej sprawie telegram do Rufinusa. Jutro przybędzie tu ze swymi wychowankami.

- Brawo! - krzyknął profesor. - Brawo! To mi się podoba!

Nazajutrz koło południa wkroczyło do Nasturcji stado dinozaurów, prowadzone przez Rufinusa, który wygrywał na fujarce melodię piosenki o kotku na płotku... Ogromne zwierzęta z trudem przecisnęły się przez bramę prowadzącą na główną ulicę miasta. Niektóre z nich były tak wielkie, iż idąc ulicą zaglądały do mieszkań znajdujących się na drugim piętrze. Jeden z gadów ujrzał w pewnym mieszkaniu staroświecką kanapę, pokrytą złocistym jedwabiem. Będąc amatorem kanapek, wsadził łeb przez okno i pożarł ją błyskawicznie. Dopiero dziwny smak zardzewiałych sprężyn przekonał go, iż padł ofiarą pomyłki. „Zawstydził się więc bardzo i czym prędzej pobiegł za swymi braćmi. Całe stado ułożyło się wygodnie wokół fontanny i ukołysane łagodnym szumem wody natychmiast zasnęło.

Ostatnią noc przed odjazdem spędził profesor Gąbka na zawitych obliczeniach, z których wynikało, że jazda do Krainy Mypingów zajmie co najmniej trzy tygodnie.

- To będzie ciężka podróż - pomyślał uczony. - Ale trudno. Nie wybraliśmy się na majówkę.

Świtało już, gdy profesor odłożył pióro i zwinawszy mapę w wielki rulon, przewiązał go różową wstążką. Odsunął od stołu ciężki fotel i powstawszy przeciągnął się, aby

rozprostować kości. Śpiący pod stołem Ares przebudził się i spojrzał na swego pana. Również Ping, zwinięty w kłębek na dywanie, otworzył jedno oko i śmiesznie przekrzywił swój spiczasty łebek.

- Pójdziemy na spacer - rzekł do nich Gąbka. - A po śniadaniu wyruszymy tam, dokąd wzywa nas obowiązek.

- Wiązek - powtórzył Ping, zupełnie jak papuga.

Od Autora:

Drodzy Czytelnicy! A teraz muszę się wam przyznać do czegoś, do czego bardzo niechętnie przyznają się autorzy książek. Oto postawiwszy kropkę po zdaniu kończącym poprzedni ustęp, sam znalazłem się, jak to mówią, „w kropce”. Po prostu nie wiedziałem, jak odbyła się ta podróż z Nasturcji do Kraju Mypingów. W poszukiwaniu wiarogodnych dokumentów przewertowałem wiele bibliotek i archiwów, niestety, nigdzie nie znalazłem oryginalnych zapisków profesora Gąbki, o których istnieniu nie wątpiłem, znając solidność uczonego. Oczywiście, mogłem popuścić wodze fantazji i wymyślić szereg niezwykle zdarzeń, które by was zainteresowały. Jestem jednak człowiekiem miłującym prawdę i po prostu nie lubię bujać... Byłem więc w wielkim kłopotcie. Zamiast pisać, chodziłem na spacerki z moim psem i zabawiałem się rzucaniem mu patyków, które przynosił mi z wielkim zapalem. Zamiast stukać na maszynie, leżałem do góry brzuchem i liczyłem muchy chodzące po suficie. Pewnego razu doliczyłem się dwustu trzydziestu trzech much w ciągu jednego popołudnia! Przyznacie chyba, że nie było to zbyt budujące zajęcie. Tymczasem czas leciał, a Wydawnictwo upominało się o książkę, która wciąż jeszcze nie była gotowa. Pewnego razu zatelefonował do mnie sam Naczelny Redaktor, grożąc zerwaniem umowy, o ile w ciągu najbliższych dwóch miesięcy nie oddam mu gotowego maszynopisu. Poprosiłem go wtedy o cierpliwość i obiecałem, że zrobię wszystko, co będzie w mej mocy, aby książkę dostarczyć w umówionym terminie. Zaraz potem wsiadłem do samolotu i poleciałem do Afryki, ponieważ pamiętałem z poprzednich podróży, że w Afryce przychodzą mi do głowy sianie dobre pomysły... Chciałem się też znaleźć jak najdalej od Naczelnego Redaktora, którego (mówię to w wielkim sekrecie) bałem się trochę... Po wielu godzinach lotu wylądowałem w Trypolisie, stolicy kraju zwanego Libią. Byłem tu przed kilku laty i wtedy to wpadłem na pomysł napisania książki o porwaniu Baltazara Gąbki. Miałem więc nadzieję, że i tym razem afrykański wiatr „hamsin” przyniesie mi do głowy sposób na rozwiązanie tego trudnego problemu. I cóż - powiecie? Okazało się, że postąpiłem słusznie, gdyż jeszcze tego samego dnia spotkała mnie wielka i radosna niespodzianka. Przeglądając druki i rękopisy w kramie ulicznego

antykwarium, znalazłem pięknie ilustrowany egzemplarz „Baśni z tysiąca i jednej nocy”, z którego wypadł niepozorny zeszyt, wypełniony, o dziwo, notatkami pisanymi w języku polskim. Okładka zeszytu przypominała do złudzenia okładki waszych szkolnych zeszytów; było na niej nawet kilka kleksów z atramentu i duża tłusta plama. Uradowany z niezwykłego odkrycia kupiłem ów notatnik, oczywiście po długim i zaciętym targowaniu się. Trzeba wam bowiem wiedzieć, iż kupcy arabscy strasznie się lubią targować. Mając już ów zeszyt w ręce, poszedłem nad morze, usiadłem na skale i zacząłem czytać. Już po przeczytaniu kilku zdań zerwałem się z miejsca, przy czym omal nie wpadłem do wody, rojącej się od rekinów. Byłem wstrząśnięty! Nie ulegało bowiem żadnej wątpliwości, że miałem w ręce autentyczne zapiski profesora Baltazara Gąbki, i to zapiski prowadzone przez niego w czasie trwania podróży z Nasturcji do Krainy Mypingów! Pełen dzikiej radości pobiegłem do hotelu, trzymając kurczowo swój skarb. Tej nocy - możecie mi wierzyć - nie zmrużyłem oka. Fakt, że zeszyt ten zawędrował do kraju zamieszkanego przez Arabów, nie jest znów tak dziwny, jakby się na pozór wydawało. Arabscy kupcy podróżujący w dawnych czasach po bałtycki bursztyn, często odwiedzali Gród Kraka. Zapewne jeden z nich znalazł się w posiadaniu notatek profesora i zabrał je do swej ojczyzny w charakterze miłej pamiątki... Wczesnym rankiem pobiegłem na pocztę i wysłałem telegram do Naczelnego Redaktora. Treść jego była następująca: „Termin zostanie dotrzymany. Serdeczne pozdrowienia - Stanisław Pagaczewski”. Następnie wróciłem do hotelu i zabrałem się do przepisywania notatek na maszynie. Oto one. Czytajcie je teraz sami. Ja sobie przez ten czas odpocznę.

Rozdział XXIII

DZIENNIK PROFESORA BABKI

15 X Na pierwszym biwaku. Dziś w południe opuściliśmy Nasturcję. Na czele orszaku jedzie nasz samochód, za nim szereg wozów zaprzężonych w dinozaury i wypełnionych ludźmi oraz sprzętem. Straż tylną tworzy poeta Teofrast, jadący na rowerze. Na bagażniku ma zapas papieru i flachę z atramentem.

Siedzimy teraz przy ognisku i wcinamy jajecznicę z pieczarkami. Bartolini brzdąka na gitarze i nuci Włoskie piosenki. Jesteśmy wszyscy dobrej myśli. Na niebie gwiazdy. Czuję się jakbym odmłodził o dwadzieścia lat.

20 X Już sześć dni jesteśmy w drodze. Przebyliśmy -Góry Skaliste, zbudowane z bazaltów i porfirów. Jesteśmy teraz na wyżynie, pokrytej rzadkim lasem. Rosną tu drzewa podobne do cyprysów i cedrów. Dinozaury sprawują się bez zarzutu, ale słuchają tylko Rufinusa. Przed zaśnięciem musi im grać na fujarce i opowiadać bajki. Zbóje jadą w dużej klatce na kołach i zachowują się spokojnie.

24 X Skończył się dziesiąty dzień wyprawy! Zupelne bezdroża. Spotykamy węże pięciometrowej długości. Są grube, a ich łuski lśnią tęczowymi barwami. Na nasz widok szybko kryją się między skałami. Dziś w nocy śnił mi się Gród Kraka. Ach, z jaką rozkoszą wyciągnąłbym się na swym wygodnym tapczanie!

(Uwaga. Następuje łyka w notatkach, spowodowana zapewne zamknięciem kilku kartek zeszytu. Można odczytać tylko poszczególne wyrazy, jak: głęboki potok, świerszcze, dzierdżięgi, zapalki... Dopiero pod datą 1 listopada widnieje obszerna, dobrze już czytelna relacja.)

1 XI Wczoraj opuściliśmy terytorium należące do Nasturcji. Na samej granicy napotkaliśmy domek, w którym mieszka wielkorządca, markiz Mayonez de Salcefiks, potomek słynnej, rycerskiej rodziny. Ma podobno sto pięćdziesiąt lat, ale wygląda na młodszego ode mnie. Powiedział nam, że obecnie wjeżdżamy na teren zamieszkały przez ludzi chodzących na jednej nodze i nakrywających się w czasie snu ogromnymi uszami. Ludzie ci są ponoć bardzo bojaźliwi i nie pozwalają się fotografować. Chciałbym koniecznie zobaczyć choć jednego

takiego osobnika...

3 XI Dziś rano udało mi się nareszcie...

(Tu znów brakuje dwóch kartek, wyrwanych zapewne czyjąś ręką. Dlatego też nigdy nie będziemy wiedzieć, czy profesorowi udało się sfotografować dziwnych mieszkańców tej krainy. Wielka to szkoda dla nauki. Przyp. autora.)

7 X Zjechaliśmy z wyżyny. Przed nami pustynny kraj, pokryty skalnym gruzem i piaskiem. A płaski jak stół. Gdzeniegdzie rosną kępy suchej, płowej trawy. Tu i ówdzie wysokie na kilka metrów kaktusy. Czy to już Kraina Mypingów? Koyot wyrwał Bartoliniemu chory ząb. Samochód sprawuje się bardzo dobrze.

10X1 Dziś spotkaliśmy stadko bardzo chudych mypingów. Było ich około pięćdziesięciu. Na ich widok nasz Ping zmienił się nie do poznania. Stał się niespokojny i nieposłuszny. Obawiam się, żeby nie uciekł do swych towarzyszy. Marcinek radził mi, żebym go trzymał teraz na smyczy. Ale nie zrobię tego. Niech każdy decyduje swobodnie o swym losie.

11XI Tak. To już na pewno Kraina Mypingów. Jaka nędzna i biedna! Rzadko stojące drzewa są suche i pozbawione kory. Upał coraz większy, na niebie ani jednej chmurki. Dnie gorące, a noce bardzo chłodne. Śpimy w ciepłych śpiworach i nakrywamy się kocami.

Kierujemy się teraz ku południowi, bo gdzieś w tej stronie powinna być Wielka Rzeka, o ile nasza mapa jest dokładna. Od czasu do czasu mijamy wyschnięte łożyska potoków, które służą nam za drogowskazy. Potoki te były niegdyś dopływami Wielkiej Rzeki. Ludzie są już bardzo zmęczeni i osłabieni. Zaczyna nam brakować wody do picia. Jeśli na czas nie dojdziemy do rzeki, może być z nami krucho.

15 XI Połowa listopada! O tej porze u nas pada już śnieg! Tęsknię do jego widoku. Nie ma nic piękniejszego niż pobielone śniegiem wieże Wawelu...

Dziś skończyły się nam zapasy wody. Mamy jeszcze kilka beczek Coca-Coli na czarną godzinę. Każdy może wypić trzy łyki dziennie. Marzymy o lodach Calypso. W Grodzie Kraka można je kupić o każdej porze w cukierni pana Walerego Kądziołki. Ach, cóż to były za lody. Palce lizać...

16 XI Schudłem już bardzo i opaliłem się „na Murzyna”. Smok też zaciska pasa. Dokuczają nam pchły piaskowe. W ciągu dnia latają nad nami stada sępów.

20XI Hurra! Na horyzoncie widać już (przez lornetkę) Wielką Rzekę. Pędzimy ku niej na złamanie karku. Dinozaury galopują jak konie,^ Jesteśmy uratowani!

22 XI Od dwóch dni mieszkamy w obozie nad rzeką. Co za rozkosz! Wszyscy, nie wyłączając zbójów, używamy na kąpieli. Pozwoliłem też Deszczowcom wejść do wody. Byli mi potem bardzo wdzięczni. Okazuje się więc, że nie wygasły w nich ludzkie uczucia...

25XI Nie mamy już Pinga! Dziś przed południem opuścił nas i przyłączył się do stada, które nadeszło od strony północnej. Gdy o tym piszę, chce mi się wprost płakać. A było to tak: na widok gromadki swych wynędzniałych towarzyszy Ping zerwał się z miejsca i nie słuchając mych nawoływań pognął ku nim. Po chwili jednak ruszył w moją stronę, ale zatrzymał się w połowie drogi. Odniosłem wrażenie, że nie wie, co robić. Wołałem do niego: „Ping, Ping, chodź do mnie, maleńki, nie bój się”. Postąpił kilka kroków, nagle znów się zatrzymał i spojrzał żałośnie na swoich. Mypingi, zbite w gromadkę, zachowywały się spokojnie, jakby czekając na rozwój wypadków. Wyjąłem z kieszeni marchewkę i pokazując mu ją, wołałem nadal: „Ping, Ping, chodź do mnie”. Wahał się, ale po chwili zawrócił ku swoim. Wtedy podbiegł ku niemu Ares. Psisko zaczęło skakać koło Pinga, jakby w zamiarze zapędzenia go do obozu. Przez kilka chwil Ping baraszkował z nim jak dawniej, obejmował go ramionami za szyję i przewracał na ziemię. Stałem bez ruchu i czekałem, co z tego wyniknie. Po pewnym czasie Ping odskoczył od Aresa i nie oglądając się za siebie pobiegł ku swoim. Całe stadko ruszyło galopem po piasku i wkrótce zniknęło za wydmami. Zrozumiałem wtedy, że nigdy Pinga nie zobaczę. I poczułem, że mam łzy w oczach...

30 XI Kanał wydłuża się. Używamy dinozaurów .w charakterze spychaczy, co bardzo przyspiesza robotę. Jest to pomysł Największego Deszczowca! Zbójce, straciwszy już dawno nadzieję na ucieczkę, pogodzili się z losem i pracują wytrwale. To jedyna szansa dla nich. Nawet Debiliusz chętnie macha łopatą. Prawdą jest, że praca uszlachetnia...

2 XII Nadszedł dzień naszego odjazdu. Nasturcja-nie będą już teraz pracować bez nas. Musimy wracać, bo zbliża się zima, a droga daleka. Nasza misja zakończona. Żal się nam rozstawać z przyjaciółmi, ale cóż robić... Najważniejsze jest, że kanał rośnie. Według moich

obliczeń (które dałem do sprawdzenia Lebiodzi i Smokowi) za dwa lub trzy miesiące kanał dojdzie do Wielkiej Rzeki. Wtedy zbuduje się tamę, która skieruje wodę do kanału. Przez sam środek Krainy Mypingów popłynie nowa, tym razem sztuczna rzeka. Woda wprowadzi tu nowe życie. A za kilka lat wędrówki mypingów powinny ustać raz na zawsze. Gdy żegnałem się z Największym Deszczowcem, uścisnął mocno mą rękę i powiedział: „Chciałbym się jeszcze z panem spotkać. Ale jako przyjaciel, a nie wróg”. No, no, kto by się tego spodziewał. Byłem praw...

[Na tym urwanym zdaniu kończą się odnalezione przeze mnie zapiski profesora Gąbki. Czyżby uczony chciał napisać, że był prawdziwie wzruszony? Bardzo możliwe... A teraz, skoro już skończyliście czytać, pozwólcie, że zabiorę się do ostatniego rozdziału tej książki. Odpocząłem już sobie i mogę zasiąść do maszyny... (przyp. autora).]

Rozdział XXIV

NIESPODZIANKA NA PRZEŁĘCZY

Książę Krak przebudził się i ziewnąwszy głęboko spojrzął na okno pokryte lodowymi kwiatami.

- Oho, mróz rośnie - stwierdził. - Nic dziwnego, to już styczeń...

Nałożył na stopy futrzane pantofle i począł do kominka, gdzie tliły się jeszcze na wpół zwęglone bukowe polana.

- Zabrała się do nas zima na dobre - pomyślał. - Jestem pewny, że Wisła pokryła się lodem.

Szarpnął za sznur od dzwonka. W drzwiach stanął młody paź, Wojtek Wrona, pełniący służbę w przyległej komnacie.

- Czy przyszły w nocy jakieś wiadomości od Smoka?

- Niestety nie. Radiostacja milczy jak zaklęta. Naczelny Inżynier twierdzi, że fale musiały w drodze zamarznąć. Dopiero z wiosną odtają, będzie można coś usłyszeć.

- Martwi mnie ich los - rzekł książę,

- Przecież falom to nic nie zaszkodzi...

- Głupiś, bracie, myślę o naszych podróżnikach... No cóż, trzeba się uzbroić w cierpliwość. A ponieważ w komorze zaczyna już brakować mięsiwa, wybiorę się dziś na polowanie. Pojedziemy do zameczku w górach, aby zapolować na dziki. Ale powiedz mi, mój kochany, kiedy sobie zetniesz włosy? Wyglądasz zupełnie jak białogłowa.

- Panie, co też gadacie - przestraszył się chłopiec. - Długie włosy są teraz modne.

- Dobrze, dobrze, ja tylko tak żartowałem... No, to leć duchem do Wielkiego Łowczego, żeby wydał odpowiednie rozkazy. Dość się już wyleżał pod pierzyną. Wyruszymy zaraz po śniadaniu.

- Tak jest! - krzyknął paź i pobiegł aby wypełnić książęce polecenie.

Tymczasem książę ubrał się i podszedłszy do okna otworzył je szeroko. Mroźne powietrze buchnęło do sypialni. Nisko nad ziemią wisiało wielkie, pomarańczowe słońce. Zgodnie z przewidywaniami księcia Wisła zniknęła pod lodem. Ośnieżone wieże zamczyska odcinały się wyraźnie od bezchmurnego nieba.

Piękny czas na polowanie - pomyślał Krak. - Na świeżym śniegu tropy będą dobrze widoczne...

W trzasku biczów, w szczekaniu ogarów, w rzeniu koni i srebrzystym brzęku dzwoneczków ruszył orszak myśliwych za wawelską bramę. Spłoszone zgielkiem wrony długo kołowały nad wieżami zamku. Na czele jechał konno książę Krak w towarzystwie Wielkiego Łowczego, który był w prostej linii potomkiem legendarnego Wyrwidęba.

Przejechawszy przez most na Wiśle, myśliwi skierowali się ku południowi, wprost ku góróm, które wznosiły się na horyzoncie jak wyszczerbiony i śnieżnobiały mur, strzegący granic księstwa. Mróz zaczerwienił policzki jeźdźców i pokrył ich wąsy kryształkami lodu. Blask słońca był tak silny, że jadący musieli mrużyć oczy. Na gałęziach jodeł i świerków leżała puszysta okiść, strząsana od czasu do czasu przez spłoszone wiewiórki.

Tuż za miastem zaczynała się ogromna puszcza, sięgająca aż do granicy księstwa. Tkwiły w niej ludzkie osady, rzadkie jak rodzynki w cieście. Ich nazwy mówiły o zajęciach, wykonywanych przez mieszkańców: Bartniki, Kołodzieje, Smolarnia, Drwale... Każda z nich składała się z kilku lub kilkunastu drewnianych domów, nakrytych stromymi dachami. Na podwórzach widniały studnie z żurawiami, z obór dolatywało porykiwanie bydła. Przejazd książęcego orszaku był dla osadników nie tyle jakim wydarzeniem. Wychodzili z domów i z podziwem przyglądali się mieszkańcom wawelskiego grodu. Książę odpowiadał serdecznie na wszystkie pozdrowienia, wypytywał swych poddanych o zdrowie i życzył im szczęśliwego doczekania wiosny. W Myślimicach zatrzymał się na krótki odpoczynek w domu sołtysa, aby ogrzać się nieco i dać koniom popasać.

Wczesna noc zastała myśliwych w Owczarach. Wznosiło się tu drewniane dworzyszczce, w którym rezydował starosta Jahko Powąła, znany łowca, zielarz i znachor. W obszernych, pachnących żywicą izbach znaleźli wygodne pomieszczenie wszyscy członkowie orszaku. Książę legł w zacisznej komnatce na stosie skór niedźwiedzich. Blask ognia z kominka pełzał po ścianach obwieszonych rogami jeleni i głowami dzików. Przez małe okienko zaglądały do wnętrza wielkie i jasne gwiazdy, wiszące nad skostniałym z mrozu światem.

Mimo znużenia wywołanego jazdą Krak długo nie mógł usnąć. Coraz bardziej niepokoił go brak wiadomości od Smoka. Z ostatniej relacji przysłanej na gołębich skrzydłach dowiedział się o wyjeździe ekspedycji z Nasturcji do Kraju Mypingów. Było to jednak w połowie października, od tego czasu minęły już prawie cztery miesiące. Dwa mogły być powody tego milczenia: albo zabrakło gołębi, albo podróżnikom przydarzyło się jakieś nieszczęście. O tej drugiej ewentualności książę nawet myśleć nie* chciał, ale coraz bardziej niepokoiły go złe przecucia. Wyrzucał sobie teraz, że zbyt lekkomyślnie naraził swych przyjaciół, wysyłając ich w tak daleką i niebezpieczną podróż. Nigdy by sobie nie darował,

gdyby spotkało ich co złego.

Cała nadzieja w Smoku - myślał wpatrzony w dogasające na kominku płomienie. - Jest sprytny, odważny i mocny. Innym członkom wyprawy też nie brakuje odwagi ani wytrwałości. Ale świat jest wielki i pełen niespodzianek... A może sam powinienem był wziąć udział w wyprawie? Któż by jednak wówczas sprawował rządy w księstwie?

Było już bardzo późno, gdy wreszcie zasnął, zmęczony natłokiem smutnych i niepokojących myśli. Spał nawet tak mocno, że nie słyszał wycia wilków, których stado krążyło na skraju puszczy, nie śmiejąc podejść do zasypanej świeżym śniegiem osady...

Jazda z Owczar do zamczku zajęła myśliwym kilka godzin. Góry wokół rosły, a wraz z nimi rosła grubość śniegu pokrywającego ziemię. Chwilami konie zapadały się po brzuchy. Na ulizanych przez wiatr graniach czaiły się jęzory lawin.

Koło południa mróz zelżał, a wkrótce potem oczom jadących ukazał się zamek, osadzony na stromym wzgórzu, panującym nad przełęczą. Była to ta sama przełęcz między Roztrzępąncem a Mandragorą Wielką, na której dziesięć miesięcy temu Smok i jego towarzysze żegnali ojczystą ziemię.

Posiliwszy się obiadem, przygotowanym przez zarządcę zamku, i odpocząwszy nieco, książę Krak wy dostał z szopy saneczki, schowane tu w czasie zeszłorocznej zimy. Ucieszył się bardzo na ich widok, obiecując sobie wspaniały zjazd z zaniku na przełęcz. Kręta i spadzista droga stanowiła bowiem znakomity tor saneczkowy. Zamiłowanie do jazdy na sankach pozostało księciu z czasów dzieciństwa, kiedy to wraz ze swym ojcem szalał na zboczach wawelskiego wzgórza.

Jazda była wyśmienita! Umiejętnie prowadzone saneczki nabrały od razu wielkiej szybkości i rwały ku przełęczu jak chart spuszczone ze smyczy. Nie zważając na mroźny wiatr, który wyciskał łzy z oczu, książę sunął po dobrze ubitym śniegu, szczęśliwy i roześmiany. Zdawało się mu, że znów jest małym chłopcem, zapomniał o swej książęcej godności i o wszystkich kłopotach związanych z prowadzeniem spraw państwowych. Już było widać przełęcz i stojącą przy drodze tablicę, obwieszczającą podróżnym, iż od tego miejsca zaczyna się terytorium Krakostanu. W chwili gdy sanki wpadły na szeroki trakt, spoza zakrętu wysunęła się czyjaś postać. Książę zahamował gwałtownie, ale mimo to podciął nogi idącemu i wraz z nim gruchnął w wysoką zaspę, tonąc w śniegu po uszy. Zdarzenie było tak niespodziewane, że oszołomiony nim Krak nie mógł się przez kilka chwil połapać w sytuacji. Śnieg nie tylko zasypał mu oczy, uszy i usta, ale dostał się nawet za koszulę, co - jak wiedzą wszyscy saneczkarze - wcale nie należy do przyjemności. Książę na oślep wy dostał się ze śnieżnej pierzyny i stanął chwiejnie na twardym gruncie.

- Co to ma znaczyć? - usłyszał czyjś jakby znajomy głos.

Rozejrzał się dokoła, ale nikogo nie spostrzegł. Dopiero po chwili zorientował się, że głos dochodzi spod śniegu.

- Bardzo pana przepraszam... Ale gdzie pan jest, u licha?

- Tu - odparł głos. - Już idę...

Z głębokiego dołu uniosło się coś, co na pierwszy rzut oka przypominało śnieżnego bałwana.

- Smok!

- Krak!

Oba te okrzyki zabrzmiały jednocześnie. W następnej sekundzie przyjaciele padli sobie w ramiona.

- Skąd się tu wzięłeś? - krzyknął książę.

- A ty skąd?

- Zjechałem spod zamku na sankach.

- A ja właśnie szedłem do zamku po pomoc. Utknęliśmy w zaspie, niedaleko, będzie stąd trzy tysiące kocich kroków. Potrzebne nam są konie do wyciągnięcia maszyny na przełęcz.

- Jesteście zdrowi? - zapytał książę.

- Gdybym nie był smokiem, powiedziałbym, że jestem zdrow jak ryba.

- A reszta?

- Tak samo. Jesteśmy nawet zdrowsi niż przed wyjazdem.

- A ja tak bardzo martwiłem się brakiem wiadomości.

- Radio nam zamarzło - wyjaśnił Smok. - I nie mamy już ani jednego gołębia... A co ty tu robisz?

- Przyjechałem na polowanie. Za dwa dni wrócimy razem do domu.

- Świetnie! Wy trząśłem się już tak w tym samochodzie, że marzę o wygodnym tapczanie.

- Chodźmy więc szybko po konie. Opowiecie nam wszystko podczas wieczery...

O zmroku wszystkie okna zamku na Roztrzeпаńcu rozjarzyły się światłami. A najjaśniej było w sali rycerskiej, którą zamieniono na jadalnię. Jej środek zajmował ogromny stół, wokół którego zgromadzili się mieszkańcy warowni. Nie będziemy jednak pisać o tym, co na nim było, nie chcąc, by Czytelnicy posądzili nas o zamiłowanie do obżarstwa. Wspomnimy tylko - i to wyłącznie z obowiązku kronikarskiego - że potraw było tyle, ile miesięcy w roku, a liczba nakryć równała się ilości tygodni. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności biesiadników było pięćdziesięciu trzech (nie licząc psów!).

Na honorowym miejscu siedział książę Krak, mając po bokach Smoka i profesora Gąbkę. Sąsiednie miejsca zajmowali doktor Koyot, Bartłomiej i Marcinek. Płonące na stole świeczniki rzucały na biesiadników drżące, migotliwe blaski. W pucharach czerwieniło się węgierskie wino. Na kryształowych tacach złożyły się sterty pomarańcz, przywiezionych z Nasturcji. Był to dar senatora Stuk-Puk dla księcia. Prócz nich pyszniły się na stole banany, ananasy i soczyste owoce mango. Skoro mowa o darach, trzeba wspomnieć, iż książę otrzymał figurkę dinozaura, wykonaną misternie z kości słoniowej. Twórcą tego pięknego dzieła sztuki był oczywiście sam dyrektor Rufinus...

Opowiadaniom nie było końca. Słuchał więc książę relacji o dinozaurach, o nieudanym ataku Debiliusza na miasto, o pracach przy kopaniu kanału i w ogóle o wszystkim, co przydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy. Śmiał się serdecznie, słuchając opowieści o figlach, jakie sobie wyrządzali podróżni w dniu pierwszego kwietnia, i dziwował się wielce przygodzie z południkiem, która omal nie skończyła się poważną katastrofą. Wyraził też żywe zadowolenie na wieść o zatrudnieniu obu Deszczowców przy kopaniu kanału:

- Mam nadzieję - rzekł - że ta praca nauczy ich wreszcie rozumu. Martwiłem się bardzo ich ucieczką z Wawelu, ale teraz widzę, że stało się dobrze. To jednak świetni fachowcy od prac wodnych...

Następnie na prośbę Smoka opowiedział, co zaszło w tym czasie w kraju. Okazało się, że Don Pedro spędził swój urlop w Grodzie Kraka. W ostatnich miesiącach zbudowano nowy teatr lalek i przystąpiono wreszcie do regulacji Wisły. Na samym zaś środku rynku wzniesiono piękny gmach Sukiennic, tylko w tym celu, żeby przybywający do miasta turyści mieli co fotografować.

W chwili, gdy biesiadnicy zabrali się do lodów, stanął w drzwiach dowódca straży zamkowej i zawołał głośno, by przekrzyczeć gwar panujący w sali:

- Pan Bartolini proszony do telefonu!

Kucharz zerwał się z ławy.

- Przepraszani was, zaraz wrócę. Zamówiłem rozmowę z żoną. Tylko nie zjedzcie mojej porcji...

Nieobecność Bartoliniego nie trwała zbyt długo. Już po kilku minutach zacny kucharz zjawił się w gronie przyjaciół. Jego okrągłe i rumiane oblicze jaśniało w tej chwili jak słońce.

- Smoku! - zawołał. Uszczypnij mnie, bo zdaje mi się, że śnię.

Smok dźwignął się ze swego miejsca i spełnił prośbę kucharza tak solidnie, że Bartłomiej kwiknął jak prosię.

- W porządku - zawołał grubasek - w porządku! A więc jestem przy zdrowych

zmysłach. Przed miesiącem urodziła się nam córeczka!

O kamienne mury sali obił się grzmot oklasków.

Bartolini, dumny jak paw, ukłonami dziękował za owację.

- Jak ma na imię? - zapytał profesor Gąbka. - To ważne, bo musimy wypić toast za jej pomyślność.

- Jeszcze nie ma imienia - odparł kucharz. - Żona nie chciała beze mnie decydować. - Ale już wiem, jak się będzie nazywać moja córka!

W sali zapanowała cisza. Wszystkie spojrzenia zbiegły się na postaci szczęśliwego ojca.

A wtedy Bartolini wyrzekł tylko jedno, jedyne słowo. Zabrzmiało niczym najpiękniejsza muzyka. Zapachniało świeżym chlebem, żywicą i sianem. Zaśniło jak skropiony wodą bukiet kwiatów. Była w nim bowiem muzyka, zapach i blask, czyli to wszystko, co jest w uśmiechu małego dziecka:

- NASTURCJA!